

DLP3MP - 6-6-77640802

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/355

1977



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

G. HERLING-GRUDZIŃSKI - A. MICHNIK :

DWUGŁOS O EUROKOMUNIZMIE

SZ. MACIEJKO : **NAD "KONTYNENTEM"**

ST. BARAŃCZAK : **DE PROFUNDIS ALLA POLACCA :
"W SAMYM SERCU GÓWNA"**

L. PERZANOWSKI : **APOLITYCZNOŚĆ**

A. GUTOWSKI :

MANOWCE POLITYKI GOSPODARCZEJ PRL

SPIS RZECZY

Gustaw Herling-Grudziński —	<i>Dwugłos o eurokomunizmie</i>	3
Adam Michnik:		
Stanisław Barańczak:	<i>De profundis alla polacca: „W samym sercu gówna”</i>	16
Szczepan Maciejko:	<i>Nad „Kontynentem”</i>	24

ARCHIWUM POLITYCZNE

Jan Nowak:	<i>Trzecia wojna światowa (dok.)</i>	43
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	58
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	72

K R A J

Antoni Gutowski:	<i>Manowce polityki gospodarczej PRL</i> ..	77
Zbigniew Węgrzyński:	<i>O programie i roli PPN</i>	87

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	91
E. Zagiell:	<i>Kronika litewska</i>	98
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	99

SPRAWY I TROSKI

Lucjan Perzanowski:	<i>Apolityczność</i>	101
A. K.:	<i>Yksi, kaksi, kolme, neljä, viisi, kuusi</i>	106
Józef Garliński:	<i>35 lat Biblioteki Polskiej w Londynie</i>	108
W. Ż.:	<i>Biblioteka Polska w Paryżu</i>	115
T. A. Zieliński:	<i>Matka Boska Kozielska</i>	117
—	<i>Sprostowanie</i>	120

KRONIKA KULTURALNA

Józef Czapski:	<i>„Wiek męski”</i>	121
Karel Klatovsky:	<i>Czesi i Słowacy w latach 1975-1976</i> ..	127
K. A. Jeleński:	<i>Nowa przygoda Witolda-Bosonoga</i>	134

K S I Ą Ż K I

Witold Wirpsza:	<i>Znowu dezinformacja</i>	135
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	136
A. K.:	<i>Łoki-toki</i>	141
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	142



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	144
---	----------------------------------	-----

Z OSTATNIEJ CHWILI

—	<i>Konferencja prasowa</i>	149
—	<i>Oświadczenie niezależnych grup katolickich i chrześcijańskich</i>	151
—	<i>„U progu”</i>	152



—	<i>Apel do świadków mordu profesorów lwowskich</i>	158
J. Garliński, prof. T. Maćkiw,	<i>Listy do Redakcji</i>	158
A. Piotrowski, W. Kotowicz:	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	160
—		

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień - Avril

1977

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Aleksander I. Bagiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz jedenasty	F. 50,00
Manfred Dąbrowski, 25400 Audincourt (Francja)	F. 20,00
Marta Erdman, Middlefield, N.Y. (USA), po raz trzeci	F. 38,00
F.H., Ohio (USA), po raz dwunasty	F. 12,50
George Gnat, Chicago, Ill. (USA)	F. 60,00
Maria Halstead, Santa Barbara, Cal. (USA), po raz trzeci ..	F. 110,00
Henryk Komez, Trondheim (Norwegia)	F. 28,00
Mieczysław Kościuch, Detroit, Mich. (USA), po raz ósmy	F. 50,00
Berta Lieder, Hannover (NRF)	F. 40,00
Lesław K. Ludwig, Springfield, Mass. (USA), po raz siódmy ..	F. 35,00
Gabriela Knobelsdorf, Bridgeport, Conn. (USA) — ku uczczeniu pamięci śp. męża Władysława, przyjaciela <i>Kultury</i> , na dzień Jego imienin	F. 25,00
Rada Stowarzyszeń Weterańskich w Cleveland, Ohio (USA), po raz drugi	F. 35,00
Irena Słowikowska, Ottawa	F. 140,00
Jan K. i Jadwiga Wagnerowie, Oakland, Cal. (USA), po raz trzeci	F. 100,00
Czesław Zaim, Cleveland, Ohio (USA), po raz dziesiąty	F. 60,00
E. Zwierciadłowski, Winnipeg, Man. (Kanada)	F. 47,00
Bezimiennie z Canberry	F. 135,65
Bezimiennie z Mediolanu (Włochy), po raz dziewiąty	F. 60,00
Bezimiennie z Nowej Zelandii, po raz drugi	F. 60,00

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTA NA KOMITET OBRONY ROBOTNIKÓW

Dominik Morawski, Rzym	F. 250,00
Rada Stowarzyszeń Weterańskich w Cleveland, Ohio (USA) ..	F. 300,00

Dwugłos o eurokomunizmie

Gustaw Herling-Grudziński: — Dobrym punktem wyjścia do naszego dwugłosu będzie, jak sądzę, fragment artykułu Kołakowskiego w jednym z lutowych numerów tygodnika rzymskiego *Espresso*. „Opozycja antytotalitarna w krajach bloku sowieckiego odnosi się do tak zwanego eurokomunizmu z dość mieszanymi uczuciami. Oczywiście opozycja ta wita z zadowoleniem każdy akt poparcia moralnego ze strony komunistów zachodnich, każdą ich ostrożną i łagodną krytykę pod adresem rządów komunistycznych we Wschodniej Europie. Na owe uwagi krytyczne powołują się często różne dokumenty opozycji. Należy jednak podkreślić, że sympatia do eurokomunizmu w krajach komunistycznych jest głównie sympatią do ruchów osłabiających ekspansjonizm sowiecki, a nie globalnym poparciem dla poprawionej wersji komunizmu. Jak dotąd, jedynym znanym komunizmem sprawującym władzę jest komunizm typu sowieckiego, w swojej odmianie leninowsko-stalinowskiej: totalitarny, imperialistyczny i wysoce opresyjny we wszystkich dziedzinach ludzkiego działania. Dopóki w partiach eurokomunistycznych nie dojdzie do całkowitego i nieodwracalnego zerwania z systemem sowieckim, sympatia opozycji antytotalitarnej w Europie Wschodniej będzie pełną rezerwą”.

Opinia Kołakowskiego pokrywa się dokładnie z tym, co na temat eurokomunizmu pisałem parokrotnie w *Kulturze*. W numerze styczniowym, wyraziwszy mój sceptycyzm wobec eurokomunizmu lecz zaznaczywszy równocześnie że „sympatie do eurokomunizmu wśród dysydentów na Wschodzie są bardziej skomplikowane i w sumie zrozumiałe”, wysunąłem jako jedyny bezsporny sprawdzian jego dobrej wiary całkowite zerwanie z systemem sowieckim; czyli w praktyce przejście na pozycje socjaldemokratyczne.

Mamy teraz okazję spojrzenia na eurokomunizm z dwóch różnych — zobaczymy w jakim stopniu różnych — punktów widzenia: polskiego emigranta politycznego zamieszkałego we Włoszech i ściśle związanego z *Kulturą*; oraz głęboko zaangażowanego działacza opozycji polskiej w kraju.

Pytania jakie eurokomunizm nasuwa obserwatorom, którzy odmawiają mu zbyt pośpiesznego i łatwowiernego kredytu zaufania, są nam znane. Taktyka w drodze do władzy, czy rzeczywiste i definitywne rozstanie z leninowsko-stalinowskim modelem komunizmu? Respektowanie zasad demokracji i pluralizmu dopóki się jest w opozycji, jako narzędzi swoistej rewolucji za pomocą kartki wyborczej (skoro inna jest na Zachodzie mało prawdopodobna), czy przyjęcie ich na stałe i wyrzeczenie się dyktatury jednej partii? Wielka operacja za cichą zgodą Moskwy, czy świadome i planowe oddalenie się (choćby na hamulcach) od Moskwy? Zdają sobie sprawę, że wadą tych pytań jest ciągłe ocieranie się o „spiskową teorię historii”, co próbom odpowiedzi na nie musi nadawać charakter deklaracyjny: wierzę eurokomunistom; nie wierzę żadnym komunistom. Ostatecznie istnieje także zjawisko mniej wystawione na niebezpieczeństwo deklaracyjności, zjawisko zwane „dylematem zachodniego socjalizmu”...

Adam Michnik: — Przywołam — dla rozwinięcia tego aspektu problemu — wywód Leszka Kołakowskiego.

„Jeśli ruch socjalistyczny — pisze Kołakowski w londyńskiej *Trybunie* — ogłasza się nosicielem interesów partykularnych klasy robotniczej przeciwko żądaniom i aspiracjom wszystkich pozostałych części społeczeństwa (choćby obiecywał, że w nieokreślenie dalekiej przyszłości wszystkie interesy „ostatecznie” się zbiegną), jest on nieuchronnie ruchem mniejszości. Jeśli więc, w sprzyjających okolicznościach, może przemocą opanować instrumenty władzy, skazany jest na utrzymywanie tej władzy środkami despotycznymi i przeobrazi się nieuchronnie w dyktaturę aparatu politycznego skierowaną przeciwko wszystkim warstwom społecznym, włączając klasę robotniczą. Innymi słowy: dyktatura proletariatu nad większością społeczeństwa jest po prostu niemożliwa, możliwa jest tylko dyktatura partii; nie jest możliwe przechowanie praw demokratycznych dla klasy robotniczej przy odebraniu ich wszystkim innym. Lecz również dyktatura partii może być tylko krótkotrwała, albowiem niepodobieństwem jest utrzymanie demokracji wewnątrzpartyjnej w warunkach, w których uprawnienia demokratyczne zostały odebrane reszcie społeczeństwa”.

„Stąd wniosek: — kontynuuje Kołakowski — jeśli demokra-

tyczny socjalizm jest w ogóle możliwy, może on być tylko ruchem, który zdobył poparcie znacznej większości klas średnich, to znaczy chłopstwa (tam, gdzie ono w ogóle istnieje), inteligencji najemnej (nauczycielstwa, intelektualistów, warstw urzędniczych i menadżerskich), pracowników usług, wolnych zawodów, a także drobnego przemysłu i handlu. Program socjalistyczny, który nie jest do przyjęcia dla znacznej większości tych warstw, nie może być programem demokratycznego socjalizmu, jakkolwiek by się nazywał”.

„Katastrofa chilijska dostarczyła jaskrawej i dramatycznej ilustracji przytoczonego rozumowania: kraj w stanie gwałtownego wrzenia i kryzysu gospodarczego, podzielony niemal równo między trzy obozy polityczne, z lewicą, która nie mogła zdobyć poparcia ani niższych klas średnich, ani nawet całej klasy robotniczej, a której to lewicy część parła ku despotyzmowi rewolucyjnemu. Powstała sytuacja, z której dobrego wyjścia nie było (oprócz, być może, cudu w postaci natychmiastowej i gigantycznej pomocy gospodarczej z zewnątrz, do czego, rzecz jasna, nie kwapiły się żadne mocarstwa, choć każde z innych powodów). Dyktatura lewicy nie była technicznie możliwa, gdyby była możliwa (czego nie można wykluczyć w innym kraju i w nieco innych okolicznościach) mogła być przez mgnienie oka tworzyć złudzenie dyktatury proletariatu, aby rychło przeobrazić się w despotyczne rządy biurokracji jednej zwycięskiej partii i policji. Drugą możliwością była dyktatura militarna prawicy i ta właśnie stała się ciałem”.

Zgadzam się w zasadzie z Kołakowskim i dlatego właśnie sądzę, że eurokomunizm — odpowiadając na konkretną sytuację społeczną i polityczną — musi dążyć do szukania formuł reformistycznych i demokratycznych. Dotyczy to zwłaszcza partii masywowych, które mają realne szanse na wejście do rządu.

G.H.G.: — Tutaj wchodzimy na grunt obiektywnych przyczyn, które komunistów zachodnioeuropejskich powinny skłonić do wieczystego a nie tylko taktycznego i czasowego pogrzebania wzoru sowieckiego. Spróbuję to prześledzić po krótko na przykładzie Włoch, i dlatego że znam najlepiej stosunki w tym kraju, i dlatego że komunistów włoskich uważa się, nie bez racji, za właściwych prekursorów i promotorów eurokomunizmu. Analiza Kołakowskiego w *Dylemacie zachodniego socjalizmu* pokazuje zwięźle i precyzyjnie społeczną konieczność ewolucji w stronę socjaldemokracji. Ponieważ nie sprawdziły się przewidywania, że w miarę postępów industrializacji będzie wzrastał względny udział ludności robotniczej przy równoczesnym spadku względnej liczebności klas średnich, trzymanie się głoszonej przez Gramsciego

„hegemonii klasy robotniczej” musiałyby zamknąć komunistów włoskich w obrębie mniejszości, bez możliwości odwoływania się do pozostałych części społeczeństwa. Innymi słowy, albo interesy partykularne klasy robotniczej i linia na modłę sowiecką wiodąca do dyktatury jednej partii; albo zdobycie zaufania znacznej większości klas średnich i linia na modłę zachodnią wiodąca do socjalizmu demokratycznego w ramach systemu wielopartyjnego. We Włoszech, wśród krytyków traktujących podejrzliwie eurokomunizm, określa się to formułą: trzeba domagać się od komunistów włoskich, by przeszli przez swój Bad Godesberg.

Tyle o konieczności społecznej. Co do konieczności politycznej, to wystarczy po prostu stwierdzić że z chwilą, gdy skończyły się powojenne rachuby na rewolucję i zbrojny pochód sowiecki na Zachód, przed komunistami włoskimi stało i nadal stoi od blisko trzydziestu lat pytanie: jak długo wielka i stale rosnąca partia może wytrzymać w opozycji? Obecny premier włoski Andreotti jest autorem powiedzonka: „Słyszę często, że władza zużywa; najzupełniej słusznie, zużywa tych co jej nie posiadają”. Jeden z przywódców chadecji włoskiej ujął trafnie w kilkunastu słowach polityczny problem komunistów włoskich.

Berlinguer, w książeczce jaką o nim napisał dziennikarz Gorresio, powołuje się z aprobatą na szkic Crocego *Dlaczego nie możemy nie nazywać się chrześcijanami?* Konieczność zagwarantowania pokoju religijnego w kraju katolickim, posunięta aż tak daleko (w ustach komunisty), byłaby więc trzecią obiektywną przyczyną stopniowego lecz konsekwentnego rozbratu PCI z „ojczyzną proletariatu światowego”.

I wreszcie układ stosunków międzynarodowych. Dość posłuchać samego Berlinguera: „Nie chcę, by Włochy występowały z NATO, gdyż naruszyłyby to równowagę międzynarodową. Czuję się bezpieczniejszy tu, gdzie jestem. System zachodni nakłada nam mniej ograniczeń, niż Moskwa”.

Zgromadziłem celowo najważniejsze chyba argumenty, które przemawiałyby za trwałością ewolucji włoskiego komunizmu, głównego trzonu eurokomunizmu. Powiem później czemu wydaje mi się, że mimo ich ciężaru gatunkowego nie stanowią dostatecznej rękojmi nieodwracalności, a co za tym idzie autentyczności, procesu ewolucyjnego.

A.M.: — W epoce stalinowskiej analiza ruchu komunistycznego nie nastęrczała szczególnych trudności. Partie były kierowane w praktyce przez Centralę i w zasadzie można było je traktować jako agendy partii radzieckiej. Dlaczego komuniści pozwalali sobą kierować w ten sposób, to osobny temat. Uwzględnić tu wypada kontekst międzynarodowy (fasyzm), kontekst ideowy (mit pierw-

szej zwycięskiej rewolucji antykapitalistycznej), zjawisko określane przez Miłosza jako „zniewolenie umysłu” etc. Po XX zjeździe KPZS rozpoczął się — tezą Togliattiego o policentryzmie — proces destalinizacji i desatelizacji w międzynarodowym ruchu komunistycznym. Zjawisko „eurokomunizmu” jest fazą tego procesu.

Odrzucam „spiskową” teorię historii, która głosi, iż jest to wynik tajemnych planów Kremla. Jest ona równie absurdalna jak teza, że ruch opozycyjny w Europie Wschodniej jest dziełem schizofreników bądź imperialistycznych służb wywiadowczych.

„Eurokomunizm” bywa nader często analizowany wyłącznie przez pryzmat stosunków z ZSSR. To jest mylące. Nie związki z Moskwą przeciw podyktowały 12 milionom Włochów decyzję głosowania na PCI. PCI zawdzięcza swą popularność i siłę długim latom walki z fasyzmem. Jest partią uformowaną nie tylko przez związki z Kominternem, ale i przez konkretną włoską sytuację, jest autentycznie związana z klasą robotniczą, której praw i interesów twardo broni; reprezentuje realistyczny program strukturalnych reform i przeobrażeń. To samo powiedzieć można o Komunistycznej Partii Hiszpanii.

Proces ewolucji włoskich komunistów łatwiej zrozumieć w kontekście innych ewolucji, w które obfitują dzieje ruchu komunistycznego. Przypomnieć tu wypada Koestlera, Silonego czy Annie Kriegel, którzy całkowicie zerwali z komunizmem, ale przypomnieć też trzeba Bienkowskiego, Dedijera, Havemanna, Hegdusa, Smrkovsky’ego, Dubczeka czy Młynara, którzy próbowali (i próbują nadal) komunizm od wewnątrz przekształcać. Ewolucja włoskich i hiszpańskich komunistów przypomina drogę ideową tych drugich. Jest to próba destalinizacji partii komunistycznych bez zrywania z ciągłością tradycji. Nieco inaczej traktują ewolucję przywódców KP Francji. Jest to również ewolucja autentyczna, ale ewolucja innego rodzaju, mimo pozornych analogii. Georges Marchais reprezentuje w ramach eurokomunizmu tendencję bliską — powiedzmy — linii przywódcy rumuńskich komunistów Ceausescu. Dystansowaniu się od polityki ZSSR nie towarzyszy demokratyczna autorewizja własnej polityki.

Trudno przewidzieć dalszą ewolucję Berlinguera czy Carilla, ale równie trudno było przewidywać ewolucję Dubczeka. Dlatego też, choć nie utożsamiam się z eurokomunizmem, spoglądam na eurokomunistów z nadzieją. Mając wiele zastrzeżeń, wierzę jednak w to co powiedział mi w osobistej rozmowie Giancarlo Pajetta: komuniści włoscy nigdy już nie zaakceptują prześladowania opozycjonistów w Europie Wschodniej.

G.H.G.: — 10 lutego ukazał się w *Espresso* „apel dwóch mark-

sistów do wszystkich marksistów". Jego wybitni autorzy, profesor Lucio Colletti i profesor Massimo Salvadori, postawili kierownictwu włoskiej partii komunistycznej swego rodzaju ultimatum: albo z takimi czy innymi zastrzeżeniami pozostajecie wierni przeszłości leninowsko-stalinowskiej; albo, jak to już zrobił Carillo, decydujecie się *urbi et orbi* powiedzieć, że „w Związku Sowieckim panuje dyktatura cienkiej warstwy społecznej nad całym społeczeństwem”, że system sowiecki nie ma nic wspólnego z socjalizmem i dla socjalistów nie może być w żadnej mierze modelem do naśladowania. Drobny urywek tego apelu zasługuje na dosłowne przytoczenie: „Chociaż wasza partia oparła swoją strategię na demokracji politycznej, jej nie wyjaśnione związki z tradycją pozwalają wciąż chadecji blokować dostęp lewicy do rządu poprzez wskazywanie dwuznaczności PCI, partii skrywającej w sobie, jako resztkę własnego pochodzenia, odłożony chwilowo na bok projekt totalitarny”.

Tegoż dnia wieczorem odbyła się w telewizji konferencja prasowa Berlinguera. Z werdyktem hiszpańskiego sekretarza o ZSSR załatwił się krótko: „Sąd pobieżny, którego nie podzielam”. Arrigo Levi, redaktor turyńskiego dziennika *Stampa*, zagadnął go o „apel dwóch marksistów”. Można w trzech punktach streścić odpowiedź Berlinguera. ZSSR i kraje demokracji ludowej są państwami, w których (co prawda wśród wstrząsów i sprzeczności) istnieje socjalizm, z całym postępem jaki to słowo oznacza; przyjaźń z tymi krajami socjalistycznymi („prócz tylu dobrych stron, zdarzają się w nich także zjawiska nadające się do krytyki”) nie zostanie z pewnością narażona na szwank, aby sprawić przyjemność ludziom, którzy w takim rozwodzie widzieliby prawdziwą odnowę PCI; zbliżająca się narada komunistów włoskich, francuskich i hiszpańskich w Madrycie nie będzie miała bynajmniej charakteru preludium, jak wyobrażają sobie niektórzy, do wypracowania autonomicznego stanowiska eurokomunizmu wobec ZSSR. Levi spróbował jeszcze skierować rozmowę na dysydentów sowieckich i wschodnioeuropejskich. Berlinguer wzruszył ramionami: „Błędy nieuniknione, gdy buduje się socjalizm”. W dwa tygodnie potem, podczas wizyty Corvalana w Rzymie, z naciskiem podkreślił że PCI nie wyzbędzie się nigdy „czujnego ducha internacjonalistycznego”; czyli, według słusznego komentarza *Le Monde*, nigdy nie zerwie z Moskwą.

Wróć na chwilę do „apelu dwóch marksistów”. Mowa w nim o „rozdrożeniu PCI między empiryzmem politycznym, który w jakiejś mierze przyjmuje do wiadomości nową sytuację i wyciąga z niej wnioski, i inercją ideologiczną, która wciąż utrzymuje partię w niewoli starych mitów”. Na prośbę redakcji *Espresso* „apel dwóch marksistów” skomentowali przywódca

socjalistów włoskich Craxi i członek sekretariatu PCI Gerardo Chiaromonte. Craxi, nie bez odcienia ironii, wytknął komunistom włoskim „osobliwą anomalie” w interpretacji ustroju sowieckiego jako „struktury socjalistycznej o nadbudowie autorytarnej”; przypomniał z uczuciem zawodu mediolańską mowę wiecową Berlinguera z 30 stycznia, nagrodzoną burzliwymi oklaskami „bazy” partyjnej za trzy stwierdzenia: że PCI stanowi integralną część składową światowego systemu komunistycznego, że mimo pewnych aspektów nieliberalnych społeczeństwo sowieckie i społeczeństwa w kadeelach są socjalistyczne, że centralizm demokratyczny pozostaje w mocy jako zasadniczy czynnik „odmienności” PCI; i w końcu otwarcie wysunął pod adresem komunistów włoskich zarzut „martwej pauzy w rozwoju, jeśli nie cofnięcia”. Chiaromonte wystawił ZSSR patent na socjalizm, dorzucając tytułem wyjaśnienia że ustrój socjalistyczny może mieć rozmaite reżymy polityczne.

Teraz, po wyłożeniu na stół najświeższego materiału, łatwiej mi będzie przedstawić moją sceptyczną ocenę ewolucji PCI. Dlaczego Berlinguer zarył się naraz w ziemi, ba — jak gdyby ciągnie do tyłu? Słyszysz się o wzmożonej ostatnio presji sowieckiej. W tej wersji Moskwa, zgodziwszy się w swoim czasie bez entuzjazmu (i pod warunkiem nieingerencji komunizmu obrządku zachodniego w sprawy komunizmu obrządku wschodniego) na operację eurokomunistyczną, jest dziś poważnie zaniepokojona że na dalszą metę operacja wymknie jej się całkiem z rąk, a nawet obróci przeciw „blokowi”. Instrumenty presji: pomoc finansowa w ramach spółek handlowych, groźba zmontowania rozłamu, straszak bliskiej Jugosławii po śmierci Tity. Przypuszczalnie jest w tej wersji sporo prawdy, ale istota rzeczy tkwi głębiej. Moim zdaniem sam Berlinguer zaczął się obawiać, że operacja wymknie mu się z rąk, w każdym razie że nie potrafi w pełni panować nad ukrytym w niej ryzykiem. I tu nawracam do obiektywnych względów, które przemawiałyby za trwałością ewolucji włoskiego komunizmu. Sęk w tym, że *nie* przemawiają do większości „bazy” partyjnej. Po trzydziestu latach indoktrynacji ideologicznej i propagandy partyjnej przeciętny członek PCI nie jest w stanie: wyrzec się przekonania o „hegemonicznej roli klasy robotniczej” i towarzyszącej mu tęsknoty do dyktatury jednej partii; przełknąć udział zaledwie we władzy, do spółki ze zniechęconą chadecją, w imię „kompromisu historycznego”; przystać na długofalowe zawieszenie broni z kościołem; rozstać się, pod opiekuńczymi skrzydłami NATO, z mitem rewolucyjnej „ojczyzny proletariatu światowego”. Krótko mówiąc, Berlinguer zrozumiał że jego linia oddaliła się zanadto od nastrojów w dołach partyjnych, że prze-forsował ją dzięki dyscyplinie raczej niż rzeczywistemu poparciu.

Mniej wiem o francuskiej partii komunistycznej, sędzę jednak że przy wszystkich różnicach w konfiguracji politycznej Francji i Włoch, nie brak analogii między pozycją Berlinguera i Marchais. Rozdziałem osobnym jest Carillo, jedyny w eurokomunistycznym zaprzęgu, który ma wszelkie powody by wyrwać się z trójki do galopu.

A.M.: — Niemal wszyscy krytykują eurokomunistów za zbyt powolne tempo ewolucji. Sędzę, że sprawa jest bardzo złożona, że apele o szybszą ewolucję, w rodzaju cytowanego tekstu Colletiego i Salvadoriego, są tyleż pozytywne co nierealistyczne. Pozytywne — bo stanowią element presji; nierealistyczne — bo proces ewolucyjnego odchodzenia od stalinizmu zupełnie inaczej przebiega w przypadku intelektualisty, a inaczej w przypadku masowego ruchu czy wielotysięcznej partii robotniczej.

Zgadzam się, że ważką rolę odgrywa tu opór stalinowskiej bazy. Sędzę np. że gdyby przywódcy PCI ogłosili po interwencji w Czechosłowacji zerwanie z Centralą — co poniekąd postulowała wewnątrzpartyjna opozycja (Rossanda, Natoli, Pintor, Magri) — to konsekwencją tego byłby rozłam w partii. Dubczek i inni też nie odrzucili stalinizmu i wszystkich jego konsekwencji z dnia na dzień. Włoski komunista, jeden z przywódców ruchu związkowego, opowiadał mi niedawno o oporze bazy partyjnej wobec stanowiska sekretariatu PCI w sprawie Czechosłowacji. Działaczom robotniczym, wychowanym w kulcie ZSSR, trudno było znaleźć się w tym samym obozie krytyków „pierwszego państwa socjalistycznego” co skrajna prawica. Nam, ludziom z Polski, trudno to pojąć, ale czyż ktokolwiek z nas potępiałby chętnie dyktaturę w Chile czy Indonezji wspólnie z Żukrowskim czy Putramentem?

Proces ewolucji eurokomunizmu jest powolny, ale kto wie czy nie jest to warunek konieczny jego skuteczności. Wielu ludzi, których wysoko cenię, wystąpiło z partii komunistycznych uważając proces destalinizacji za zbyt powolny i niekonsekwentny. Szanuję odwagę i uczciwość intelektualną Colletiego i Rossandy, Pierre Daixa i Claude Roy, Fernanda Claudina i Jorge Sempruna, ale to nie oni, a właśnie Berlinguer, Carillo i Marchais wprowadzili do ruchu komunistycznego trwałą obyczaj krytykowania konkretnych poczynań antydemokratycznych przywódców sowieckich, polskich i innych. Trudno wprost przecenić znaczenie tego faktu — włoscy komuniści jednoznacznie potępił interwencję zbrojną w Czechosłowacji, więzienie rosyjskich opozycjonistów, antyrobotnicze represje w Polsce. Członek KC PCI, Lombardo Radice, opowiadał mi o swojej niedawnej wizycie u prof. Roberta Havemanna, który znajduje się pod nieustannym ostrzałem prasy

w NRD. Opowiadał mi także o integralnym poparciu udzielonym przez PCI i osobiście Berlinguera Karcie 77. Dodam, że oficjalne wydawnictwo PCI opublikowało książki usuniętych z partii W. Brusa, Roya Miedwiediewa i Mlynara.

G.H.G.: — Trzeba też przyjrzeć się eurokomunizmowi w szerszym kontekście międzynarodowym, ściśle — z perspektywy Ameryki. Mam pod ręką anonimową wypowiedź (przytoczoną w setnym numerze *Survey*) wysokiego urzędnika Departamentu Stanu, eksperta w sprawach „bloku”. Rozumuje on z grubsza tak. Spotykamy się z zapewnieniami, że jeśli eurokomuniści wejdą do rządów koalicyjnych we Włoszech czy innych krajach Zachodu, i jeśli w Ameryce i w ogóle na Zachodzie zostaną zaakceptowani jako *bona fide* demokraci, dopomoże to bardzo siłom rewizjonistycznym w Europie Wschodniej, ułatwiając im walkę o większy stopień niezależności od ZSSR. Nawet z samej Europy Wschodniej docierają do nas głosy, wzywające Amerykę do poparcia eurokomunizmu w interesie owych wysiłków emancypacyjnych. Ale nie wierzymy, by pochod eurokomunizmu mógł być istotnie pomocny w procesie pokojowych i stopniowych zmian na Wschodzie. Dlaczego? Gdyby we Włoszech, we Francji lub w Hiszpanii eurokomuniści doszli do władzy, Sojusz Atlantycki zostałby zachwiany i osłabiony, a zatem zachwianiu uległaby strategiczna równowaga sił, do której sam Berlinguer przywiązuje tak wielką wagę jako do niezbędnego warunku wstępnego *détente*. Przy równowadze chwiejnej, bez *détente*, w sytuacji osłabienia Zachodu, ZSSR z całą pewnością stałby się mniej tolerancyjny i bardziej skłonny do dominacji. Szanse większej niezależności krajów Wschodniej Europy spadłyby raczej znacznie, niż wzrosły.

Nietrudno odgadnąć, że ekspert Departamentu Stanu pochodzi ze stajni Kissinger-Sonnenfeldt. Kamieniem filozoficznym jego wywodu jest zachowanie za wszelką cenę *status quo*, naturalnie ubrane w obłudną „troskę” o Wschodnią Europę. Dla mnie, rzecz jasna, wszystko jest lepsze od *status quo*. Jeśli więc eurokomunizm oznacza pewne jego naruszenie (nawet bez potrzeby wystawiania eurokomunistom świadectwa demokratyczności *bona fide* i akceptacji ich udziału w rządach), większa elastyczność amerykańska wobec Trójki wydaje mi się bardziej obiecująca od jednoznacznego *veto*. Tę większą elastyczność widać chyba u Brzezińskiego.

A.M.: — Pytanie zasadnicze brzmi: kto na Zachodzie jest sojusznikiem ludzi walczących w Europie Wschodniej o prawa człowieka? Na ocenę Cartera jeszcze za wcześnie, ale — moim zdaniem — nie jest tym sojusznikiem amerykańska polityka w swoim

wariacie kissingerowsko-sonnefeldtowskim. Tę politykę — przepraszam za niemodne sformułowanie — uważam za cyniczną i imperialistyczną. Jej istotą jest dążenie do utrwalenia podziału świata między super-mocarstwa, do stabilizacji *status quo* w Europie Wschodniej i w Europie Zachodniej. Jest to zgodne — choć uznają to niektórzy za paleomarksizm — z interesami wielkiego kapitału, który inwestuje w Europie Wschodniej. Mówili mi włoscy komuniści, że „Fiat” chętniej inwestuje tam, niż we Włoszech, bowiem ma tańszą siłę roboczą i nie ma kłopotów z robotniczymi strajkami. Z kolei włoski minister spraw zagranicznych Forlani zacytował niedawno wypowiedź sowieckiego przywódcy, że „we Włoszech jest zbyt wiele partii, zbyt wiele strajków i zbyt wiele pornografii”. Nie muszę dodawać, jak cierpko zareagowała włoska lewica na tę wypowiedź.

Doktryna Sonnenfeldta, której fundamentalnym założeniem było zamrożenie *status quo*, spotkała się z jednoczesną krytyką zachodniej lewicy i wschodnioeuropejskich „dysydentów”. Niestety obie strony nie do końca zdawały i zdają sobie sprawę z wspólnoty swych interesów. Dlatego trzeba tę wspólnotę tłumaczyć jednym i drugim. Akcja dysydentów w Europie Wschodniej potrzebna jest lewicy — także eurokomunistom — bowiem tylko poprzez przewyciężenie Świętego Przymierza super-mocarstw możliwa jest realizacja projektu „socjalizmu w wolności” na terenie Europy Zachodniej. Akcja lewicy zachodniej jest nam potrzebna, bowiem jest ona czynnikiem destabilizującym Święte Przymierze, jest tym czynnikiem presji na rządy, który może przeobrazić *détente* w autentyczne odprężenie oparte na respektowaniu praw człowieka w całej Europie. Myślę przeto, że to lewica jest naszym sojusznikiem. Nie tylko dlatego, że widzę w tych ludziach jakąś autentyczną ideowość, że w powodzi głupstw, które mówią, piszą i robią dostrzegam rzeczywistą pasję walki o lepszy świat, że odnajduję w nich te cechy mentalne, które są właściwością najszlachetniejszych dysydentów z Europy Wschodniej; słowem: że serce jest po lewej stronie, zaś po drugiej kieszeń nabita pieniędzmi... Przypominam ci wypowiedź Chiraca na temat Pluszcza czy komentarz redakcyjny *Le Figaro*, gdzie przeczytaliśmy, iż obrona praw człowieka w Europie Wschodniej jest tożsama z nawoływaniem do zbrojnej rewolty. Przypomnę ci także, że to nie Berlinguer, ale wielki włoski kapitał buduje dziś *entente cordiale* z rządami Wschodniej Europy, oraz, że to nie Agnelli i Pirelli, ale kierowany przez komunistę Bruno Trentina związek zawodowy metalowców (FLM) ogłosił deklarację solidarności z Komitetem Obrony Robotników i zadeklarował gotowość materialnej pomocy dla prześladowanych polskich robotników.

Lewica zachodnia — eurokomunistów do niej zaliczam — formułuje pytania istotne dla wszystkich społeczeństw industrialnych. Wyobraźmy sobie, że w Polsce są respektowane wszystkie prawa człowieka. I co dalej? Stajemy natychmiast wobec problemów diskutowanych dziś przez lewicę: czym ma być fabryka, jak ma funkcjonować samorząd, jak zreorganizować uniwersytet i — szerzej — cały system edukacji? Jak będziemy rozwiązywać problemat „jakości życia” i zagrożenia ekologicznego? Co zrobić z tzw. „czasem wolnym”? Jak zorganizować demokratyczne funkcjonowanie środków masowego przekazu? Wszystkie te problemy musi podjąć ruch opozycyjny w Europie Wschodniej i bardzo pomocne mogą tu być refleksje eurokomunistów i — szerzej — zachodniej myśli lewicowej. I tak: wiele można się nauczyć z walki włoskich metalowców o płatną naukę robotniczą, wiele skorzystać można z dyskusji francuskiej lewicy na temat *l'auto-gestion*.

Wreszcie doświadczenie hiszpańskie. Przecież to doskonały i zasługujący na szczegółowe studium model walki z totalitarną dyktaturą; model ewolucyjnego wychodzenia z tej dyktatury ku formom demokratycznym. Hiszpański eurokomunizm może być dla ludzi lewicy z Europy Wschodniej ważną lekcją budowania wspólnego frontu z inaczej myślącymi, lekcją otwartości i lojalnego współdziałania z Kościołem Katolickim, lekcją — wreszcie — budowania niezależnego ruchu robotniczego w warunkach totalitarnej opresji. Myślę tu oczywiście o słynnych „komisjach robotniczych”, niezrównanym instrumencie walki o robotnicze prawa i interesy.

Do inplantacji w Europie Wschodniej nadaje się zresztą zasadniczy zrąb programu deklarowanego przez eurokomunistów. W madryckiej deklaracji, złożonej wspólnie przez Berlinguera, Carilla i Marchais, czytamy m.in.

„Komuniści Hiszpanii, Francji i Włoch pragną działać w kierunku zbudowania nowego społeczeństwa, przy wielości sił politycznych i społecznych, w poszanowaniu, gwarancji i rozwoju wszystkich wolności kolektywnych czy indywidualnych: wolności myśli i słowa, prasy, zrzeszania się i zgromadzeń, manifestacji, swobodnego poruszania się ludzi tak wewnątrz ich krajów jak i za granicę, wolności ruchu związkowego, niezależności związków zawodowych i prawa do strajku, nietykalności życia prywatnego, poszanowania wyborów powszechnych i możliwości demokratycznej alternatywy większości, wolności religii, wolności kultury, wolności wyrazu dla różnych prądów i poglądów filozoficznych, kulturalnych i artystycznych. Ta właśnie wola realizowania socjalizmu w demokracji i wolności daje początek koncepcjom wypracowanym niezależnie przez każdą z trzech partii”.

Niczego innego nie pragnę dla Polski.

Co prawda, eurokomuniści nie opublikowali w Madrycie jednoznaczego oświadczenia na temat sytuacji w Europie Wschodniej, co może czynić ich pozycję dwuznaczną. Powody tej niekonsekwencji są oczywiste: jest to lęk przed ostatecznym zerwaniem, które jest jednak — moim zdaniem — nieuchronną konsekwencją procesu destalinizacji. Wszelako spoglądając na to z mojego warszawskiego podwórka, trudno nie odnotować, że efektywny wpływ eurokomunizmu na kierownictwa partii wschodnioeuropejskich trwać będzie tak długo, jak długo istnieć będzie — werbalna choćby — jedność. Nie jest to, niestety, jedyny paradoks na tym najlepszym ze światów.

G.H.G.: — Postaram się, w „ostatnim słowie”, moje stanowisko podsumować. Bez wyraźnego oderwania się od systemu sowieckiego, od leninowsko-stalinowskiego podglebia, eurokomunizm musi budzić nieufność. Jego radykalna i trwała ewolucja w kierunku socjalizmu demokratycznego jest na najbliższą metę mało prawdopodobna, nie tyle ze względu na naciski, szantaże i manewry Moskwy, co ze względu na ukształtowaną w ciągu wielu lat mentalność dołów partyjnych i zapewne dużej części aparatu partyjnego. Ale przyznaję, że za daleko sięgać wzrokiem nie można, że nie wolno z góry wykluczać definitywnie ewentualności głębszych przeobrażeń. Coś się ruszyło i draży, a wszystkich elementów ruchu nie da się przewidzieć. Na przykład, wzrost opozycji wewnętrznej w „bloku” w równej mierze korzysta z eurokomunizmu co nań tak czy inaczej wpływa.

Masz całkowitą słuszność, że zerwanie eurokomunizmu z systemem sowieckim uniemożliwiłoby opozycji antytotalitarnej w „bloku” odwoływanie się do Berlinguera, Marchais i Carillo; dzisiejsi „towarzysze”, choćby niezbyt prawomyślni, przeistoczyliby się natychmiast w „renegatów”. Racja, lecz na krótki dystans. W wypadku zerwania eurokomunistom pozostałoby jedyne wyjście: wspólny z eurosocjalistami front antytotalitarnej lewicy. Nie obojętny i niemało ważny punkt odniesienia dla tych sił, które w „bloku” stawiają opór sowiectyzmowi pod hasłem socjalizmu demokratycznego.

Tak czy owak, niezależnie od tego jak się w przyszłości potoczą wypadki, *hic et nunc* obowiązuje trzeźwość. Wspomniałem o mentalności dołów partyjnych i dużej części aparatu partyjnego we Włoszech. Drobny incydent uprzytomni ci jak to wygląda na odcinku intelektualistów komunistycznych. Dyrektor Biennale, socjalista, postanowił w tym roku urządzić wystawę poświęconą działalności i twórczości dysydemtów w ZSSR i w Europie Wschodniej, na wzór wystaw poświęconych w przeszłości Chile

i Hiszpanii. Komunistyczny członek rady nadzorczej Biennale, profesor uniwersytetu weneckiego, założył gwałtowny protest: „Kiedy się stawia obok siebie Chile i Hiszpanię oraz kraje Wschodu, stosuje się chwyt który kategorycznie odrzucam, który ma cechy ordynarnej i powierzchownej instrumentalizacji. Uważam ten paralelizm za wyraz nieokrzesanego antysowiectyzmu”. Okrzesany eurokomunizm za bluźnierstwo poczytuje zestawienie ZSSR i Chile, PRL i Hiszpanii.

A.M.: — Zupełnie się z tobą zgadzam. Wszelako istotniejszym od tego skąd się idzie, jest *dokąd* się podąża. Wierzę, że kierunkiem ewolucji jest alternatywa demokratycznego socjalizmu, tak ważna dla całej Europy.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Adam MICHNIK

7 marca 1977

ZAPRENUMERUJ **“AN EKS”** do ocenzonej prasy
POLITYCZNY KWARTALNIK **A N E K S**
w Polsce

W nr. 13/14 m.in. J. Kuroń: *Myśli o programie działania*; A. Michnik: *Nowy ewolucjonizm*; W OBRONIE ROBOTNIKÓW — dokumenty; *O chrześcijaństwie, socjalizmie, kościele i polityce* — c.d.: F. Niedolski: *Dlaczego nie całkiem jestem chrześcijaninem*; G. Gawiński: *Niebo w płomieniach*; A. Pospieszalski: *Myśli o opozycji*; PAŹDZIERNIK 1956: J. Gross: „*W 20 lat później*”; A. Ważyk: *Co to było?* Z. Kubiak: *Natura i obłęd*; W. Woroszyński: *Dziennik węgierski*.

Upřednio w nr. 12-tym m.in. Wywiad z A. Słonimskim; Ważny zbiór esejów ośmiu autorów krajowych *O chrześcijaństwie, socjalizmie, kościele i polityce*; L. Kołakowski: *O tak zwanym kryzysie chrześcijaństwa*; CZERWIEC 1976: Komentarze W. Brusa, S. Gomułki, A. Smolara — DOKUMENTY.

Rocznie — 4 numery — ok. 640 str.: \$ 10, £ 4, Skr. 36.
Zamówienia wraz z wpłatą prosimy przysyłać na adres:

**A N E K S, 61, Dorset Road, LONDON W5 4HX,
ENGLAND.**

De profundis alla polacca: „W samym sercu gówna”

Jednego nie można odmówić bohaterowi lirycznemu „Zwierzątka”: szczerości. Przemawia on w tej książce nareszcie we własnym imieniu. W porównaniu z poprzednimi tomami poetyckimi Brylla zdecydowanie mniej tutaj — przynajmniej na pozór, w sferze samych tylko zaimków osobowych — natrętnego i uzurpatorskiego „my”, zdecydowanie więcej zwykłego „ja”. Które to „ja” też jest, rzecz jasna, maską, liryczną pozą; ale tym razem jest to przynajmniej poza na szczerość. Dobre i to.

Zwłaszcza, że bohater ma sobie samemu — tak by się mogło wydawać — wiele do zarzucenia. Zdaje sobie doskonale sprawę, że jest jednostką od strony moralnej niejednoznaczną. Żyjąc w określonej epoce, na określonym obszarze geograficznym, w określonym układzie stosunków społecznych, staje wobec tak wielu okazji zwykłego zeszczenia się, że — pozbawiony jakiegokolwiek etycznej busoli — żadnej z tych możliwości nie potrafi się oprzeć. Stąd jego poczucie winy, najczęściej zresztą tłumione, przebijające się na powierzchnię wielu utworów wyłącznie w formie podświadomościowej symboliki, w zaszyfrowanych lecz czytelnych motywach obrazowych, które dają wyraz eskapistycznej potrzebie oderwania się od przyziemnego brudu życia:

*Jeszcze ulecieć w niebo jak w dzieciństwie było
Kiedy się ciężar ziemi tylko śniło*

(„Jeszcze ulecieć...”).

*Zanurzyć się wieczorem w podwodną głębinę
Z jednego ruchu w falę się przewinąć
I płynąć z wodą tam gdzie ona płynie
Nad oceanów pochmurną dolinę*

(Zanurzyć się wieczorem)

Zwłaszcza ten ostatni motyw — wody, głębin, oceanu — pojawia się w „Zwierzątku” z częstotścią wręcz obsesyjną. Ale też trudno się dziwić, że bohater w snach i marzeniach tęskni za oczyszczającym dotknięciem morskich głębokości. Na jawie nura się przecież w zupełnie innych otchłaniach: „Tam, w samym sercu gówna, w gnojowisku” (incipit wiersza na str. 69). Tkwi po uszy w moralnych nieczystościach i poprzez nie bulgocze smutno swoje polskie „De profundis”... Jest przy tym, we własnym mniemaniu, taki sam jak wszyscy inni. Tak jak inni bierze bez oporów udział w zbiorowym kłamstwie (choć, jak by wynikało z wiersza „O, jak lekko kłamałem kiedy byłem młody...”, z wiekiem przychodzi to bohaterowi z coraz większym trudem; jest to jednak trud wynikający z przewycięzania przeszkód natury nie tyle etycznej, co technicznej: „Dziś żeby jedno takie kłamstwo dobyć Muszę jak ptasznik po słownikach łowić...”). Okazji do kłamstwa ma jednak nasz bohater szczególnie wiele: podkreśla wprawdzie bezustannie, że jest tylko jednym z wielu szarych i uciemnionych ludzików, jednocześnie wszakże mamy możliwość się przekonać, że w odróżnieniu od nich Bryllowy bohater zdołał uczynić z kłamstwa swoją intratną profesję. Jest bowiem poetą dworskim, który z pokorą przyjmuje zlecenia, gdyż wie doskonale — znamy już ten motyw z wcześniejszych wierszy Brylla — że nawet w momentach rzekomego buntu działa jako z góry zaprogramowany składnik systemu. Stąd jego swoisty fatalizm:

A ja z całą wiedzą

Której się nauczyłem w strachaniu, czekaniu

Wstępuję na czerwone ozory dywanów

I pcham się — aby dalej — do gardła samego

Niby drażniąc, szukając i nie wiedząc tego

Że kiedy już przestanę łechtać podniebienie

Łykną mnie i przetrawią. I w gnój się odmienię

(Tryumf)

Wiedząc, że z gnoju wyszedł i w gnój się obróci, bohater nie ustaje jednak w wysiłkach, aby w międzyczasie „łechtać podniebienie” najgorliwiej jak potrafi. Chwilami tylko ogarnia go lęk na myśl, iż stanął już ostatecznie po stronie „panów” a nie „ludu” („Bośmy się przewinęli z ludu w jego pany” — z wiersza „Lud, co tak słodko...”), po stronie „pająka” przeciw „musze” (wiersz „W kącie, pod szarą chmurą pajęczyny...”). Wyrzuty sumienia, mgliste poczucie winy, świadomość nieodwracalności własnego zaprzędania...

Nie dajmy się jednak nabrać. Bryllowi zresztą wcale na nabraniu nas nie zależy. Jego bohater to osobowość celowo tak skonstruowana, abyśmy od razu byli w stanie dostrzec, że jego rzekome wyrzuty sumienia są tylko przejściową moralną zgagą („Gorzka sól co posiadała język podniebienie” z wiersza „Jeszcze ulecieć...” ma być zapewne metaforą duchowych cierpień, wiadomo jednak, iż gorzka sól, aczkolwiek przykra w smaku, stanowi dos-

* Ernest Bryll, *Zwierzątka*, „Czytelnik”, Warszawa 1975, str. 104 + 4 nlb. Obwolutę i okładkę projektował Zbigniew Czarnecki.

konały środek na poprawę trawienia), że jego rozpacz nad własnym upadkiem nie przeradza się w prawdziwą skruchę, że, jednym słowem, jest on jak owe postacie z Dostojewskiego, które rzucają nam się na szyję łkając: „Izwini, czto ja mierzawiec”, ale ani na chwilę „mierzawcami” być nie przestają.

Dlaczego? Z dwu powodów. Pierwszy jest ten, iż bohater, szamocąc się — „jak wszyscy” — w pajęczynie, mimo wszystko staje (a to już nie „jak wszyscy”) po stronie pająka. Po stronie silniejszego. Nie tylko staje po jego stronie, ale z nim współpracuje, czerpiąc z tego zupełnie jednoznaczne profity (od miękkości pajęczyny blisko już do „miękkich mórz kariery” z wiersza „Połów”). Wciągany „ozorami dywanów” (skądinąd sugestywny obraz poetycki), daje się bez oporu wciągnąć, przełknąć, strawić i wywalić — choć czy tak wiele męstwa potrzeba, aby po prostu na dywany nie wstępować? Zło zostaje wyolbrzymione i zdemonizowane, przedstawione w postaci złowieszczonego pająka, czy irracjonalnie niezwalzonego „wiatru przeciwnego, który z nóg nas ścina” (str. 62): nie nowy to zabieg zresztą, najemni intelektualści — do których należy bohater Brylla — zawsze lubili demonizować sterującą nimi siłę, ubezwłasnowalniającą ich wprawdzie, ale pozwalającą im zapomnieć o braku własnej siły wewnętrznej.

Ten pierwszy powód mógłby jednak być tylko oznaką ludzkiej słabości. Drugi — to już sprawa znacznie poważniejsza. Z owej słabości, z braku kręgosłupa bohater Brylla tworzy sobie bowiem filozofię życiową i — zaleca ją innym. „Izwini, czto ja mierzawiec” — płacze nam w kamizelkę, aby w chwilę potem zaproponować nam — już nie tak dramatycznie, raczej przyjacielskim szeptem na ucho — spótkę w łajdactwie. Powstaje cały system myślowy, którego punktem dojścia i kulminacją jest reklama uroków gnojowiska. Posłuchajmy raz jeszcze:

*Tam, w samym sercu gówna, w gnojowisku
Najlepiej jest przeczekać niedobrą godzinę
Kiedy się skończy — wyleźć.*

Ma się rozumieć, przykry zapaszek owej filozofii życiowej tłumiony jest — w przytaczanym wierszu i w ogóle w poezji Brylla — perfumami autoironii. Wiadomo jednak, że w podobnych sytuacjach perfumy, zamiast tłumić, potęgują tylko woń podstawową: jakoż autoironiczna świadomość własnego zakłamania bynajmniej nie pomaga bohaterowi podźwignąć się z gnojowiska. Przeciwnie, w wielu innych utworach mówi się już o tym ostatnim całkiem na serio, nawet z domieszką patosu, jako o miejscu, w którym już nie tylko „najlepiej jest przeczekać”, ale i najłatwiej jest żywić „krzemienną nadzieję na wieczne przetrwanie” (str. 41). Przetrwac — to najważniejsze. Furda inni ludzie, furda cały świat, furda dobro i zło, prawda i kłamstwo — ważne, aby przetrwać. Wszystkie chwytły dozwolone.

Gdy trzydzieści lat temu Borowski wkładał podobne poglądy w usta *Vorarbeitera* Tadka, wyrażał tym nową, wstrząsającą

prawdę o tym, do jakiego upadku zdolny jest człowiek w określonych warunkach. Gdy dzisiaj mówi nam to samo bohater Brylla, chwilami jesteśmy nawet skłonni przyznać mu rację. Wywód jest bowiem na tyle sugestywny, że zapominamy o drobnej różnicy: owe „określone warunki” są przecież jednak inne. Gdyby bohater Borowskiego wybrał coś więcej niż posuszeństwo wobec instynktu samozachowawczego, wybrałby tym samym piec. Gdyby na analogiczny wybór zdecydował się bohater Brylla, nie czekałoby go wiele więcej niż exodus z „miękkiego morza kariery”, niż zakaz wstępu na „ozory dywanów”. Jest różnica? Jak widać, z biegiem czasu coraz mniejszego nacisku „warunków” potrzeba, aby machnąć ręką na staroświeckie przesady etyki.

No tak, ale przecież wspominaliśmy przed chwilą, że bohater Brylla zachował jeszcze resztki mieszczańskiej przyzwoitości? że gnębią go nieokreślone wyrzuty sumienia? Prawda, tak jest w istocie: ale poczucie winy daje tu znać o sobie tylko w stanach chwilowej rozterki lub w dręczących snach. Z reguły zaś bohater woli udawać przed samym sobą — i przed nami — że jego brak kręgosłupa to raczej chwalebna elastyczność, godne uznania posuszeństwo wobec głosu rozsądku. Dorabia więc do swego postępowania przemyślnie racjonalizacje. I sugestywnie je nam prezentuje.

Racjonalizacja pierwsza: NIE MA PRAWDY. To w pewnym sensie fundamentalne założenie myślowe tej książki — wyeksponowane już choćby w jej tytułowym wierszu, gdzie mowa o nieuchwytnym „zwierzątku prawdy”:

*Ale zwierzątko śliskie i złośliwe
Przegryza się przez słówka, klatki, stroszy grzywę
Znika, wyrasta tam, gdzie go nie siano
Ani się myśli zlitować nad nami*

*I zostajemy z twarzą zadumaną
Z ukrwawionymi po łokcie rękami*

W historii księgę patrząc sfatszowaną.

Skoro prawda — nie jakaś abstrakcyjna prawda metafizycznego absolutu, ale konkretna prawda historyczna! — jest nieuchwytna, to tak, jakby jej w ogóle nie było. Skoro — rozumie bohater — na nic się zdały wszelkie podejmowane dotąd wysiłki odfałszowania „księgi historii” (czy istotnie na nic? i czy rzeczywiście wszystkie takie próby zakończyły się niepowodzeniem? no, ale to już temat do osobnej dyskusji), wobec tego nie ma sensu nadal tym się zajmować:

*Nasze pragnienie, zaślepienie
Że kłamstwo prawdy odwróceniem*

*Dziś wiemy, że to nic nie znaczy
Nauczyliśmy się rozpacz*

(Kantyczka)

„Dziś wiemy, że to nic nie znaczy”. A skoro prawda nic nie znaczy, wobec tego dla człowieka, dla pisarza jedyną „prawdą” staje się „milczenie” („Kolęda”). Wniosek pozornie tylko dramatyczny. Tak naprawdę — bardzo bezpieczny i wygodny.

Racjonalizacja druga: NIE MA WYBORU. Wszelkie możliwe jeszcze w tym momencie moralne rozterki zostają ostatecznie zniwelowane tezą, że zanurzenie się po uszy w gnojowisku jest nie tylko najśluszniejszym, ale w ogóle jedynym możliwym sposobem „przetrawiania”. Przemawia za tym zasadniczy argument: postępują tak wszyscy, całe społeczeństwo, cały naród, przyuczony do tego historycznym doświadczeniem:

*I zamiast stopnieć jak wosk w rękę Pana
Myśmy wybrali sztukę żeglowania...*

(„W tym wietrze...”)

*Bo to jest tylko przerwa, godzina spokoju (...)
To jest godzina chytrych.*

(„Bo to jest tylko przerwa...”)

A jeśli kto postępuje i myśli inaczej, to się po prostu myli. Myli się na przykład dlatego, że, spoglądając z zewnątrz, nie dysponuje naszym doświadczeniem, wiedzą, punktem widzenia. Do tego właśnie problemu (który w dawniejszych wierszach Brylla ujawniał się w postaci zgryźliwych szyderstw pod adresem ignorancji i obojętnej „Europy”) odnosi się w „Zwierzątku” cała seria polemicznych wypadów i kąśliwych aluzji skierowanych przeciw niewymienionemu z nazwiska poecie znad Pacyfiku — skąd, jak zapewno powinien wnioskować czytelnik, istotę polskich dramatów trudniej dostrzec niż z „miękkiego morza kariery” krajowej... Najbardziej manifestacyjną z tych polemik okazuje się oczywiście wiersz „Do Jonatana Swifta” (tu dygresja: taka polemika poetycka, w formie trawestacji przeprowadzona, wydaje mi się, w tym właśnie przypadku, chwytem i niezbyt uczciwym — ilu spośród tysięcy potencjalnych krajowych czytelników Brylla zna wiersz, który jest podstawą trawestacji? — i niebezpieczna dla samego jej autora: jeśli bowiem już dojdzie do zestawienia trawestacji z jej wzorcem, porównanie ich czysto artystycznej jakości wypadnie z całą pewnością na niekorzyść Brylla). Ale argumenty w wierszu tym przedstawione są akurat niezbyt zręczne: teza, iż prawdziwe problemy Liliputów dostrzegalne są tylko z punktu widzenia karła, stoi w jawnej sprzeczności z faktem, iż bohater znany już nam jest z poprzednich wierszy jako może i karzełek, ale taki, który wspina się chyżo i ochoczko, na kolejne szczeble społecznej drabiny. Utożsamienie się z szarym człowieczkiem, z nieszczęsną muchą zaplątaną w wielkiej pajęczynie, jest tu — powtórzmy — uzurpacją. Nie należy do much ten, kto współpracuje z pająkiem.

Racjonalizacja trzecia: NIE MA NADZIEI. Inaczej mówiąc:

z gnojowiska i tak się nie wydostaniemy, i — co więcej — nikt nas z niego nie wyciągnie. W tok argumentacji włącza się tu dość nieskomplikowana historiozofia: wszelkie ludzkie zamiary — powiada nam bohater — obracają się w swoje przeciwieństwo (por. czterowiersze na str. 14), wszelkie wysiłki okazują się bezskuteczne, albowiem perfidne mechanizmy historii niezależne są od ludzkiej woli:

*Więc jestem nauczony, że ziemia tam pęknie
Gdzie ma pęknąć. I ludzie na próżno biegną (...)*

(Piosenka biednego poety)

— w dodatku zaś „drzewo ogniste sumienia”, wyrastające dzięki męczeńskim zrywom jednostek, staje się w toku historii prędkiej czy później emblematem nowej tyranii (wiersz „Kto jest z ciebie stada wygoniony”). Poglądy doprawdy ani oryginalne, ani głębokie. Już trzydzieści lat temu wykpił je błyskotliwie autor „Hommage to Catalonia” w jednym ze swoich esejów, gdzie podobne przekonania określił nazwą gradualizmu katastroficznego (według tej teorii „niczego nie da się nigdy osiągnąć bez przelewu krwi, bez kłamstwa, tyranii i niesprawiedliwości, z drugiej strony jednak nie można się spodziewać, że nawet największy przewrót przyniesie jakieś istotne zmiany na lepsze. Proces historyczny z konieczności łączy się z nieszczęściami, ale każda następna epoka będzie równie lub prawie równie zła, co poprzednia”; płynącym stąd wnioskiem jest oczywiście teza o bezsensowności wszelkiego protestu). Indywidualny wkład Brylla polega tu co najwyżej na wyeksponowaniu przekonania, iż wśród powszechnego braku sensu szczególną absurdalnością wyróżniają się złudzenia na temat społecznej roli współczesnego poety (a chyba wolno to rozszerzyć i na intelektualistów w szerszym sensie):

*Ten który skrzywdził człowieka prostego
Wynajdzie rymopisów, co wszystko wymażą (...)
Takie jest doświadczenie. A my byśmy chcieli
Aby się słowa poety lękano (...)*

(Ten który)

*Jakie to było piękne i logiczne
Poeta wstaje — padają tyrani (...)*

Jakie to wszystko głupie dzisiaj, jakie ciemne

(Ogród ziemi)

I znów ten sam punkt dojścia: jedyną prawdą — milczenie. Po pierwsze, słowo wobec przemocy jest śmiesznie bezsilne („nie ma słowa, co ludzi ocala...”, str. 53); po drugie, w królestwie przemocy poeci to tacy sami słudzy imperatora jak wszyscy inni obywatele. Oto finał ewolucji „postawy obywatelskiej”, która

podobno zawsze cechowała bohatera lirycznego twórczości Brylla... Jak dobrze jest w ciepłym gnojowisku, jak bezpiecznie i zacisznie!

Nie ma prawdy. Nie ma wyboru. Nie ma nadziei. Tom Brylla — opatrzony sielankowym tytułem i gustowną wstążeczką wymalowaną na obwolucie — jest najbardziej przerażającą książką poetycką, jaką zdarzyło mi się czytać w ostatnich latach. Pokazuje bowiem naocznie, do czego jest w stanie — również i dzisiaj dojdź literatura: do usprawiedliwiania własnego zakłamania i zniewolenia, do otwartego propagowania go jako postawy obrzydliwej wprawdzie, ale jedynie logicznej i rozsądnej, ba, odpowiedzialnej i heroicznej nawet:

*Czy jest nam źle?... Być może niejednego boli
Uwiera coś przy karku, oddech nagle dławi*

*Ale tak właśnie rodzą perłopławy
Tak z udręczenia, krwi, potu i soli
Scala się iza klejnotów.*

*Jej jasność objawić
Trzeba, mój literacie. Reszta jest milczeniem
Bełkotem morza. Niemym skorupy cierpieniem*

(Perła)

Skąd jednak, mimo tych wszystkich przemyślnych racjonalizacji i samousprawiedliwień, biorą się owe mgliste wyrzuty sumienia, o których wspominaliśmy już parokrotnie? Jest to problem szczególnie pouczający. Okazuje się bowiem, że wszelkie, najbardziej nawet wyszukane samooszustwa nie są w stanie całkowicie uspokoić naszego bohatera: od czasu do czasu musi on spojrzeć na siebie nie od strony swego — opanowanego żądzą „przetrwania” — indywidualnego „ja”, ale z zewnątrz, z punktu widzenia jakiejś transcendencji. Niekiedy są to „zmarli” — może między innymi ci, którzy nie dopuszczali do siebie zapewnienia „najważniejsze, aby przetrwać” i uznawali, że są ceny, których za przetrwanie zapłacić nie wolno. Częściej pojawiają się symboliczne motywy „nieba”, „oceanu”, „ziemi”, rozumianych jako elementy wieczności, która nasze doczesne — choćby najbardziej usprawiedliwione i racjonalne — wybiegi przenosi w inny wymiar i ocenia surowiej. Surowiej? Omal nie wypaczyłem poglądów Bryllowego bohatera. W obliczu wieczności czuje się on troszkę niespokojnie, to prawda. Ale i tu potrafi zapewnić samego siebie, że w gruncie rzeczy wszystko będzie dobrze:

*Co krwawe — zmyte będzie deszczami
Co kłamstwem było — zarośnie trawą
Znów czuwać będzie nad narodami
Niebo żrenicą łzawą, łaskawą...*

(„Co krwawe...”)

Nie. Nieprawda. Krwi nie zmyją deszcze, a kłamstwo nie zarośnie trawą. Istnieje jeszcze jedna transcendencja: ludzka pamięć, ludzkie słowo, przekazujące z wieku w wiek świadomość i wiedzę o tym, z czym nie można się pogodzić i o czym nie wolno zapominać. Niechże bohater Brylla zbyt wcześnie się nie rozgrzesza.

Stanisław BARAŃCZAK

Szkie powyższy był skonfiskowany w warszawskiej Twórczości. (Redakcja).

Nowości

BIBLIOTEKA „KULTURY”

TOM 270 — WACŁAW SOLSKI

MOJE WSPOMNIENIA

Niezmiernie żywo napisane, wspomnienia Wacława Solskiego są jednocześnie ważnym dokumentem historycznym. Ich autor brał czynny udział w rewolucji rosyjskiej stykając się blisko i współpracując z Leninem; następnie odgrywał wybitną rolę w międzynarodowym ruchu komunistycznym, od którego odszedł w końcu lat dwudziestych.

„Wspomnienia” są 14-tą książką Wacława Solskiego w języku polskim. Jego poprzednią książką „Władza” została uznana za najlepszą książkę polską wydaną poza krajem w 1976 roku. Wacław Solski jest *fellow* Guggenheim Foundation w New Yorku.

Str. 388.

Cena F. 55,00.

TOM 272 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Zawiera m.in. prace Wł. Gomułki: *Polemika z „Archiwum Ruchu Robotniczego”*; R. Dębickiego: *Węgry a wojna polsko-rosyjska w 1920 roku*; J. Rakowskiego: *Diariusz wrześnieńskiego dramatu*; W Krzyżanowskiego: *Lata bukareszteńskie*; ks. Fr. Cegiełki: *A. G. Roncalli w Paryżu* oraz obszerny dział recenzji.

Str. 240.

Cena F. 30,00.

Nad "Kontynentem"

Co za fascynujący widok: dźwiganie się Łazarza z łoża boleści, artykułowanie znaczących słów przez niemowę, uczenie się przez więźnia wolności, twórczości, współ-wolności i współ-twórczości z wolnymi jak on sam od tej chwili.

Kultura wielkiego kraju, wyjąłowana, zakłamana i zdeprawowana przez dziesięciolecia sowietyzacji, oduczona mowy ludzkiej, ograbiona z talentów, wykrwawiona za drutami Gułagu, negatywnie wyselekcjonowana przez swoich tępych nadzorców, zapędzona w koki róg biurokratycznego życia na niby — podnosi się oto z niemocy, z nieistnienia, z nieprawdy — i jest autentycznie i dojmująco!

Wskrzesił ją ruch oporu przeciw powszedniej nieludzkości Imperium, ruch politycznej destrukcji komunistycznego ładu, od pierwszych swych manifestacji połączony z ruchem żywej myśli, wyobraźni, daru twórczego, połączony z potrzebą przemówienia innym językiem niż ten skodyfikowany przez sowiecką rzeczywistość i jej oficjalne zapisy.

Kiedy prawie piętnaście lat temu na łamach niespacyfikowanego jeszcze moskiewskiego miesięcznika *Nowyj Mir* ukazał się był „Jeden dzień Iwana Denisowicza” Sołżenicyna, czytelników uderzyła nie tylko treść utworu — życie stalinowskiego łagru, walka prostego chłopca rosyjskiego o przetrwanie morderczego terminu — ale w nie mniejszym bodaj stopniu ludzki głos opowieści. Nieopatrzna władza, która w porywie kapryśnego liberalizmu zezwoliła na tę publikację, najwidoczniej nie zdawała sobie sprawy, że ów ludzki głos jest dla niej jeszcze niebezpieczniejszy niż okrutna treść, którą niesie: kiedy rozlega się ludzki głos prawdziwej kultury, tolerowany dotąd przez słuchaczy bełkot pseudokultury staje się całkiem już nie do wytrzymania.

„Jeden dzień” nie powstał, oczywiście, na pustyni: nawet wówczas, kiedy na powierzchni życia sowieckiego niepodzielnie panowały się niedorzeczne schematy i puste znaki „kultury” oficjalnej, gdzieś w głębi trwała jakaś egzystencja kultury bez cudzysłowu, trwał tajny obieg wytworzonych dawniej wartości, a także krystalizacja wartości nowych — książek, wierszy, obrazów — z których wiele zapewne uległo zniszczeniu nie doczekawszy się nigdy wyjścia na światło dzienne, ale niektóre wypłynęły po latach i rozkwitły ocalonymi w mroku barwami jak wspaniałe kwiaty na grobach.

W ostatnim wszakże piętnastoleciu, z grubsza właśnie od „Jednego dnia” poczynając, zaszło coś nowego: przerwana została wzajemna izolacja odosobnionych dotąd manifestacji wolnego ducha, rozpoczęło się ich intensywne i jawne życie we wspólnej przestrzeni, ciągnięcie ku wspólnemu centrum ideowemu, przyciąganie i przekształcanie mniej dotąd określonych zjawisk z obrzeża kultury, tworzenie jednego, coraz bardziej rozległego obszaru, kontynentu odrodzenia duchowego współczesnej Rosji.

Władza przegapiła chyba moment przełomu, a kiedy się spostrzegła — było za późno. Banicja najwybitniejszych pisarzy i myślicieli miała niechybnie spowodować rozproszenie ich głosu na chłodnym i obcym wietrze — ale tak się nie stało, przeciwnie — w cudzoziemskich Paryżach odnaleźli się i skupili, i zdolali zmaterializować swoją wolność w postaci pisma, które nazwali *Kontynentem* właśnie.

W chwili, kiedy to piszę, *Kontynent* istnieje już od dwóch i pół lat i ukazało się dziewięć jego grubych numerów.

Redaktorem naczelnym od początku jest Włodzimierz Maksimow, zastępcą redaktora, poczynając od numeru piątego — Wiktor Niekrasow, sekretarzem odpowiedzialnym był Igor Golołomszok, obecnie zaś jest Eugeniusz Tiernowski, niedawno utworzono też stanowisko kierownika redakcji, które objęła Natalia Gorbaniewska. Spośród nowych emigrantów do kolegium redakcyjnego weszli Aleksander Galicz i Naum Korżawin, należał też do niego Andrzej Siniawski, który jednak w pewnej chwili ustąpił, pozostając nadal współpracownikiem pisma. Blisko współpracują — Josif Brodski, Michał Agurski, Wioletta Iwerni, z pewnej odległości patronuje pismu i umieszcza w nim swoje teksty Aleksander Sołżenicyn, z nieco dalszej — zamieszkały nadal w Moskwie członek kolegium redakcyjnego, Andrzej Sacharow.

Podtytuł *Kontynentu* brzmi: „pismo literackie, społeczno-polityczne i religijne”, ale najwięcej w nim literatury pięknej, co zresztą jest naturalne, literatura piękna bowiem najwięcej ma możliwości wyrażenia nie tylko siebie, lecz również jakiejś rzeczy-

wistości filozoficznej, religijnej, społecznej, język literatury najbardziej też (w każdym razie na gruncie rosyjskiej tradycji) sprzyja szerokiemu porozumieniu z odbiorcą. Nie oznacza to, że na łamach *Kontynentu* brak tekstów nieliterackich — ściśle politycznych, religijnych, dokumentalnych — są, i często nader istotne, o niektórych będzie tu jeszcze mowa — ale zrębem numeru prawie zawsze jest dłuższa proza (niekiedy w odcinku), inne zaś materiały — to jakby jej obudowa. Ukazały się tedy w *Kontynencie* rozdziały epopei wojennej Wasilija Grossmana (pośmiertnie, pisarz zmarł w roku 1964, w ostatnich latach życia nic nie publikował, a rękopisy jego skonfiskowało KGB, musiały jednak istnieć jakieś ukryte kopie, które obecnie trafiają na Zachód), nieopublikowany rozdział „W kręgu pierwszym” Sołżenicyna, powieść Włodzimierza Kornilowa „Bez rąk, bez nóg” (autor, rocznik 1928, nadal mieszka w Moskwie), dwa dłuższe opowiadania Włodzimierza Maremzina (rocznik 1934, kiedy ukazało się pierwsze opowiadanie, autor przebywał w leningradzkim więzieniu, obecnie jest już na emigracji), luźna formalnie proza Wiktora Niekrasowa „Zapiski gapia” (która opowiada też o własnym beznadziejnym krążeniu po szufladach moskiewskich redakcji), powieść Josifa Bogoraza „Kapus” (osiemdziesięcioletni autor, nadal mieszkający w ZSRR, znaczną część życia spędził w obozach i na zesłaniu), opowiadanie Aleksandra Sukonika „Mój konsultant Bołotin” (autor, rocznik 1932, jest nowym emigrantem), opowiadanie Włodzimierza Wojnowicza „Zdarzenie w Metropolu” (autor, rocznik 1932, usunięty ze Związku Pisarzy Radzieckich, nadal mieszka w Moskwie), opowiadanie Anatola Gładilina „Tygrys na ulicy” (autor, rocznik 1935, jest jeszcze członkiem Związku Pisarzy Radzieckich), fragment nowej książki redaktora naczelnego czasopisma — „Arka dla nieproszonych”... Wszystko to rzetelna proza, z zasady w konwencji realistycznej i, nazwijmy to tak, populistycznej (bytowanie poczciwych ludzi sowieckich, „normalnych”, z licznymi kłopotami elementarnej natury życiowej, natomiast bez wydumanych wzniosłych problemów literatury socrealizmu), taka na przykład powieść Kornilowa żywcem przypomina utwory chętnie drukowane niegdyś przez *Nowyj Mir* — te, za które kierowana przez Aleksandra Twardowskiego redakcja nie raz obrywała po głowie, zarzucano bowiem podobnej prozie „apolityczność”, brak partyjnego zaangażowania, przyziemny naturalizm itp. Od tamtego, wyschłego już (albo raczej sztucznie wysuszonego) nurtu różni się Kornilow większą nieco ilością i jasnością aluzji do tych stron życia sowieckiego, które na łamach moskiewskich czasopism chronione są przez cenzuralne tabu: jak donosicielstwo, aresztowania itp. — mamy więc do czynienia z realizmem pełniejszym, z konfrontacją życia i literatury bardziej

dopowiedzianą. Dla wielu spośród wymienionych tytułów charakterystyczny jest dalej jeszcze posunięty autentyzm — i wręcz autobiografizm: narrator jest identyczny z pisarzem, nosi jego imię i nazwisko, i relacjonuje jego przypadki. Na przykład „Zdarzenie w Metropolu” Wojnowicza — to opowieść o perypetiach autora z tajną policją (jak inny utwór tegoż pisarza, ogłoszony nie w czasopiśmie, lecz w postaci osobnej książki — „Iwańkiada” — to dokumentalny zapis jego walki o mieszkanie, pełen większego napięcia i ładunku satyrycznego niż niejedna wymyślna fabuła). Moment autobiograficzny wkracza nie tylko do powieści i opowiadań, lecz do wierszy (Galicz) i nawet eseistyki literackiej. Siniawski weryfikuje literaturę między innymi przy pomocy swego doświadczenia obozowego („Proces literacki w Rosji”), Korżawin snuje rozważania o historii i sztuce w oparciu o własny życiorys („Próba biografii poetyckiej”), również Etkind egzemplifikuje przez to, co mu się przydarzyło, ogólniejszą sytuację polityczną, kulturalną i psychologiczną kraju, który opuścił (fragment książki „Dysydent mimo woli”).

To dążenie do prawdy dokumentalnej jest zrozumiałe — i trudno też kwestionować celowość gromadzenia dokumentacji, z której powinien się wyłonić (i w jakiejś mierze już się wyłania) opis rzeczywistości ważnej nie tylko dla tych, którzy w niej żyją lub żyli — gdyż współkształtującej cały świat i epokę, zagrażającej wszystkim w tej epoce i świecie — a przy tym rzeczywistości tak zakłamaney i systematycznie zakłamywanej jak żadna, wymagającej przeto uporczywej i rzetelnej demaskacji, rejestracji szczegółów, przekłucia szpilką każdego z nich i utrwalenia jak ekspozatu przyrodniczego. Warto jednak zapytać o pojemność gatunku literackiego, który od prostego dokumentu (w pojęciu piszącego te słowa nader cennego) robi krok ku fikcji i fabule, nie robi jednak kroku następnego — ku spotęgowaniu rzeczywistości przez kreację, poezję i deformację, poprzestając na zgrzebnym i litościwym snuciu wątków „z życia”. Chyba to zjawisko ma na myśli Siniawski-Terc w wymienionym nieco wyżej eseju (opublikowanym już w pierwszym numerze *Kontynentu*), kiedy ostrzega współczesną literaturę rosyjską — ma się rozumieć, tę „zakazaną” — przed rolą „ponurej księgi zażaleń”, nawiązującej wprost do dziewiętnastowiecznej tradycji „Kto winien?” (tytuł książki Herzena) i „Co robić?” (tytuł książki Czernyszewskiego). „Doszło do tego — pisze autor „Procesu literackiego w Rosji” — że prawdy trzeba się bać. Żeby znowu nie wsiadła nam na kark. Żeby pisarz, który nie zgadza się kłamać, tworzył niezależnie też od wszelkiego realizmu”. W przeciwnym razie cała obiecująca, wyzwolona literatura znowu sprowadzona zostanie do sprawozdania, jak się męczyliśmy i co proponujemy w zamian. Spro-

wadzona zostanie do pytań: 'co robić?' i 'kto winien?'... Warto by tego uniknąć. Nie proponować gotowych recept. Odzegnując się od kłamstwa, nie mamy prawa ulegać pokusie prawdy, która wszystkich nas zaprowadzi znowu do realizmu socjalistycznego na odwrtkę. Jak długo można nadskakiwać i zabiegać o względy rzeczywistości, która nami pomiata!" W paradoksach krytyka Siniawskiego, być może, kryje się między innymi rozczarowanie prozaika Terca, że jego, a także Arżaka-Daniela, podjęte ponad dziesięć lat temu próby rozprawienia się z płaską rzeczywistością sowiecką przy pomocy trafiającej w jej sedno fantastycznej super-rzeczywistości literatury nie znalazły, jak się zdaje, zapalonych kontynuatorów w następnej fali zakazanej twórczości. Ale niebezpieczeństwo socrealizmu na odwrtkę, wynikające tyleż z ograniczenia ambicji twórczych, z pokory pisarzy w stosunku do rzeczywistości, którą zdecydowali się „odbijać”, z ich przeświadczenia o prostej służebności literatury wobec gleby, z której wyrasta, co — dorzucmy — z nazbyt jednostronnego związania z pewną tradycją prozy rosyjskiej przy słabej znajomości innych, to niebezpieczeństwo dostrzeżone zostało trafnie. Niekoniecznie dotyczy ono właśnie opowiadań i powieści publikowanych w *Kontynencie*: satyryczne inklinacje Sołżenicyna, prywatność Niekrasowa, intensywny psychologizm Grossmana, a nawet ów protokolarizm, o którym była mowa, w brawurowym wykonaniu Wojnowicza — w tych i nie tylko w tych wariantach autorzy w znacznej mierze uniknęli pułapki opozycyjnego „realizmu” i prymitywnej księgi zażaleń. A jednak we współczesnym procesie literackim w Rosji, tak jak go wnikliwie obserwuje Siniawski, zaglądnąjąc przecież nie tylko do teki redakcyjnej *Kontynentu*, niebezpieczeństwo takie z pewnością jest aktualne — w każdym razie w nieporównanie większym stopniu niż niebezpieczeństwo „modernizmu”, przed którym ostrzega poetów inny eseista pisma (i sam znany poeta) Korżawin.

Siniawski na odmianę, porzuciwszy — przynajmniej na jakiś czas — eksperymenty prozy kreacyjnej, zanurzył się w żywiole eseistyki literackiej najwyższego lotu, także kontynuując w ten sposób pewien nurt dziewiętnastowiecznej literatury rosyjskiej. Tutaj muszą paść nazwiska takich protoplastów gatunku, jak Bieliński i Dobrolubow, nie ze względu na „postępową” i materialistyczną tendencję ich dzieła, z którą obecne odrodzenie kultury rosyjskiej na ogół nie życzy sobie mieć nic wspólnego, ale ze względu na rozmach i gęstość zawartego w tym dziele komentarza estetycznego i społecznego do zjawisk literatury współczesnej, uznanych przez krytyków za znaczące. Bieliński kreśląc mapę drogi twórczej Puszkina, Dobrolubow opowiadając i dopowiadając sztuki Ostrowskiego, tworzyli samoistne konstrukcje, nie

tylko czyniące naocześniejszą treść roztrząsanych dramatów i poematów, ale pełne też własnej treści, współzawodniczące z przedmiotem (czy pretekstem) swoich rozważań pod względem bogactwa i skomplikowania treściowego, w stopniu nie mniejszym od literatury pięknej odbijające i współkształtujące „ducha epoki”. Ten rodzaj wielkiej, synkretycznej i obdarzonej najwyższymi ambicjami krytyki literackiej po rewolucji bolszewickiej nie miał, jak łatwo się domyślić, dziedziców. Kiedy teraz Siniawski podejmuje trud odrodzenia go na łamach *Kontynentu*, w wymienionym już eseju interpretując „Mistrza i Małgorzatę” Bułhakowa, w kolejnym zaś (po roku, w numerze piątym czasopisma), zatytułowanym „Ludzie i zwierzęta”, „streszczając własnymi słowami” niezwykłą powieść Georgija Władimowa „Wierny Rusłan”, to wymiar jego uczestnictwa w tworzeniu obrazu „świata koncentracyjnego” i rozstawianiu w nim drogowskazów etycznych i estetycznych jest znowu nie mniejszy, zwłaszcza w drugim przypadku, niż wymiar uczestnictwa w tym procesie znakomitej prozy fabularnej, którą się zajmuje.

Georgij Władimow (rocznik 1931, członek Związku Pisarzy Radzieckich) wydał w Moskwie parę interesujących, choć okrojonych przez cenzurę książek, ale najświetniejsza — „Wierny Rusłan” — ukazała się jedynie poza granicami ZSRR: najpierw na łamach miesięcznika *Grani*, następnie zaś w paru wydaniach książkowych. Esej Siniawskiego, interpretujący powieść Władimowa i opowiadający ją na nowo, bardzo wiernie, ale z własną reżyserią światła, z zatrzymaniem kadru w najbardziej znaczących momentach, z dramatyczną klasyfikacją działających postaci, stał się jak gdyby jej dodatkowym, zintensyfikowanym intelektualnie wydaniem.

Tytułowy Rusłan — to pies policyjny, wytresowany do pilnowania więźniów w syberyjskim łagrze. Świat łagrowy i w ogóle sowiecki świat, oglądany oczyma Rusłana, uzyskuje „efekt obcości”, niweczący wszelki automatyzm odbioru informacji o jego prawach. Drobny i najmniej drastyczny przykład: my wszyscy, mieszkańcy tego uniwersum (do którego od trzydziestu z górą lat należy i Polska), ziewamy słuchając mów czytanych z kartki i czasem opowiadamy dowcipy o dukających je dostojnikach. W oczach Rusłana jednak mówcy nie czytają z kartki, lecz mówią do kartki, jej składają raporty: „... rozłożył kartkę i zaczął wygłaszać do niej coś bardzo długiego...”, „tamten mówił swojej kartce już coś krótszego...”. Zatrzymując uwagę czytelnika na tym szczególnie, krytyk stwierdza: „To niewielkie przesunięcie stereotypowej formułki, nie zmieniając istoty rzeczy, zmienia perspektywę, zmusza do ostrzejszego odczucia zarówno całej niedorzeczności podobnych mów, jak i ich, że tak powiem,

wyższego biurokratycznego sensu, kiedy ludzie żyją i mówią nie jedni dla drugich, lecz dla papierka, który zastąpił człowieka i społeczeństwo". Spojrzenie zwierzęcia na nieludzki świat komunizmu w szczególny sposób wydobywa na jaw jego odczłowieczenie, które nie jest wszakże „zwierzęcością”, ponieważ w zwierzęcości tkwi elementarna racja biologiczna, której w groźnym absurdzie Gułagu dopatrzeć się niepodobna.

Ruslan jest jednocześnie realnym psem, po psiemu sympatycznym i pełnym zalet, zachowującym się zgodnie z psią fizjologią i psychologią (o tyle, o ile możemy coś o tym wiedzieć) — i wyrazistym symbolem sytuacji i postaw jak najbardziej człowieczych — istotą wytresowaną i bez reszty lojalną wobec swojej tresury, którą przeżywa jako wzniosły mit służby — bohaterem i ofiarą, dramatycznym wcieleniem dobrej woli obróconej w potworność — naiwnym demaskatorem tego co wielbi — idealnym obywatelem komunistycznej utopii. „Nie ideologia, lecz tresura — pisze Siniawski. — Im częściej powtarzać (z wykorzystaniem bolesnych chwytów) — tym skuteczniej. I nieważne, że w wyniku niekończących się powtórzeń nie pozostanie miłości (entuzjazmu! komunizmu!). Za to pies przeistoczy się w człowieka, a człowiek w psa. Za to nie ideologia, nie światopogląd — lecz radosne sygnały zostaną wstrzyknięte w żyły, w instynkty życia, w odruchy... Świat, w którym zdarzyło mu się urodzić, jest piękny. Strefa zakazana i druty — to odwieczna harmonia. Co może być wznioślejszego, sprawiedliwszego niż te równe kolumny więźniów prowadzonych w niebyt? Szklany klosz Zamiatina w powieści 'My', projekty Orwella, zwidy senne Huxleya i Kafki świecą nam z oddanych, kochających oczu Rusłana. Wcale z niego nie teoretyk, zwykły praktyk, egzekutor szczęścia, jakim został obdarzony — 'żyć za komunizmem'. We wspaniałym systemie autorytarnym, który sam siebie uzasadnia i bez końca kąpie się we własnych promieniach, nie istnieją i nie mogą zrodzić się wątpliwości... Więźniowie, coraz to szukający okazji do zakłócenia harmonii, opuszczenia szeregów, ucieczki — to zaledwie słabe i nieroztropne dzieci, z punktu widzenia Rusłana nie potrafiące czegoś zrozumieć i dlatego podlegające interwencji moralnej, reedukacji, żeby zrozumiały wreszcie, gdzie jest im naprawdę dobrze — w obozie... W złocistych oczach Rusłana cały świat — to obóz. Gdyby mógł (gdyby tylko mógł!), nadałby całemu światu idealny status obozu". Dramat Rusłana wynika stąd, że jego komunistyczna doskonałość ma jednak — jak się w pewnej chwili okaże — skazę: jest on mianowicie, w przeciwieństwie do otaczających go ludzi, nie dość plastyczny, jego wierność Służbie jest zbyt dosłowna, tresura nie pozostawiła w nim marginesu na zmianę orientacji w zmienionych (być może, chwi-

lowo) warunkach — i dlatego zginie, zdradzony i opuszczony, z bolesnym wspomnieniem Ładu w rozpalonym mózgu...

Kontynuując rozważania o książce Władimowa i wychodząc poza granice nakreślone przez bezpośrednią akcję, krytyk dostrzega jej bohatera w długim szeregu ewokowanych przez literaturę rosyjską postaci, które „można określić jako stworzenia w sensie etycznym zgubione, upadłe i jak gdyby z góry stracone dla ludzkiej wyrozumiałości oraz współczucia”. Po Gogolu, w szczególności Dostojewski zstąpił ku takim istotom — i ten krok między innymi uczynił go pisarzem chrześcijańskim. „Z doświadczenia obozowego — pisze Siniawski — które w naszej epoce jak lawa chlusnęło na powierzchnię kamiennych otchłani, i które, jak w ogóle doświadczenie życia, jest głębokie i ogromne, pouczające i różnorodne, autor Rusłana wydobył głównie jedną warstwę egzystencji, dotąd mało zbadaną: ochrona obozów, ludzie i zwierzęta Służby wartowniczej. Ten gatunek społeczny mamy w pogardzie (i słusznie), szydzimy zeń (też słusznie) i sprawiedliwy gniew targa nami na myśl o tym, co uczynili i uczynią jeszcze ci ludzie. I Władimowa, jak nas, zgrozą przejęły te bestialstwa, ta uboga, totalna psychika, zawsze brzemienne w nową inwazję łagrów. Ale Władimowa ponadto zgrozą przejęło, co też zrobił z siebie ten człowiek, jak sponiewierał samego siebie. I pisarz spojrzął nań ze zdziwieniem i żalem... Powieści Władimowa 'Wierny Ruslan' obce są tendencje moralizatorskie i nie warto wyprowadzać z niej jakichkolwiek wyraźnie określonych zasad wiary albo wytycznych. Ale słyhać tu oddźwięk, echo tych pobudek moralnych i ściśle pisarskich, które kazały Dostojewskiemu zniżyć się do mordercy i zdradzić nad karą, którą ten sam sobie wymyślił, gdy przekroczył granicę, cóż że w imię najpiękniejszych i najbardziej postępowych ideałów humanitaryzmu i powszechnego szczęścia. I to jest szczególnie krzepiące, że najnowsza literatura rosyjska, w otoczeniu tyłu kazamat i łagrów, zdołała wznieść się na taki szczyt rozumienia przedmiotu, że wyciągnęła z tych cierpien lekcję nie retorycznie programową, lecz poruszającą istotę każdej kreatury — w tej liczbie i tych, które nieubłaganie służą Prawu Drutów...”

„Ludzie i zwierzęta” — to może najjaskrawszy przykład, jak ważną rolę w piśmie, mającym ambicję scalenia i pogłębienia świadomości etycznej i estetycznej wyzwalających się mieszkańców Kontynentu, odegrać może, już odgrywa ten gatunek eseistyki literackiej. Trzeci tekst tegoż autora, mniej obszerny i nie tak ogólny, poświęcony jest pamięci Arkadiusza Bielinkowa, utalentowanego, namiętnego i często zbyt chyba skrajnego krytyka, który stracił zdrowie w sowieckich łagrach, uciekł na Zachód w roku 1968, nie przekonał opinii zachodniej do istnienia Apokalipsy,

o której mówił (było to jeszcze przed wstrząsem, jaki wywołała publikacja „Archipelagu Gułag” Sołżenicyna), i zmarł na obczyźnie parę lat później. Również znaczna część emigracji rosyjskiej żywiła niechęć do Bielinkowa, odczytując w jego tekstach (których ogłoszenie natrafiało też na trudności) brak szacunku dla Rosji jako takiej, brak wiary w naród rosyjski, brak pozytywnego ideału... Pod tym adresem kieruje Siniawski następujące zdania: „Mogę tylko potwierdzić, jeżeli to wymaga jeszcze potwierdzenia, że Arkadiusz Bielinkow kochał Rosję i gwoi niej napisał kilka wspaniałych rzeczy, z którymi — hołdując naszym rozmaitym ideom — możemy zgadzać się lub nie zgadzać, ale które, przy wszystkich rozbieżnościach, mają prawo przynajmniej do elementarnego istnienia”. Oraz: „Jego 'nienawiść do Rosji' była drugą stroną jego miłości, jeżeli czytać uważnie, bez uprzedzeń, miłości do Rosji, ból za którą bardziej do nas przemawia od pięknoduchowskich iluzji”. Otóż ten krótki tekst w obronie zmarłego pisarza, ośmielającego się widzieć swój kraj inaczej — okrutnej — niż większość emigracji, również inaczej niż sam jego obrońca, znowu jest po swojemu ważny, ponieważ przestrzega przed niebezpiecznym zaciętrzewieniem, przed „patriotyczną” sztywnością tępiącą odchylenia od wzorca „jedynie słusznej postawy”, proponuje istotne cechy modelowe wyzwolającej się kultury, ucząc właściwej miary rzeczy, tolerancji i szacunku dla różnych postaw, dla każdego talentu i żarliwości, choćby inne niosły posłania niż to, które nam jest bliskie.

Nie wszyscy eseści *Kontynentu* wolni są zawsze od takich zaciętrzewień. Naum Korżawin, który w przekonywującej „Próbie biografii poetyckiej” opisał swoje stawanie się jako poety, przebijanie do ukrytej prawdy, do harmonii, do sensu tworzenia — w ciężkim wysiłku, w walce z niwelatorskimi tendencjami sowieckiej rzeczywistości, z jałowością, bezdusnością i kłamstwem epoki, z edukacją, której musiał podlegać, z językiem (w szerokim tego słowa znaczeniu), którym nauczono go mówić, z pokusami wreszcie i powabami tego zdeprawowanego świata, z jego miłosnym przyciskaniem do łona debiutującego poety — otóż ten sam Korżawin w późniejszych tekstach nazbyt chyba skłonny bywa do absolutyzowania swojego aktualnego samopoczucia artystycznego i filozoficznego, do wyklinania sztuki obdarzonej innym samopoczuciem, do apodyktycznych i niesprawiedliwych etykiet (kiedy na przykład bolszewizm i faszyzm uznaje za odgałęzienia... zwalczanego przez siebie „modernizmu”). Nie tylko zaciętrzewienie razi — brak tu również precyzji w określeniu tego, co się nie podoba, brak dobrej woli w oddzieleniu swoich gustów od obiektywnych praw twórczości, brak wreszcie po prostu wystarczającej wiedzy o niepokojach i poszukiwaniach

w sztuce ostatnich stu lat albo więcej. Dlatego wartościowe i bardzo na czasie wydają się takie zamieszczone również w *Kontynencie* eseje, jak Igora Gołomsztoka „Paradoksy wystawy w Grenobli (o nieoficjalnej plastyce sowieckiej)” i zwłaszcza „Język sztuk plastycznych w totalitaryzmie” (gdzie również poruszony zostaje problem „modernizm a totalitaryzm”, bez demagogii jednak i w oparciu o rzeczywistą znajomość przedmiotu, z czego wynikają nieco inne wnioski niż u Korżawina). Szkoda, że nie ma odpowiedników pouczających prac Gołomsztoka, które tak operowałyby materiałem literackim jak on plastycznym.

Oto zaś zwięzłe wyliczenie innych istotniejszych pozycji z dziedziny eseistyki literackiej i estetycznej w dziewięciu numerach *Kontynentu*: „Euklidesowy’ i ’nieeuklidesowy’ rozum w twórczości Dostojewskiego” Grigorija Pomeranca (autor, rocznik 1918, były więzień Gułagu, mieszka i pracuje w Moskwie, gdzie jego eseje krążą od parunastu lat w samizdacie), „Siedem śmierci Maksyma Gorkiego” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (czytelnicy polscy znają ten świetny esej z „Drugiego przyjscia”), „Komedia ludzka Aleksandra Galicza” Jefima Etkinda (autor, usunięty z leningradzkiej uczelni, której był profesorem, wykłada obecnie na Sorbonie), „Los kultury chrześcijańskiej” Eugeniusza Barabanowa (jednego ze współautorów słynnej publikacji zbiorowej „Spod grud”, mieszkającego nadal w Rosji, rocznik 1943), „Alfabet rzeźbiarski mistrza E. Nieizwiestnego” Eugeniusza Sziffersa (autor, rocznik 1934, reżyser teatralny i filomowy, od dawna pozbawiony pracy, nadal mieszka w Moskwie), ponadto trzy obszernie recenzje Wioletty Iwerni z „Przygód żołnierza Czonkina” Wojnowicza, z książki późnego Katajewa („Socrealizm z ludzką twarzą”) i z prozy Kornułowa, wreszcie oparte na wspomnieniach własnych sylwetki Bunina, Biełego, Oleszy i Grossmana, pióra różnych autorów. W sumie — o czym, jak o czym, ale o ubóstwie i jednostajności nie ma tu mowy...

Ciekawy jest również dział poezji, przede wszystkim dzięki miejscu, jakie zajmuje w nim twórczość najświetniejszego chyba z żyjących poetów rosyjskich, Josifa Brodskiego (urodzony w roku 1940, w roku 1972 zmuszony do opuszczenia kraju, obecnie w Ameryce). Brodski, jak każdy wielki poeta, w dziele swoim przekroczył ramy starego i dość jałowego sporu pomiędzy „tradycjonalistami” a „nowoczesnymi”. W jego wierszach i poematach, olśniewających wirtuozerią i bogactwem formy, dawne archetypy tętnią jak najbardziej współczesnym życiem, fakty zaś żywej współczesności odzyskują znaczenie trwałych elementów kondycji ludzkiej, kultury, metafizyki indywidualnego i zbiorowego istnienia na tym padole. Głęboko osadzona w żywiole języka rosyjskiego, jest to zarazem poezja wrażliwa na dalsze i bliższe sąsiedz-

two kulturowe, między innymi na sąsiedztwo polskie. W ósmym numerze *Kontynentu* znalazły się przekłady Brodskiego z trzech poetów polskich — Aleksandra Wata, Czesława Miłosza i Zbigniewa Herberta — uderzające i celnością doboru, i dokładnością odwzorowania sensu i kształtu w innej materii językowej, i rzadką przecież w tłumaczeniach spontaniczną urodą słowa poetyckiego. Te same walory zdaje się posiadać zamieszczony w numerze dziewiątym przekład wiersza Tomasa Venclovy, utalentowanego poety litewskiego (rocznik 1937), zamieszkałego w Wilnie i tam też wyklętego przez władze. Inni godni uwagi poeci, sekundujący Brodskiemu na łamach *Kontynentu*, to: Aleksander Galicz (rocznik 1919, obok Okudźawy czołowy twórca opozycyjnej „liryki śpiewanej” w ZSRR, od roku 1974 na emigracji), Naum Korżawin (rocznik 1925, były więzień i zesłaniec syberyjski, obecnie emigrant), Włodzimierz Kornilow (o którym była już mowa jako o prozaiku), Gennadij Ajgi (rocznik 1934, nadal mieszka w Moskwie, wybitny i nader oryginalny twórca, tłumaczony na wiele języków obcych, który najdalej bodaj odszedł od przyjętych schematów wiersza rosyjskiego), Natalia Gorbaniewska (rocznik 1936, uczestniczka manifestacji 25 sierpnia 1968 na Placu Czerwonym w obronie Czechosłowacji, więzień Butyrek i specjalnego zakładu psychiatrycznego, od roku 1975 w Paryżu). Wychodząc ze słusznego założenia, że kultura narodowa jest niepodzielna, redakcja *Kontynentu* udostępniła swe łamy również poetom starej emigracji, a wśród nich — Irinie Odojewcewej, niegdyś najmłodszej uczestniczce ruchu akmeistów w Petersburgu, której dawne wiersze zdobią wszystkie antologie epoki. Z pośmiertnego rękopisu ogłoszono poezję innego znanego akmeisty, męża Odojewcewej, Georgija Iwanowa. Młodą generację poetów rosyjskich (przy całej względności tego określenia) reprezentują wreszcie m.in. tacy autorzy, jak — z emigracji — Lija Władimirowa (rocznik 1938) i Wadim Delone (rocznik 1947), z kraju zaś (ale nie drukujący tam) Marat Weksler (rocznik 1934) i szczególnie obiecująca Helena Ignatowa (rocznik 1946).

To, co nie jest w *Kontynencie* literaturą i sztuką, jest albo eksplikacją idei, albo świadectwem (często zaś i jednym, i drugim). Do pierwszego zakresu wypada zaliczyć przede wszystkim wypowiedzi Sołżenicyna (list do konferencji narodów zniewolonych przez komunizm, polemika z Sacharowem w związku z krytyką „Listu do wodzów”, wywiad dla telewizji hiszpańskiej, krytyka rosyjskiej sekcji BBC), wypowiedzi Sacharowa (m.in. „Świat za pół wieku”), a także M. Agurskiego i kilku innych związanych z piórem autorów rosyjskich. W numerze 9 rozległ się głos z głębi zesłania — nie wołający jednak S.O.S., lecz refleksyjny, spokojnie rozważający istotę aktualnych układów — pióra boha-

terskiego dysydenta Anatola Marczenki i jego kolegi ukrytego pod pseudonimem M. Tarusewicz. Z autorów nierosyjskich na tematy zasadnicze zabierają głos m.in. Ionesco, Silone, Conquest, kardynał Ślipy, działacz Wiosny Praskiej znany szachista Ludek Pachman, przywódca łotewskiej socjaldemokracji Bruno Kalnins, przewodniczący federacji amerykańskich związków zawodowych George Meany („Amerykański ruch robotniczy i 'odprężenie'” — bardzo trzeźwa i pozbawiona złudzeń analiza sytuacji), wreszcie Polacy: Leszek Kołakowski („Trzy główne wątki w marksizmie” oraz „Na marginesie ostatniej książki Sacharowa”), Juliusz Mieroszewski („Rosyjski 'kompleks polski' i terytorium ULB” — przedruk z *Kultury*) i anonimowy autor krajowy („Jak rozumieć 'List do wodzów' Sołżenicyna” — również przedruk z *Kultury*). Uzupełniają to rozmaitego rodzaju i rozmiaru noty lub komentarze redakcyjne, z którymi niekiedy ma się ochotę polemizować — ale o tym za chwilę. Podstawowy sens ideologicznej publicystyki *Kontynentu* — to budowanie świadomości ludzi żyjących w świecie, w którym istnieje Archipelag Gułag i od kilkudziesięciu lat trwa ekspansja komunistyczna. Adresatem jest zarówno aktualny bądź były mieszkaniec terytorium opanowanego przez komunizm, jak obywatel pozostałej części planety, której komunizm dopiero zagraża. Ten pierwszy wie, oczywiście, lepiej, co sowiecki (i wszelki, jak wnosi ze swego doświadczenia) komunizm oznacza r e a l n i e, jednakże i on może nie znać wszystkich szczegółów i warunków funkcjonowania odczłowieczającego systemu, ponadto zaś rozmaicie może interpretować jego przyczyny, konieczności, prawidłowości. Drugi adresat publicystyki ideologicznej *Kontynentu* wie dużo mniej, nie wyzbył się licznych iluzji, jego rozsądek, a tym bardziej jego wyobraźnia nie ogarnia tak obcego i dziwnego sposobu życia, adresat ten bywa pełen dobrej woli, ale też krańcowo naiwny i często zauroczony magią różnych szlachetnych pojęć, tradycyjnie kojarzonych z lewicową utopią, a nawet wręcz zaindoktrynowany przez propagandę sowiecką i kryptosowiecką. *Kontynent* uważa tedy za swój obowiązek wpłynięcie na świadomość jednego i drugiego adresata, tak aby utrwalił się w niej właściwy obraz działających w świecie sił i zagrożeń, przede wszystkim obraz czerwonego molocha, jego aspiracji, apetytów i metod. Nie chodzi, naturalnie, o bezinteresowne postępowanie ideologiczne, lecz o mobilizację do walki z potworem, do obrony przed jego zachłannością i bezwzględnością. Nie jest to łatwe, i nie sposób się dziwić tonom pewnego zawodu i zniecierpliwienia, zaczynającym pobrzmiwać w uporczywie skądinąd kontynuowanych ... orędziach o stanie świata” Aleksandra Sołżenicyna. W wywiadzie dla telewizji hiszpańskiej (29 marca 1976) pisarz wyznaje: „... sam już nie wiem, czy

w ogóle możliwe jest przekazanie doświadczenia przez człowieka człowiekowi, przez jeden kraj drugiemu krajowi. Jeszcze niedawno w to wierzyłem... Ale dzisiaj nie wiem, czy wystarczy podzielić się doświadczeniem, czy też każdy kraj, każde społeczeństwo, każdy człowiek musi powtórzyć wszystkie błędy innego kraju, innego społeczeństwa i dopiero wtedy się nauczyć, kiedy już będzie za późno... Naturalne jest dzisiaj dążenie waszych kół postępowych do uzyskania maksimum wolności i możliwie szybkiego przeniesienia swojego społeczeństwa do tej samej kategorii co inne kraje zachodnioeuropejskie. Ale chciałbym przypomnieć, że w dzisiejszym świecie kraje demokratyczne stanowią już na naszej planecie — no, jeśli nie wysepkę, to stosunkowo bardzo niewielki obszar. Większa część świata pogrąża się coraz głębiej w totalitaryzmie i tyranii. Cała Europa Wschodnia, Związek Sowiecki, cała Azja, oto już i Indie wpadają w totalitaryzm, Afryka, która niedawno uzyskała wolność, także wydaje się zdążyć, jeden kraj za drugim, do oddania się tyranii... Dobrze, jutro Hiszpania stanie się tak samo demokratyczna, jak cała Europa. Ale pojutrze — czy Hiszpania zachowa tę demokrację, obroni ją przed totalitaryzmem, który chce połączyć cały Zachód?... Widzimy, że w świecie zachodnim osłabła wola oporu. Co roku bez walki oddaje on kilka krajów we władzę totalitaryzmu. Nie ma woli oporu, nie ma poczucia odpowiedzialności w korzystaniu z wolności. Współczesna cywilizacja zachodnia może być opisana nie tylko jako społeczeństwo demokratyczne, ale także jako społeczeństwo konsumpcyjne, czyli takie, w którym wszyscy główny swój cel widzą w uzyskiwaniu jak najwięcej dóbr materialnych, nieograniczonym z nich korzystaniu, rozkoszowaniu się i nie myśleniu, jak prawo do tego obronić”.

Namiętne ostrzeżenia i próby wyjaśnienia sytuacji, podejmowane przez Sołżenicyna i innych autorów *Kontynentu*, zasługują na największą uwagę, szacunek i solidarność, i nie mogą ani przez chwilę zostać uznane za zbędne, nawet gdy te same tezy i argumenty powtarzają się niejednokrotnie: bo trwała, niestety, jest rzeczywistość, której dotyczą, i trwała o niej niewiedza na szerokim świecie. Proponowana przez tych autorów interpretacja historycznych i kulturowych przyczyn istnienia niewolniczego Imperium ze stolicą w Moskwie jest dyskusyjna — ale każdemu zespołowi i poszczególnym ludziom, zastanawiającym się nad jakimś fenomenem społecznym, wolno przecież głosić to, co uważają za prawdę. Dla większości autorów *Kontynentu* taką prawdą jest gwałt dokonany na narodzie rosyjskim, a następnie i innych narodach, przez spiskowców opętanych złowrogą doktryną materialistyczną i ateistyczną. Orężem w walce z obcymi swej ziemi ciemiężcami jest światopogląd religijny, wcielany w życie w całej

dosłowności (na przykład głośne hasło Sołżenicyna: „odrzucić kłamstwo!”), meżna obrona wiary ojców, tradycji, narodowości. Piszący to sprawozdanie rozumie i szanuje powyższy pogląd, chociaż sam nie jest skłonny do rozpatrywania powstałej w Rosji w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat struktury wyłącznie w tego rodzaju kategoriach ideologicznych. Sądzi on raczej, że rewolucja bolszewicka, zwłaszcza w postaci, w jakiej okrzepła jakiś czas po swoich pierwszych zwycięstwach, dziedziczy skumulowane zło całej historii Rosji — i to nie tylko ten gatunek zła, jaki uosabiają jej buntownicy i nihiliści, lecz również, a nawet przede wszystkim zło jej despotyzmu, podbojów, imperialnej pychy, niewolnictwa i ponizenia człowieka — wszystko to zresztą w stopniu spotęgowanym na miarę naszego ambitnego stulecia. Sądzi on też, że dzisiejszą trwałość i agresywność imperium sowieckiego określa nie tyle abstrakcyjna idea „marksizmu”, co dające się przeliczyć na bomby, naftę, ziemię, morza, spółki mieszane, doradców w Bagdadzie i Hawanie, koleje, huty i inne dobra idea potężnego państwa, które to państwo jest nie tylko idea, lecz emanacją przynajmniej jakiejś części społeczeństwa, utożsamiającej się z nim i czerpiącej zeń korzyść (choć inna, większa część społeczeństwa jest tego państwa pierwszą i najdłuższą cierpiącą ofiarą). Sądzi on wreszcie, że ma rację Wojnowicz, który pod koniec swojej „Iwańkiady” na pytanie, „komu to potrzebne”, odpowiada: Sergiuszowi Siergiejewiczowi Iwańko, mając na myśli, oczywiście, nie tylko autentycznego bohatera anegdoty, ale uogólnienie typowego przedstawiciela panującej w „socjalizmie” klasy. Oto jego portret: „Krytykuje on burżuazyjny styl życia, robiąc wszystko, żeby żyć właśnie jak burżuj. Demaskuje czołobitność wobec zagranicy, ale sam wpija się w każdy przedmiot, na którym naczepiono zagraniczną metkę. Mówią, że ideologia przeszkadza mu stać się innym. A juści! To on niby sprawdza każdy swój krok wedle Marksa? ... Marksizm potrzebny mu jest jako parawan, którym można się zasłonić. Dajcie mu inny parawan, a zasłoni się tamtym. Jedyna ideologia, której hołduje — to maksymalne zaspokojenie własnych potrzeb, te zaś nie mają granic i wchodzą w sprzeczność z możliwościami, które, jakkolwiek duże by były, zawsze są ograniczone. Jego działalność praktyczna skierowana jest na stałe rozszerzanie tych możliwości. I tu bynajmniej nie jest on żadnym dogmatykiem czy ortodoksem. Dotrzymuje kroku epoce, uprawia mikrę i przystosowuje się do nowych warunków. Mało tego, sam te warunki tworzy... I póki wy kreślicie programy wielkich przeistoczeń, budujecie zamki na lodzie, tropicie błędy u Hegla, hołubicie liniijkę wiersza lub próbujecie wypatrzeć przez mikroskop chromosom X, nasz skromny pracownik swoimi ostrymi ocz-

kami czujnie śledzi, czy nie uda się pod pozorem walki z obcą ideologią wyzucić was z czegoś: z mieszkania, żony, krowy, wynalazku, posady lub tytułu naukowego. Powoli i systematycznie rozgrzewa on atmosferę, i oto na jego skromnym obliczu dostrzegacie już nie uśmiech, lecz wyszczerzone wilcze kły”.

Tak wygląda klasa panująca ZSRR, zainteresowana w niepopuszczeniu ani o jotę i w niedopuszczeniu do jakichkolwiek swobód i mrzonek. Jeżeli zaś — dodajmy — wolno wyobrazić sobie cały kraj w postaci człowieka, to Związek Sowiecki cały jest takim ogromnym, pękającym Sergiuszem Siergiejewiczem Iwańko, obłudnym, agresywnym i chciwym, i naprawdę ani trochę nie dogmatycznym, gdy chodzi o połknięcie czyjegoś „mieszkania, żony lub krowy”, czytaj: Czechosłowacji, Wietnamu, Angoli...

Uważając, że tak brzmi prawdziwa, choć z pewnością też niekompletna, odpowiedź na pytanie, „komu to potrzebne” — można przecież i trzeba z całym szacunkiem wysłuchiwać idących w innym kierunku odpowiedzi ideologów *Kontynentu*. Nade wszystko zaś warto pamiętać, iż wobec największej nawet różnicy zdań na ten temat nadrzędne jest to co wspólne: świadomość realnego zła, nieszczęścia, jakim dla poszczególnych ludzi i całych narodów jest to, co istnieje w Związku Sowieckim, i towarzysząca tej świadomości wola oporu, przeciwstawienia się złu, uczynienia wszystkiego dla jego demaskacji oraz destrukcji.

Tak należy widzieć hierarchię spraw, mimo że redakcja *Kontynentu*, niestety, nie zawsze daje nam tu przykład zdrowego „pluralizmu”. W numerze dziewiątym zamieszczony został list otwarty Tatiany Chodorowicz do Leonida Pluszcza i jego odpowiedź. Pani Chodorowicz, pełna poświęcenia dysydentka sowiecka, która ogromnie wiele zrobiła dla wyciągnięcia Pluszcza z więzienia psychiatrycznego, ubolewa teraz nad jego oświadczeniami, złożonymi już na emigracji, iż pozostaje on wierny jakiejś wizji „komunizmu o ludzkim obliczu”, nie mającego nic wspólnego z dotychczasową praktyką komunizmu. Ona sama, żarliwa chrześcijanka, już w podstawach filozoficznych komunizmu widzi tylko możliwość czynienia zła — cała zaś historia wcielania tej filozofii w życie potwierdza jej pogląd — jakże więc możliwe, iż Pluszcz, ze swoim przerażającym doświadczeniem, sądzi inaczej? Z kolei wyjaśnia swoje stanowisko (łatwiejsze do obronienia na gruncie abstrakcji myślowych niż znanych faktów) adresat listu otwartego. Cokolwiek sądzić o trafności każdego z członów dialogu, oba utrzymane są w tonie szacunku dla strony przeciwnej, i całość można by uznać za pożyteczną wymianę zdań na istotny temat, gdyby nie redakcyjne podsumowanie, w którym Pluszcz został potraktowany z krańcową brutalnością i wręcz odsądzony od czci i wiary. To zgrzyt — nikomu nie potrzebny i przykry.

Inny zgrzyt. Wrażliwy — co rozumiałe — na niedoceniecie przez Zachód ogromu cierpienia narodu rosyjskiego, redaktor pisma nie powinien manifestować w zamian lekceważenia dla cierpienia innych narodów. Wymienianie z wymownym wykrzyknikiem nikłej w porównaniu z Gułagiem ilości więźniów w Grecji czy w Chile — że niby „o czym tu mówić” — jest nietaktowne i niesympatyczne. Twierdzenie zaś na początku roku 1975, iż „wszyscy więźniowie polityczni w Chile zostali już zwolnieni”, uznać wypada za co najmniej pochopne.

I po co w ogóle te porównania? Z innej ich serii wynika idealizacja Rosji carskiej, na którą jakże nie spojrzeć sceptycznie? Kiedy na przykład ze wstępnej deklaracji zespołu w pierwszym numerze *Kontynentu* dowiadujemy się, że w Rosji literatura rozwijała się „bez przeszkód” i „nikt, poczynając od Puszkina i Gogola, kończąc na Tołstojem i Dostojewskim, nie musiał szukać sobie wydawcy za granicą”, jakże nie przypomnieć, że znaczna część utworów Puszkina nie doczekała się druku za życia poety i długo po jego śmierci ogłosił je Herzen w emigracyjnym *Kołokole*? I później bywało niewiele lepiej — choć nie aż tak źle, jak po rewolucji.

Publikując w numerze czwartym „Rosyjski kompleks polski i terytorium ULB” Mieroszewskiego (który to gest zasługuje na uznanie), redakcja w przypisie nie wykazała zainteresowania zasadniczą problematyką tego eseju, poczuła się natomiast dotknięta poglądem autora, że w 1920 roku Polacy nad Wisłą odparli Rosjan. Na dowód, że w kampanii tej Polska starła się nie z rosyjskim, lecz z zasadniczo odmiennym sowieckim imperializmem, przytoczone zostały nazwiska dowódców Armii Czerwonej, którzy z wyjątkiem Tuchaczewskiego nie byli Rosjanami („Ormianin Gaj, Kałmuk Gorodowikow, Żyd Jakir” etc.). Dobór tych nazwisk jest dowolny i tendencyjny — możliwy byłby inny, w którym Rosjanie stanowiliby większość. Ponadto — nietrudno byłoby wyliczyć sławnych dowódców armii carskiej, którzy byli Niemcami, Francuzami, Estończykami — i cóż z tego, skoro podbijali ościenne ziemie nie na rzecz imperializmu francuskiego lub czuchońskiego, lecz właśnie rosyjskiego? Można by wreszcie przypomnieć wielkich pisarzy rosyjskich pochodzenia nierosyjskiego („Turek Żukowski, Etiop Puszkina, Niemiec Fet, Ukraińiec Korolenko” etc.) — czy dla redakcji *Kontynentu* byłoby to dowodem, że nie reprezentowali oni kultury rosyjskiej, lecz jakąś inną? Bardzo zawodna i niebezpieczna jest taka argumentacja.

O tych potknięciach omawianego pisma trzeba tu było wspomnieć bez osłonek — i z całą wiarą zresztą, że nie muszą one być uporczywie mnożone. Omyłką byłoby jednak snucie podej-

zeń, że mamy po prostu do czynienia z przejawami rosyjskiego nacjonalizmu i ksenofobii. Na takie podejrzenia zespół *Kontynentu* nie zasługuje, nie tylko dlatego, że niejednokrotnie *expressis verbis* deklarował się po stronie wolności i niepodległości wszystkich narodów i przeciwko zaborczej polityce Imperium (na przykład w tymże przypisie do artykułu Mieroszewskiego: „... uznanie świętego prawa do samookreślenia każdego z wymienionych narodów... stanowi jedną z fundamentalnych zasad naszego pisma”), co wielu starszym organom emigracji rosyjskiej z trudem przeszłoby przez gardło — ale i dlatego, że w kompozycji wszystkich wydanych dotąd numerów widać niezadawkowe dążenie do udzielenia trybuny nierosyjskim ofiarom komunizmu, zapoznania w miarę możliwości czytelników rosyjskich i innych z losem, krzywdą, kulturą także pozostałych ujarzmionych przez komunizm narodów: Litwinów (m.in. artykuły Algirdasa Landsbergisa i Vitautasa Kavolisa), Łotyszy, Estończyków, Węgrów (memuary Kardynała Mindszenty'ego), Czechów („Niedokończona rozmowa” Smrkovsky'ego, wiersze Seiferta, teksty J. Hochmana, J. Drdy, L. Pachmana), Jugosłowian (m.in. testy Milovana Džilasa, Mihajlo Mihajlova, Gojko Boricza), przede wszystkim zaś bodaj Ukraińców oraz Polaków. Jeśli chodzi o Ukraińców, to do najbardziej reprezentatywnych materiałów, zamieszczonych w *Kontynencie*, należy, obok wymienionego już tekstu Kardynała Slipyja o tragicznym losie ukraińskiego kościoła katolickiego, wstrząsająca „Kronika oporu” Walentyna Moroza, czołowego bojownika o wyzwolenie Ukrainy, któryś już rok z rządu tułającego się po sowieckich tiumrach i łagrach, a także podobnie zatytułowana „Kronika ukraińskiego oporu” wybitnego publicyście emigracyjnego Iwana Koszeliwca. *Nota-bene*, jako reprezentanci sowieckich więźniów politycznych w ogóle, występują w *Kontynencie* autorzy nadesłanego z mordowskich łagrów „Dialogu za drutem kolczastym”: Wiaczesław Czornowit („ukraiński nacjonalista”) i Borys Penson („syjonista”). Trzeci więzień, którego świadectwo przytoczono w „Dialogu” — to Wasyl Stus, też „ukraiński nacjonalista”. We wstępie do tej publikacji Andrzej Siniawski zwraca uwagę na rozkwitła w łagrach „rzeczywistą, nie zaś wymyśloną, przyjaźń narodów Związku Sowieckiego”...

Przejdźmy do polskich publikacji. O niektórych z nich była tu już mowa — otóż do tego dochodzi m.in. „List o polskich więzieniach” Emila Morgiewicza, „Zaproszenie do Moskwy” Zbigniewa Stypułkowskiego (o procesie szesnastu) i wiele drobniejszych publikacji, niekiedy zaledwie napomknien, ale znaczących, w materiałach nie dotyczących bezpośrednio Polski, jak w wywiadzie z Naumem Korżawinem, gdy na pytanie o stosunek do

literatury światowej, określa on jako „poważną” prozę polską — Andrzejewskiego i Brandysa. Najdonioślejszą wszakże publikacją, jeśli chodzi o stosunki rosyjsko-polskie — publikacją bez precedensu, która kiedyś będzie uznana za historyczną — jest oświadczenie grona intelektualistów związanych z *Kontynentem* w rocznicę 1 i 17 września 1939 roku, potępiające wprost i zdecydowanie rozbiór Polski dokonany wówczas przez dwa totalizmy, a także mord katyński, zdradę Powstania Warszawskiego, próbę interwencji w roku 1956. „... wszystko to są — oświadczają autorzy — piętna nie do zmycia naszej ogólnonarodowej winy, której zmazanie jest naszym dzięciwym obowiązkiem i misją”. Dalej zaś, uznając swoją narodową odpowiedzialność za przeszłość, autorzy przypominają tradycję opowiadania się najlepszych ludzi Rosji — od Herzena do Tołstoja — po stronie Polski i wyrażają wiarę, iż „we wspólnej walce z totalitarną przemocą i niszczycielskim fałszem powstanie między nami zupełnie nowy typ stosunków wzajemnych” — „nie są to zaś dla nas słowa, lecz nasze credo i dewiza”... Oświadczenie podpisali znajdujący się obecnie na emigracji: Josif Brodsski, Andrzej Wołkoński (kompozytor), Aleksander Galicz, Naum Korżawin, Włodzimierz Maksimow, Wiktor Niekrasow i Andrzej Siniawski, osobną zaś depeszą z Moskwy przyłączył się do nich Andrzej Sacharow.

Wiele spośród materiałów, o których ostatnio była mowa, należy nie tyle (a w każdym razie nie tylko) do eksplikacji idei, ile do świadectw. Dotyczy to m.in. skrupulatnej relacji o warunkach w więzieniach PRL niedawnego skazańca z procesu „Ruchu” Emila Morgiewicza, „Dialogu za drutem kolczastym” o życiu we współczesnym — prawie ćwierć wieku po Stalinie! — łagrze sowieckim i wielu innych. Wymieńmy teraz zamieszczone w *Kontynencie* świadectwa i dokumenty, o których dotychczas nie było mowy. To na przykład (nr 2) protokoły nadzwyczajnego zgromadzenia pełnomocników fabryk i zakładów 13 i 15 marca 1918 roku (publikacja Sołżenicyna): jeden z pierwszych po rewolucji umotywowanych faktami protestów klasy robotniczej przeciwko terrorowi, kłamstwu, zduszeniu wolności, bezprawiu i nędzy — wszystkiemu temu, co przyniosły ze sobą uzurpatorskie rządy partii bolszewickiej, już wtedy bynajmniej nie popieranej przez większość ludu. W numerze 3 znajdujemy — obok wcześniej wymienionej „Kroniki oporu” Moroza — zwięzłą, rzeczową informację o chorwackich intelektualistach i działaczach studenckich w więzieniach Jugosławii oraz relację Franza Warkonyi-Lebera o powstaniu więźniów obozu kingirskiego w maju-czerwcu 1954 roku. Autor, węgierski lekarz, więziony w ZSRR od 1945 do 1955 roku, był uczestnikiem tego powstania. Numer 4 przynosi „Zakulisową historię paktu Ribben-

trop-Mołotow” profesora Awtorchanowa, niegdyś działacza partyjnego i więźnia, obecnie wybitnego sowietologa, autora m.in. słynnych książek „Technologia władzy” i „Narodziny partokracji”. Tamże — początek kontynuowanej w następnych numerach pracy źródłowo-badawczej angielskiego autora Nicholasa Betella „Ostatnia tajemnica” — z dziejów wydania przez Anglię i Amerykę sowieckim sojusznikom znajdujących się pod koniec wojny na Zachodzie byłych obywateli sowieckich, uznanych za zdrajców ojczyzny. „Nienapisane reportaż” Aleksiego Łosiewa (dziennikarza leningradzkiego, na emigracji od roku 1976), zamieszczone w numerze 9 — to wtargnięcie za pośrednictwem kilku migawek w sam miąższ codziennego życia sowieckiego, w realia, o których prasa tamtejsza nie zwykła pisać (na przykład okoliczności zatłuczenia na śmierć przez milicję przypadkowego przybysza w komisaracie). Z innym autorem, Jakubem Wińkowieckim (rocznik 1938, geolog i wybitny malarz, uczestnik nielegalnej wystawy w Leningradzie, od roku 1975 na emigracji) wracamy do aktualnego bytowania zwykłego człowieka sowieckiego, w to miejsce, w którym rzadko kto z obywateli Imperium pewnego dnia się nie znajdzie. „List z Rosji do Rosji” Wińkowieckiego (w numerze 7 *Kontynentu*) zaczyna się od słów: „Przyjacielu, proszę mnie o radę, jak się zachować, jeżeli zostaniesz wezwany na przesłuchanie do KGB. Mogę o tym coś niecoś opowiedzieć — nie jeden raz zdarzyło mi się tam bywać. Stało się to prawie powszechnym losem w naszym kraju — samo przesłuchanie albo ciągle spodziewanie się go — zwłaszcza dla tych, kogo nazywają inteligentami...”. I dalej następuje znakomity instruktaż, obszerne, ale nie przegadane, przejrzyste, oparte o doświadczenia autora i innych osób, jak należy zachować się w zetknięciu z policją polityczną i podporządkowanym tejże policji sądem. Jeżeli wolno w tym miejscu coś zasugerować polskiemu pismu emigracyjnym, któreś z nich powinno tekst Wińkowieckiego przełożyć i wydrukować — wszystko, co pisze, jest bardzo aktualne i dla nas w kraju...

Tak oto dotarliśmy do końca relacji (nie całkiem kompletnej) o zawartości dziewięciu numerów *Kontynentu*. Urywając ją, można tylko powtórzyć, jak na początku: co za krzepiący, co za fascynujący widok — to życie, to kwitnienie k o n t y n e n t u kultury rosyjskiej, jego wiary, myśli, widzenia w głąb i widzenia na zewnątrz... I powtarzając to z podziwem i satysfakcją, życzyć „przyjaciołom Moskalom”, żeby głos ich zabrzmiał jeszcze słobodniej, jeszcze donośniej, zrozumiałej dla świata...

Szczepan MACIEJKO

(Artykuł nadesłany z Kraju)

Archiwum polityczne

Trzecia wojna światowa (dok.)

II

Wojna ideologiczna

Równowaga czy też przewaga broni nuklearnych i konwencjonalnych zabezpiecza Sowiety przed konfliktem zbrojnym w skali światowej a tym samym pozwala przesunąć walkę na inną płaszczyznę — w dziedzinę „wojny ideologicznej”.

Samo to określenie jest oczywiście semantycznym oszustwem sugerującym, że chodzi tylko o starcie dwóch „ideologii”, o pojedynkę na słowa w eterze czy w prasie.

W rzeczywistości „wojna ideologiczna” jest właśnie tą „trzecią wojną światową”, którą miał na myśli Sołżenicyn. Obejmuje ona niezwykle szeroki wachlarz metod i środków walki. Formę najbardziej skrajną stanowi zbrojna agresja o charakterze lokalnym, prowadzona nie bezpośrednio przez Związek Sowiecki lecz *by proxy* czyli przez wysuniętego do przodu zastępcę wspieranego i zbrojonego przez Moskwę. W Indochinach zastępczą rolę agresora przejął Wietnam Północny, w Angoli — Kuba, w stosunku do Rodezji — Mozambik. W sowieckiej terminologii lokalna agresja nosi nazwę „wojny wyzwolenczej”.

Inną formą wojny ideologicznej jest wywoływanie i podsycanie wszelkich konfliktów niekoniecznie na tle klasowym lecz także narodowościowym, rasowym, religijnym a nawet pokoleniowym. Jedna ze stron w konflikcie w zamian za pomoc w broni i w środkach finansowych staje się klientem Moskwy. Zwycięstwo klienta zapewnia dalsze rozszerzenie wpływów własnych, jeszcze jeden krok albo i kroczek na drodze do izolacji głównego przeciwnika. Przymusowa bezsilność czy bierność Stanów Zjednoczonych ma w intencjach sowieckich pociągnąć za sobą łańcuchową reakcję

psychologiczną, która doprowadzi do rozbicia systemu sojuszków zbudowanych przez Amerykanów w okresie powojennym. Z chwilą gdy parasol amerykański przestanie skutecznie chronić przed agresją jawną czy ukrytą, od wewnątrz czy od zewnątrz — jako jedyna droga ocalenia pozostanie w najlepszym razie neutralność a w najgorszym szukanie na własną rękę porozumienia z agresorem — kapitulacja na warunkach najkorzystniejszych. *Better red than dead!* Takie a nie inne były następstwa w Azji Wschodniej amerykańskiej klęski we Wietnamie. Dziś Ameryka ma wciąż jeszcze sojuszników lub klientów, którzy w nią wierzą. Nie trudno jednak przewidzieć co się stanie, gdy wypadki we Wietnamie lub Angoli powtarzać się będą gdzie indziej.

Najbardziej klasyczną bronią w arsenale wojny ideologicznej jest dywersja przybierająca różne formy — poczynając od finansowania i zbrojenia terrorystów, partyzantki i sabotażu a kończąc na dezinformacji, przekupywaniu polityków, infiltrowaniu aparatu rządowego, parlamentów i związków zawodowych. Jedną ze znanych metod osłabiania gospodarki krajów wysoko uprzemysłowionych są tzw. *agents of influence* — agenci operacyjni wprowadzani do władz Związków Zawodowych. Jednym zaś z głównych obiektów dywersji są wojska NATO w Europie Zachodniej, w szczególności żołnierze garnizonów amerykańskich i niemieckich. Kierowana z Moskwy podziemna organizacja działająca pod szyldem „Soldados Unietas Venceremos” (my zjednoczeni żołnierze zwyciężymy) nie ogranicza się do podburzającej agitacji, lecz zajmuje się także rozprowadzaniem narkotyków. Problem narkotyków w wojskach stacjonowanych w Niemczech Zachodnich urosł według gen. Haiga do rozmiarów poważnego niebezpieczeństwa.

Szczególną rolę w wojnie ideologicznej spełniają ambasady państw komunistycznych w stolicach na całym świecie. Po usunięciu z Londynu 105 urzędników ambasady ZSSR prasa ujawniła, że przeciętnie 70 % personelu komunistycznych placówek dyplomatycznych stanowią funkcjonariusze KGB. Nie ograniczają się bynajmniej do wywiadu. Ich głównym zadaniem jest organizowanie i kierowanie operacjami dywersyjnymi, o których mowa była wyżej. Gmachy ambasad uzbrojone są w zachodnie urządzenia podsłuchowe pozwalające na przejmowanie najtajniejszych informacji politycznych i wojskowych.

Dywersanci komunistyczni przygotowywani są do dywersji, akcji terrorystycznej i partyzantki w Instytucie Lenina w Moskwie. Inni, niezwiązani z ruchem komunistycznym szkoleni są w Taszkencie lub w Odessie („Detente: „An Evolution”, art. zbiorowy. *Survey* Nr. 2/3, 1974).

W „walce ideologicznej” prowadzonej przy pomocy tajnych

operacji wywiadu, dywersji, sabotażu, falsyfikatów i szantaży — głównym ramieniem obronnym Stanów Zjednoczonych nie są siły zbrojne, lecz CIA i FBI — służby przeznaczone do rozpoznawania przeciwnika, do walki z infiltracją, korupcją i obcym wywiadem. W klimacie odprężenia Kongres USA i środki masowego przekazu uczyniły wszystko, by zniszczyć niezbędną poufność chroniącą działalność obu tych organów, zdemoralizować personel, utrudnić rekrutację ludzi oraz wykrywanie agentów przeciwnika. Kodeks etyczny obowiązujący w czasie pokoju zastosowano do sytuacji nie dającej się określić inaczej, jak wojna na śmierć i życie.

Prezydent Carter i jego główny strategiczny doradca prof. Z. Brzeziński, wezwali na wstępie, by polityce odprężenia przywrócić symetrię. Ów brak symetrii nigdzie nie wystąpił bardziej jaskrawo, jak w dziedzinie wojny ideologicznej.

Sowiety od początku prowadziły politykę dwutorową starannie odróżniając stosunki międzypaństwowe od działalności organów powołanych do kontynuowania walki ze światem zachodnim. W chwili, gdy Breżniew czule ścisnął w Moskwie rękę brytyjskiego Premiera — I. V. Kozłowa, urzędnik V-go Dep. KGB działający pod pokrywką I-go sekretarza ambasady ZSSR w Dublinie, organizował dostawy broni dla irlandzkiej armii republikańskiej strzelającej do brytyjskich żołnierzy. Nieomal w tym samym czasie, gdy Breżniew zapowiadał „wzmoczenie walki ideologicznej, która przybierać będzie coraz ostrzejsze formy starcia między dwoma systemami socjalnymi” — senator Fulbright domagał się zlikwidowania Radia Wolna Europa i Radia Swoboda jako relikwów zimnej wojny. W tym samym czasie Rosja rozbudowywała programy zagraniczne do obecnych rozmiarów blisko 2.000 godzin tygodniowo nadawanych w 84 językach. Moskwa nie szczędziła środków na instalowanie nowych potężnych nadajników o sile dwukrotnie przekraczającej najmocniejsze anteny RWE/RL. Pozwalają one docierać bez przeszkód z terytorium ZSSR do słuchaczy w najodleglejszych zakątkach Afryki, Azji i Ameryki Południowej.

Niezależnie od radia oficjalnego rozbudowana została sieć sowieckich radiostacji „tajnych” lub „prywatnych”, nadających programy otwarcie podburzające, które zaklasyfikować można tylko, jako wojenną propagandę dywersyjną. „Prywatna” radiostacja „Pokój i Postęp” występuje w charakterze rzeczniczki „sowieckiej opinii publicznej”. Nadaje ona w czternastu językach. Kiedy w roku 1968 rząd Indii zaprotestował przeciwko czynnemu włączeniu się radiostacji „Pokój i Postęp” do przedwyborczej kampanii a w szczególności przeciwko atakom na kandydatów partii rządowej i propagandzie na rzecz

promoskiewskiego odłamu komunistów — rząd sowiecki odciął się od wszelkiej odpowiedzialności za działalność tej radiostacji. Tylko „państwowemu kapitalistycznym” nie wolno mieszać się do spraw wewnętrznych krajów komunistycznych.

Radiostacja „Pokój i Postęp” stanowi jednak tylko jedno ogniwo w łańcuchu „prywatnych” lub tajnych rozgłośni. Radio „España Independiente — Estación Pirenaica” udaje radiostację podziemną nadającą z terytorium hiszpańskiego. To samo „Radio Portugal Libre”. W rzeczywistości studia i nadajniki ulokowane zostały w Niemczech wschodnich. Podobnie rozgłośnia masująca dywersyjną propagandą Włochy p.n. „Oggi” („Dzisiaj”) nadaje z Pragi. „Głos Prawdy”, przeznaczony dla Grecji, ulokowany niegdyś w Rumunii przesunięty został później do Niemiec wschodnich. „Nasze Radio” nadaje do Turcji z sowieckiej strefy przygranicznej, itd. Bundeswehra w Niemczech zachodnich jest przedmiotem szczególnie intensywnej agitacji prowadzonej przez dwie „tajne” radiostacje „rewolucyjne”: „Freiheitssender” i „Soldatensender”. Po zawarciu układu Bonn-Pankow — ogłoszono z hałasem o ich zamknięciu. Po trzynastu miesiącach wznowiły nadawanie pod kryptonimem „935” i „904”. Nadajniki ulokowane są w miejscowości Burg w północno-wschodniej części NRD. Nadają także podlegające audycje po grecku, włosku i turecku dla robotników cudzoziemskich w Niemczech zachodnich.

W zachodnim wydawnictwie „Europejska Unia Radiowa” (1969 r.) przytoczone zostało określenie przez Lenina radia jako „awangardy rewolucji”. Ma ono funkcjonować jako agitator, propagandysta i organizator. W rzeczywistości jednak w sowieckim arsenale wojny ideologicznej radio odgrywa rolę podrzędną i pomocniczą. Moskwa korzysta w pełni ze swobody słowa w demokratycznych krajach zachodnich. Propaganda sowiecka prowadzona jest — najczęściej w formie zakamufłowanej — na miejscu — za pośrednictwem prasy komunistycznej danego kraju, jej sprzymierzeńców, albo elementów przekupionych mających dostęp do miejscowych środków masowego przekazu. Nawet całkowite zamknięcie oficjalnych i tajnych radiostacji bloku sowieckiego w bardzo nieznacznym stopniu osłabiłoby sowiecką propagandę.

Natomiast radiostacje zachodnie nadające w językach bloku sowieckiego: RWE, RL, BBC, VOA, Deutsche Welle i Deutschlandfunk stanowią jedyną drogę docierania do wielomilionowej rzeszy odbiorców w bloku sowieckim. Ponieważ totalna cenzura czyni z nich jedyne wiarygodne źródło wiadomości i ocen — wywierają one wpływ na audytorium wielokrotnie większy niż radiofonia przeciwnika na słuchaczy zachodnich.

Radio Wolna Europa w erze odprężenia

Rażący brak symetrii w amerykańskiej polityce odprężenia miałem okazję obserwować bezpośrednio na swoim odcinku, jako kierownik Rozgłośni Polskiej RWE do dn. 1 stycznia 1976.

W przeciwieństwie do Rosjan dyplomacja amerykańska odrzuciła wszelką dwutorowość przy wprowadzaniu w życie *détente*. Poprawa stosunków na szczeblu rządowym miała znaleźć swe odbicie również w programach albo raczej losach obu radiostacji.

Istnieje zasadniczy, organiczny konflikt między dyplomacją a środkami masowego przekazu skierowanymi na za granicę. Zadaniem dyplomacji jest dialog z obcym rządem, funkcją radia — dialog ze społeczeństwem. Jeśli ludność żyje w ustroju pozbawiającym ją podstawowych praw ludzkich i nastawiona jest w przytłaczającej większości wrogo wobec grupy rządzącej — powstaje nieunikniony konflikt.

Z wyjątkiem ludzi wybitnego rozumu i szerokiej wizji większość biurokracji Departamentu Stanu i personelu ambasad w stolicach bloku wschodniego odnosiła się od początku wrogo do RWE widząc w radiostacji przeszkodę komplikującą jej życie, utrudniającą rokowania i dobre stosunki z totalitarnym rządem. Po upadku Nixona, który rozumiał znaczenie bezpośredniego dialogu z narodami bloku wschodniego, powstała w klimacie odprężenia okazja do pozbycia się obu radiostacji lub co najmniej ograniczenia ich na wzór „Głosu Ameryki”. Po klęsce Fulbrighta obawiano się uczynić to otwarcie. Rozbiórka prowadzona była stopniowo pod pretekstem koniecznych oszczędności i rozłożona na etapy. Realizowana była i jest nadal za pośrednictwem powołanego przez Kongres Komitetu Międzynarodowej Radiofonii (*Board of International Broadcasting*) ściślej zaś biorąc przez jego przewodniczącego p. Davida Abshire’a b. podsekretarza Departamentu Stanu oraz jego personelu.

W ciągu pięciu lat w kolejnych dorocznych masowych redukcjach liczba pracowników obu rozgłośni zmniejszona została prawie o jedną trzecią. Rozgłośnia Polska straciła 40 % załogi, głównie spośród redaktorów a więc z pierwszej linii. Służby pomocnicze, gromadzące informacje o Europie Wschodniej a więc nasłuch radiowy, przegląd prasy krajowej, biura studiów, archiwa zostały dosłownie zdziesiątkowane. Tam, gdzie pracował przedtem czterech ludzi pozostawał nierzadko jeden. Zaryglowano równocześnie dopływ nowego narybku zachęcając równoległe do wcześniejszego przechodzenia na emeryturę. Palono więc świeczkę z dwóch stron jednocześnie. Przedkładane Kongresowi preliminarze budżetowe zawierały znaczne sumy przeznaczone na odprawy i emerytury a więc na stopniową likwidację instytucji.

W ciągu kilku lat Rozgłośnia Polska RWE utraciła większość swych najbardziej utalentowanych pisarzy i dziennikarzy bez możliwości zastąpienia ich młodym narybkiem odpowiadającym wartości poprzedników.

W obawie przed reakcją grup nacisku i opinii amerykańskiej ograniczenia były robione pod hasłem troski o kieszeń podatników. Ile w tych argumentach było prawdy ocenić można porównując koszt obu radiostacji z wydatkami na zbrojenia. Roczny budżet obu radiostacji nadających do krajów o ludności 380 milionów wyniesie w bieżącym roku 58 milionów dolarów. Jeden bombowiec typu B-1 kosztuje dokładnie 93,8 miliona dolarów a więc półtora raza więcej. Na produkcję flotyli tych samolotów przeznaczono 22,8 miliardów dolarów (I.H.T. 28. 12. 1976). Koszt lotniskowca Carl Vinson znajdującego się w budowie oceniany był w roku 1975 na jeden miliard dwieście milionów dolarów — 18 razy więcej niż Radio Wolna Europa i Radio Swoboda razem wzięte. W skali ogólnego budżetu Stanów Zjednoczonych sięgającego astronomicznej sumy 300 miliardów dolarów wydatki na radiostacje nie były nawet ułamkiem grosza. Tymczasem nieustanne redukcje, niepewność jutra, permanentna walka ze Związkami Zawodowymi prowadzić musiały do zniszczenia tego kapitału, który w początkach działalności radia stanowił jego największą siłę: ideowe założenia pracy dla własnego kraju. W liście rezygnacyjnym pisałem:

„W ciągu ostatnich lat zespół RWE żyje w nieustannej niepewności jutra. Zrozumiałe jest z ludzkiego punktu widzenia, że w tych warunkach główną troską stają się pobory, świadczenia, emerytury itd. Duch idealizmu, który odgrywał tak wielką rolę w powstaniu RWE w przeszłości — ucierpiał dotkliwie na skutek uczucia permanentnego zagrożenia. Biorąc pod uwagę, że sytuacja taka trwa już od dawna trudno, aby było inaczej”.

Z uwagi na zagłuszania i rozbudowę rozgłośni reżymowych najbardziej palącą potrzebą RWE/RL stała się modernizacja przestarzałych nadajników i wzmocnienie ich siły. Niektóre datują się jeszcze z roku 1951, inne z 1954. BBC, „Głos Ameryki” i „Deutsche Welle” uzbrojone zostały stosunkowo niedawno w potężne anteny o mocy 500 kW, chociaż żadna z tych rozgłośni nie jest zagłuszana. Skromniejszy projekt dyrekcji amerykańskiej RWE budowy anten o sile 250 kW nie został uwzględniony w budżecie na rok 1977/78, przedłożonym Kongresowi przez poprzednią administrację. Amerykanie nie ośmielili się prosić o nadajnik 500 kW, który kosztuje ponad milion dolarów. Komitet p. Abshira zgodził się na razie tylko na budowę 12 anten o sile zaledwie 100 kW. Tymczasem rząd PRL po wypadkach czerwcowych położył moc nadajników zagłuszających zwią-

szając równocześnie ich ilość. Od połowy lata ub. roku Radio Wolna Europa nie jest już słyszalne w Warszawie, Krakowie i w innych wielkich miastach.

Reżymy komunistyczne odkryły jednak nowy, bardziej od zagłuszeń skuteczny sposób wyciszenia dwóch najważniejszych radiostacji zachodnich. Usiłuje się nie bez sukcesu rozciągnąć cenzurę na programy zachodniego radia drogą pośrednią, przez dyplomatyczny nacisk wywierany na ambasady amerykańskie w krajach bloku komunistycznego. W kołach dziennikarskich w Warszawie nie jest żadną tajemnicą, że rządowe protesty i ataki na poszczególne audycje RWE są nie tylko przyjmowane przez ambasadę USA, lecz spotykają się z jej poparciem i przekazywane są dalej z żądaniem wprowadzenia ograniczeń i zmian. W ten sposób dyplomacja USA wbrew uchwałom Kongresu przyjęła wobec rządów komunistycznych odpowiedzialność za programy radiostacji, które miały mieć zapewniony niezależny status.

Naciski natury politycznej uległy zahamowaniu na skutek reakcji opinii przeciwko tzw. doktrynie Sonnenfeldta. Nie było ich w okresie kampanii wyborczej, lecz wznowione zostały niezwłocznie po jej zakończeniu. Dokładnie w dniu 1 stycznia, a więc w miesiąc po wyborach prezydenckich ogłoszono nowe wytyczne polityczne, wprowadzające ograniczenia, które idą dużo dalej niż poprzednie dyrektywy z roku 1972. Podtrzymuje się wprawdzie zasadę, że Radio Wolna Europa i Radio Swoboda mają być namiastką wolnej prasy, ale długa lista restrykcji pozostaje w jaskrawej sprzeczności z pojęciem wolności słowa.

Nowe ograniczenia są jednostronnym prezentem na rzecz przeciwnika. Nie towarzyszą im żadne wzajemne ustępstwa drugiej strony.

Problem nie ogranicza się jednak tylko do RWE/RL. W grudniu ub. roku wybuchł bunt amerykańskich pracowników „Głosu Ameryki” przeciwko zacieśnianiu przez urzędników Dept. Stanu cenzury wiadomości i komentarzy. Rząd francuski dwa lata temu zamknął audycje nadawane do Europy Wschodniej. Wszelką treść polityczną usunięto z nich dużo dawniej. Niemcy zachodnie zlikwidowały z dniem 1 lutego br. stosunkowo niezależną od rządu „Deutsche Welle”, która była obiektem stałych ataków i protestów bloku komunistycznego wcielając radiostację do rozgłośni „Deutschlandfunk” podlegającą w pełni kontroli rządowej.

Po złączeniu Radia Wolna Europa i Radia Swoboda p. Abshire wysuwa obecnie nowe propozycje prowadzące w kierunku drugiej z kolei fuzji — tym razem z „Głosem Ameryki”. Pierwszym krokiem na tej drodze ma być połączenie urządzeń technicznych a więc nadajników obu radiostacji. W tym samym kierunku

zmierzałyby rozważane wciąż projekty przeniesienia RWE/RL w części lub całości do Stanów Zjednoczonych.

Ostatnio wreszcie, zgodnie z duchem polityki odprężenia, p. Abshire wystąpił z propozycją, by zamienić nazwę Radia Wolna Europa, która w ciągu 25 lat swego istnienia zdobyła sobie prawo obywatelstwa niemniejsze niż inicjały BBC, na „Radiostację Praw Człowieka” — *Radio Human Rights* (David M. Abshire: „International Broadcasting”, str. 82). Dla milionów słuchaczy przyzwyczajonych często od dziecka do obecnej nazwy oznaczałoby to koniec jej istnienia.

Tak oto przedstawia się w największym skrócie niesymetryczny obraz walki ideologicznej w dobie odprężenia.

Czy Zachód przetrwa trzecią wojnę światową?

W roku 1961 pewien amerykański uczyony pisał:

„Stany Zjednoczone nie mogą pozwolić sobie na jeszcze jeden spadek swych sił, jaki wystąpił w ciągu ubiegłych piętnastu lat. Jeszcze jedno piętnastolecie pogarszania się naszej pozycji, jakie oglądaliśmy od czasu drugiej wojny światowej, zredukuje nas do pozycji fortecy Ameryka prawie pozbawionej związków z otaczającym światem”.

Od roku 1961, gdy padło to ostrzeżenie upłynęło dokładnie lat piętnaście. Wprawdzie Ameryka nie jest dziś jeszcze izolowaną twierdzą, lecz nieustanna erozja jej potęgi w obliczu stale rosnących sił przeciwnika nieubłaganie zmierza w tym kierunku. Autor, który ten proces proroczo przepowiedział nazywa się prof. Henry Kissinger*. Ten sam Kissinger, który w dziesięć lat później stał się głównym architektem „odprężenia” okupionego jednostronnymi ustępstwami i poważnym osłabieniem pozycji Stanów Zjednoczonych.

Dopiero po sześciu latach *détente* zdano sobie w pełni sprawę z rozmiarów zbrojeń sowieckich i wypływających stąd niebezpieczeństw. I dopiero po inwazji Angoli alarmy rozległy się równocześnie po obu stronach Atlantyku: w Waszyngtonie, w Bonn, w Londynie i w Brukseli. Znaleźli się natychmiast publicyści i członkowie Kongresu, którzy próbowali zlekceważyć te głosy jako zwykłe, corocznie powtarzane manewry czynników wojskowych zabiegających o przyznanie kredytów wojskowych. Lecz tym razem sygnały ostrzegające były zbyt liczne, wymowa nagich faktów zbyt groźna, by nie wywołać niepokoju i reakcji. Kongres uchwalił najwyższy w historii USA budżet wojskowy w wysokości 113 miliardów dolarów. Popłynęły szeroko fundusze na

* H. Kissinger, *The Necessity of Choice*, 1961.

modernizację i produkcję nowych broni a przede wszystkim na badania naukowe. Zapowiada się wprowadzenie rewolucyjnych wynalazków, które usunąć mogą z pola walki łodzie podwodne i czołgi, jak niegdyś karabiny maszynowe i broń pancerna wyeliminowały kawalerię. Lecz wydatnemu zwiększeniu wydatków na zbrojenia nie towarzyszy zwiększenie nakładów na instrumenty wojny ideologicznej. Wszystkie trzy radiostacje amerykańskie duszą się w dalszym ciągu pod naciskiem ograniczeń i braku środków. Świadczy to najlepiej, że stratedzy amerykańscy wciąż nie rozumieją istoty i charakteru obecnego konfliktu.

Procesu zmierzającego stopniowo do izolacji Stanów Zjednoczonych nie da się zatrzymać samym tylko zwiększeniem wydatków na obronę. Polityka „powstrzymania” przestała być możliwą z chwilą, gdy Ameryka utraciła wpierw monopol a później przewagę broni nuklearnych. Sytuacja uległa odwróceniu. Dziś Moskwa pod osłoną tej przewagi czy nawet równowagi wojskowej stosować może politykę *rollback* — spychania przeciwnika z jednej pozycji za drugą bez uciekania się do generalnej konfrontacji zbrojnej. Związek Sowiecki prowadząc politykę ekspansywną środkami „walki ideologicznej” nie wyłącza lokalnych „wojen wyzwoleńczych” może śmiało oprzeć się na założeniu, że żaden prezydent Stanów Zjednoczonych nie wyda wyroku zagłady na ludność swego państwa w obronie jakiegokolwiek innego kraju na świecie, a społeczeństwo amerykańskie po doświadczeniu we Wietnamie nie pozwoli na wysyłanie korpusów ekspedycyjnych w odległe punkty świata, by bronić tam sojusznika przed agresją z zewnątrz lub od środka. Same zbrojenia nie powstrzymają więc skutecznie sowieckiej ekspansji.

Brak jakichkolwiek przesłanek, które pozwoliłyby na układanie kalendarza dalszych sowieckich posunięć. Churchill miał kiedyś powiedzieć, że gdyby Hitler zaatakował Polskę nie w kilka miesięcy, ale w kilka lat po aneksji Czechosłowacji — Anglia nie podniosłaby palca w obronie napadniętego sprzymierzeńca. Rosjanie są graczami o wiele bardziej ostrożnymi niż Hitler. Nie działają w pośpiechu. Umieją odczekać a w razie potrzeby zdobyć się na krok w tył. *Rewolucyjne hasła, które proklamujemy* — powiedział Breżniew na XXIV Zjeździe KPZS — *nie są pustymi słowami. Nawet jeśli całe dekady mijają między siewem i żniwem.*

Lecz z drugiej strony polityka ekspansji pod osłoną zbrojeń na olbrzymią skalę, wytwarza wewnętrzne ciśnienie, nowe bodźce i wyzwala samoczynne procesy, nad którymi jej inicjatorzy tracą panowanie.

Bonapartyzm rewolucji październikowej, dla którego motywacja ideologiczna staje się coraz bardziej osłoną i pretekstem,

powstrzymać mogą tylko nieoczekiwane przemiany na drodze ewolucji czy gwałtu w samej Rosji. Liczyć na to, że przeobrażenia te nastąpią same przez się, mogą tylko mistycy wierzący w cuda. Wyłączać przemiany z góry mogą tylko ludzie nierozumiejący, że mechanizm zjawisk społecznych nie zna stanu bezruchu i równowagi statycznej. Rzeczą polityków jest znalezienie odpowiedzi na pytanie, czy i w jakiej mierze można wpłynąć z zewnątrz na procesy zachodzące w ZSSR, czy można je pogłębiać, wzmacniać i przyspieszać.

Przywrócenie symetrii w stosunkach między Wschodem a Zachodem zapowiadane przez Cartera i Brzezińskiego należałoby zacząć od odrzucenia fikcji opartych na fałszywych nadziejach i pobożnych życzeniach. Punktem wyjścia musi być naga rzeczywistość a więc uznanie, że Stany Zjednoczone i ich sprzymierzeńcy znajdują się *de facto* w stanie wojny, która została im narzucona i otwarcie wypowiedziana i że agresor w tej wojnie nie jest dziś zbyt daleko od zwycięstwa osiągniętego bez kataklizmu nuklearnego.

Dopiero wyciągnięcie wszystkich konsekwencji z takiego stanu rzeczy przywrócić może utraconą symetrię i zahamować zsuwanie się w przyspieszonym tempie po równi pochyłej w przepaść.

Przesunięcie przez Sowiety punktu ciężkości konfliktu na płaszczyznę „wojny ideologicznej” wymaga równoległych przesunięć w strategii i taktyce Zachodu. Konieczne jest zatem kontruderzenie „ideologiczne” skierowane w najłabsze miejsca przeciwnika. Samą obroną, dobrowolnie ograniczoną do pół i ćwierć środków nikt jeszcze nie wygrał nawet partii szachów.

Napastnik deklaruje otwarcie, że jego ostatecznym celem jest obalenie ustroju demokratycznego w skali światowej i zniszczenie sił stojących na jego straży. Postępy osiągnięte na tej drodze narzucają Zachodowi konieczność dążenia wszystkimi środkami z wyjątkiem konfrontacji zbrojnej do usunięcia z systemu sowieckiego wbudowanego weń mechanizmu wrogości, agresji i ekspansji. Naturalnym sprzymierzeńcem w tej kontrofensywie ideologicznej jest budząca się do życia opozycja w samej Rosji, która po raz pierwszy od czasów rewolucji zdołała przełamać barierę strachu. Potencjalnym sprzymierzeńcem są masy robotników, których stopa życiowa utrzymywana jest na poziomie jednej trzeciej dobrobytu osiągniętego w krajach uprzemysłowionego Zachodu. Sojusznikami są narody ostatniego kolonialnego imperium świata liczące blisko połowę ludności, lecz poddane dominacji elementu wielkoruskiego, przymusowej rusyfikacji i ucisku narodowościowego. Aliantem jest odradzający się w podziemiach ruch religijny i tendencje odśrodkowe w państwach Europy Wschodniej i krajach Bałtyckich.

Nasilenie nastrojów niezadowolenia wśród 250 milionowej ludności sowieckiego olbrzyma ocenia się przeważnie sceptycznie. Faktem jest jednak, że ani politolodzy zachodni ani dysydenci przybywający z Rosji ani nawet organy KGB nie są w stanie zmierzyć temperatury pod powierzchnią życia. Gromadzące się podskórne fermenty wystąpiły na wierzch w sposób najbardziej nieoczekiwany w Polsce i na Węgrzech w roku 1956, w Czechosłowacji w roku 1968 i znów w Polsce 1970 i 1976. Do eksplozji dochodzi niespodzianie pod wpływem wydarzeń lub okoliczności spełniających rolę katalizatora.

Nikt lepiej nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa wewnętrznego niż kierownictwo sowieckie. Świadczy o tym olbrzymi wysiłek poświęcony hermetycznej izolacji ludności od wpływów zewnętrznego świata. Rządząca biurokracja monopol środków informacji i cenzurę traktuje jako warunek utrzymania się samego systemu. W samym tylko roku 1971 zagłuszanie audycji zagranicznych pochłonęło 300 milionów dolarów — sześć razy więcej niż ówczesny globalny koszt audycji zachodnich nadawanych do ZSSR. Akcja prowadzona kanałami dyplomatycznymi, dywersyjnymi, propagandowymi przeciwko radiostacjom zachodnim jest miernikiem obawy przed własnym społeczeństwem. Śmiertelny lęk budzi zwłaszcza zbliżanie się telewizji satelitarnej.

Ankiety przeprowadzone przez partyjne ośrodki badania opinii publicznej w Niemczech wschodnich wykazały, że odbiór telewizji z NRF stał się głównym bodźcem masowej ucieczki ludności zatrzymanej przez wzniesienie muru berlińskiego. Podobne ankiety w 1968-70 w Czechosłowacji ujawniły, że odbiór telewizji z Niemiec zachodnich i z Austrii wywarł poważny wpływ na nastroje robotników. W samej Rosji sowieckie programy telewizyjne trafiając do świetlic w kołchozach uprzytomniły chłopom rozpiętość między warunkami ich bytowania i atrakcyjnością życia w wielkich miastach. Konieczne stało się otwarcie kłapy bezpieczeństwa w postaci zniesienia zakazu posiadania przez chłopów dowodów tożsamości co równało się odebraniu im możliwości podróży do miast. Od tej chwili żadne, najbardziej rygorystyczne przepisy meldunkowe nie są w stanie powstrzymać niebezpiecznej dla sowieckiego rolnictwa ucieczki siły roboczej z kołchozów do miast.

W przewidywaniu nadejścia telewizji satelitarnej ZSSR już w roku 1972 zażądał uchwały ONZ uznającej nadawanie programów telewizyjnych do obcego kraju bez zgody i kontroli jego rządu za nielegalne. Od tej chwili trwają gorączkowe zabiegi mające uniemożliwić nadawanie programów telewizyjnych przy pomocy satelitów w drodze uchwał międzynarodowych.

Tego rodzaju reakcje rządów komunistycznych są najlepszym

drogowskazem dla ideologicznej kontrofensywy Zachodu. Kiedy na Zjeździe Uczonych Polskich w Montrealu pod adresem grupy dyskutantów na podium padło pytanie: co robić? — prof. Leszek Kołakowski odkrzyknął: posyłać książki do Polski! Sala odpowiedziała mu salwą śmiechu.

Lecz profesor nie żartował. Na początku było słowo. Mówione albo drukowane. Nie karabin i nie bomba wodorowa, lecz słowo. Słowem podbijali całe narody twórcy ruchów religijnych, myśliciele, filozofowie, pisarze, ojcowie nowych idei, które porwały wyznawców, wyzwalały potężne zasoby energii ludzkiej, budziły gotowość do bezgranicznych poświęceń i do czynów, uzbrajały jednych a obezwładniały drugich.

Lenin traktujący propagandę jako drogę do władzy nie miał przed rewolucją innego instrumentu niż emigracyjne pismo „Iskra”. Przechodząc do przykładu bliższemu czytelnikowi polskiemu *Kultura* i jej wydawnictwa wywarły w ciągu jednej trzeciej stulecia większy wpływ na elitę w Polsce aniżeli wszystkie krajowe miesięczniki razem wzięte.

Postęp techniczny w dziedzinie środków masowego przekazu uskrzydlił słowo, jako nosiciela myśli, idei i informacji. Nie lekceważmy więc radia, telewizji i słowa drukowanego jako instrumentów ideologicznego kontrataku.

System sowiecki najeżony jest wewnętrznymi sprzecznościami. Istnieje olbrzymia dysproporcja między potęgą militarną, być może największą na świecie, a wewnątrz słabością państwa. Punktem najsłabszym jest chyba brak mechanizmu sukcesji, kryjący w sobie możliwości przewlekłej walki o władzę w samym jej centrum. Widzieliśmy na przykładzie Polski, Węgier, Czechosłowacji a obecnie Chin, jak łatwo walka ta tocząca się z początku w wąskim kręgu może się rozszerzać, gdy rywale usiłują wciągać jako sojuszników coraz liczniejsze zastępy inteligencji, młodzieży i wreszcie robotników.

Czas na zreasumowanie wniosków i postulatów.

1) Metody walki kontynuowanej przez Moskwę w okresie odprężenia wymagają poza zbrojeniami wypracowania strategicznego planu zapewniającego skuteczną obronę i zwycięstwo w „konfrontacji ideologicznej”. Plan taki musi wyraźnie określać wybór głównego kierunku, na którym należy skoncentrować największą uwagę i siłę.

2) Kontrofensywa ideologiczna nie może mieć swego punktu ciężkości na peryferiach sowieckiej orbity. Główne uderzenie musi być skierowane w sam Związek Sowiecki. Ruchy wolnościowe ograniczone do krajów satelickich nie mają szans zwycięstwa dopóki ośrodek władzy na Kremlu pozostaje poza ich zasięgiem.

3) Najważniejszym orężem Zachodu w wojnie ideologicznej z oligarchią na Kremlu są środki masowego przekazu: radio, telewizja, wolna prasa i wydawnictwa. Winny one znaleźć w hierarchii strategicznej Stanów Zjednoczonych miejsce odpowiadające ich znaczeniu. Radiostacje muszą więc uzyskać niezbędne fundusze dla pełnego wykorzystania istniejących możliwości technicznych w celu skutecznego przełamania zagłuszeń i docierania bez przeszkód do wielkich ośrodków miejskich i przemysłowych na całym terenie sowieckiego imperium.

Równoległe konieczna jest koncentracja środków na prace badawcze, które przyspieszą wprowadzenie na szeroką skalę telewizji satelitarnej. Słowo w połączeniu z obrazem pozwoli ogłowi ludności przekonać się naocznie o rozpiętości między warunkami życia na wolności i w systemie totalnym.

4) Na wzór sowiecki instrumenty i organy walki ideologicznej muszą być ściśle oddzielone od tych organów władzy państwowej, które powołane są do utrzymywania stosunków między państwowymi. Środki masowego przekazu oddziałujące na ludność w ZSSR i w Europie Wschodniej muszą być wyzwolone od obecnych ograniczeń, biurokratycznych kontroli, interwencji i nacisków służby dyplomatycznej. Telewizja, radio czy pisma, same podlegające cenzurze nie mogą spełniać w sposób przekonywujący roli surogatu wolnej prasy.

Pluralizm będący istotą wolności wymaga utrzymania odrębnego istnienia takich radiostacji jak RWE/RL, BBC, Głos Ameryki itd. Każda z nich spełnia inne zadanie, posiada odmienny charakter i przedstawia inny punkt widzenia.

5) Ludność żyjąca pod rządami komunistycznej biurokracji traktowana być musi jako potencjalny sprzymierzeniec a nie obiekt amerykańskiej propagandy. Aktywnym sprzymierzeńcem jest dziś ruch dysydencki i opozycja wewnątrz bloku sowieckiego oraz jej działacze, którzy w ostatnich latach jako przymusowi wygnańcy znaleźli się na Zachodzie. Radio Wolna Europa i Radio Swoboda stanowią formę pomocy dla opozycji wewnętrznej wszelkich odcieni służąc jej nie tylko jako łącznik i przekazywacz informacji i opinii, lecz także jako pas transmisyjny między dysydentami w kraju i na Zachodzie a szerokimi masami ludności.

Siła przedstawicieli opozycji wewnętrznej przebywających na Zachodzie nie wyraża się w ich liczbie i nie jest nawet sumą wybitnych talentów, lecz opiera się na ich autorytecie moralnym i motywacji ideowej. Ludzie ci okazali bez wyjątku, że idee wolności i poszanowania praw ludzkich stawiają wyżej niż własne życie i dobrobyt. Są to jednostki, które w służbie swej idei zademonstrowali bezgraniczną odwagę w obliczu grożącej im śmierci, tortur, więzienia i nędzy. Ich obecność na Zachodzie

otwiera nowe możliwości w starciu ideologicznym z Moskwą. Aby zapewnić im pełne możliwości utrzymania związków z własnym społeczeństwem i oddziaływania na swój kraj takie instrumenty jak RWE i RL powrócić muszą do koncepcji, jaka przyświecała im na początku. Muszą więc stać się z powrotem formą sojuszu między Stanami Zjednoczonymi i przedstawicielami społeczeństw, do których przemawiają. Rzecznicy opozycji — „dysydenci” muszą być traktowani jak równorzędni sprzymierzeńcy a obie radiostacje winny być finansowane z funduszy przeznaczonych na pomoc zagranicą (*foreign aid*). Tylko na tej drodze Stany Zjednoczone zademonstrować mogą w sposób bezpośredni lecz równocześnie najbardziej przekonujący poszanowanie zasady samostanowienia i niezależności: wolni z wolnymi — równi z równymi.

6) Właściwe wykorzystanie środków masowego przekazu w walce ideologicznej wymaga jasnego zdania sobie sprawy zarówno z ich ogromnych możliwości (niedocenianych powszechnie tam, gdzie radio i telewizja stanowią wyłącznie źródło rozrywki), lecz także ich ograniczeń.

Obraz, słowo żywe i drukowane mogą unicestwić cenzurę i monopol informacji (wiadomość ukryta przez władze każdy może uzyskać przekraczając gałkę aparatu). Rzutując obraz wolności o wielkiej sile atrakcyjnej na ekrany umysłów ludzkich od Łaby aż po Kamczatkę, dając ludziom skalę porównawczą i możliwości wyboru w kształtowaniu własnego poglądu na panujący ustrój — mogą mobilizować rosnące naciski rządzących na rządzonych. Mogą więc stać się potężną dźwignią przemian. Zagraniczne środki masowego przekazu nie mogą natomiast aspirować do roli ośrodków zdalnie kierujących i organizujących działalność odbiorców. Doświadczenie samej Polski uczy, że naciski te przebiegać mogą bardzo różne formy: pasywnego oporu robotników ograniczających do minimum swój wysiłek produkcyjny (rodzaj masowego i powszechnego choć nie zorganizowanego strajku), legalnych i jawnych manifestacji w rodzaju tych, jakie oglądamy dziś w Polsce, ZSSR czy w Czechosłowacji a kończąc na konfrontacjach rewolucyjnych, lokalnych lub powszechnych.

Form nacisku i oporu nie da się narzucać instrukcjami z zewnątrz lub kierować nimi na odległość nie mając możliwości sprawdzania i kontrolowania skutków na miejscu. O wyborze form działania decydować mogą sami odbiorcy zależnie od okoliczności i sytuacji. Jak pisał pionier radiofonii politycznej w czasie ostatniej wojny L. Friser: „*Propaganda może tylko obudzić i uaktywnić emocje, które już istnieją, choć znajdują się w stanie uśpienia, może nadać im wigor i wprowadzić je w pełni do gry*”.

Nasuwa się pytanie czy nawet tak skromnie nakreślony pro-

gram akcji ofensywnej ma dziś jakiejkolwiek szanse realizacji? Cały dotychczasowy przebieg „trzeciej wojny światowej” wykazał, że największą słabością Zachodu nie jest brak środków obronnych i sił materialnych lecz woli. Brak chęci ponoszenia ryzyka i ofiar, nawet najskromniejszych, paraliżował w ciągu ubiegłych lat trzydziestu jakiejkolwiek możliwości kontrataku nawet wówczas, gdy istniała nieomal pewność sukcesu.

Dawno temu, bo w roku 1959 pewien amerykański uczony politolog pisał:

„Sowieckie kierownictwo zdolne jest do szantażowania Zachodu zarówno swą siłą, jak i słabością. Wzdrygamy się przed sowiecką potęgą, ale boimy się także wykorzystywać sowieckie słabości. Ta różnica w chęci podejmowania ryzyka stanowi podstawową przewagę sowiecką w okresie powojennym, która pozwala jej pokonać bankructwo swego ustroju społecznego i brak stałości w strukturze kierownictwa”.

Uczonym, który postawił tę trafną diagnozę osiemnaście lat temu był prof. Henry Kissinger („*Nuclear Weapons and Foreign Policy*”. New York, 1959, str. 387).

I dziś także stoimy przed pytaniem, od którego zależy przyszłość, być może niedaleka, nas wszystkich. Czy w obecnym momencie, kiedy zegar wskazuje pięć minut przed dwunastą, Ameryka i cały świat zachodni znajdują w sobie dość woli, by zdać sobie sprawę, że przeżywają nie okres odprężenia, lecz trzeciej wojny, i czy zdobędą się wreszcie na kontratak prowadzony, jak to czyni nieprzyjaciel wszelkimi środkami z wyjątkiem konfrontacji zbrojnej.

Wyliczone powyżej postulaty dotyczące jednego tylko, lecz — kto wie — może najważniejszego odcinka frontu — są z pewnością programem nie na dziś, lecz na jutro. Dziś kierownicze kręgi Stanów Zjednoczonych i opinia kraju wciąż znajdują się w niewoli narzuconej semantyki sowieckiej. Przeciwnikowi wolno głosić otwarcie, że „wojnę ideologiczną” będzie wzmagać i prowadzić dalej aż do zwycięskiego końca, podczas gdy ideologiczna obrona podjęta przez Zachód byłaby w oczach opinii zachodniej nawrotem do „zimnej wojny”.

Blisko ćwierć wieku współpracy z Amerykanami nauczyło mnie jednak, jak zmienny bywał ten partner, jak łatwo pod wpływem wypadków przerzucał się w ciągu jednej doby z jednej skrajności w drugą, jak zdumiewająco szybko i sprawnie umiał mobilizować swe olbrzymie siły i środki, gdy zaszła potrzeba zastosowania tzw. *crash program* — błyskawicznie improwowanej akcji.

Nic nie pobudza Amerykanów bardziej skutecznie niż upokarzająca przegrana. Nie trudno przewidzieć, że Zachód czeka

w niedalekiej przyszłości niejedna porażka — być może klęska. Za wcześniej jednak byłoby wyrzekać się nadziei, że przebudzą one olbrzyma pogrążonego dziś w odprężeniu i fałszywym poczuciu bezpieczeństwa.

Proces upadku wtedy dopiero osiąga punkt bezzwrotny, gdy zagrożone państwo wyrzeka się planów samoobrony w obawie, by nie ściągnąć przez to napaści. W takim położeniu znalazła się Polska wobec Rosji w XVIII wieku. Lecz amerykańska reakcja na Angolę, choć wciąż jeszcze omijająca istotę konfliktu wskazuje, że punkt zwrotny może być bliski.

Jeśli nadzieje na to okażą się płonne — demokracje zachodnie nie zginą na skutek nieubłaganego działania praw historii odkrytych przez Marksa i Lenina. Przyczyną upadku nie będzie nędza proletariatu, lecz wręcz przeciwnie rozkładający wpływ dobrobytu i hedonizm, jaki przyniósł rozkwit postępu technicznego w warunkach systemu liberalnego. „Jeśli społeczeństwo stawia dobrobyt i pieniądz ponad wolność” — ostrzegał niedawno Joseph Luns — sekretarz generalny NATO — „utraci nie tylko wolność, ale razem z nią dobrobyt i pieniądz”.

Proroctwem stałyby się wówczas słowa wypowiedziane przez Dymitra Manuilskiego blisko pół wieku temu:

„Nasza godzina wybije za dwadzieścia, trzydzieści lat. Aby odnieść zwycięstwo potrzebny nam będzie element zaskoczenia. Trzeba będzie uspić burżuazję. Rozpocznemy więc od rozwinięcia najbardziej spektakularnego ruchu pokojowego w historii. Nastąpią elektryfikujące uwertury i niesłychane ustępstwa. Kraje kapitalistyczne — głupie i dekadentkie — z radością współdziałać będą z nami w dziele własnego zniszczenia. Uchwycą się szanse zawarcia z nami przyjaźni. A gdy tylko czujność ich opuści — zmiażdżymy je naszymi zaciśniętymi pięściami”. (D. Manuilski: Przemówienie w Szkole Wojny Politycznej im. Lenina w Moskwie, 1930 r.).

Jan NOWAK

Widziane z Brukseli

Z Koluszek do Helsinek, przez czy bez Monachium...

Do okienka paszportowego komendy MO w Koluszkach podchodzi pewna starsza pani:

„Dzień dobry, przychodzę w sprawie odpowiedzi na mój wniosek o paszport na wyjazd do syna do Francji...”.

„Niestety, proszę obywatelki, odpowiedź jest odmowna...”.

„Dlaczego?”.

„Interes państwa wchodzi w grę...”.

„Jak to interes państwa? A to, co to jest?”. — Petentka wyjmuje z torebki zmięte stronicę z tekstem układu z Helsinek. —

„Tu piszą o swobodzie ruchu...”.

„Obywatelka się raczy mylić”, — odpowiada urzędnik MO — „tu są Koluszki, a nie Helsinki”.

Dialog taki jak wyżej można było usłyszeć w każdym innym mieście Europy Wschodniej, gdzie „nie są Helsinki”. Dowcip ten sprzedany za pół-darmo przed kilku tygodniami w Brukseli zrobił oszałamiającą wprost karierę i obiegił wszystkie co lepsze gazety na świecie. Tekst pozostawał bez zmiany, zmieniała się tylko nazwa miejscowości, które „nie były Helsinkami”, na miejsce Koluszek wskakiwały Bratysława albo Koszyce, Braszow, Sofia czy Drezno, nie mówiąc już o szalonym wachlarzu możliwości geograficznych terytorium sowieckiego, gdzie nigdy słońce nie zachodzi i gdzie nigdzie nie ma Helsinek.

Takie „zapożyczanie” to, powiedziec można, normalna dziennikarska procedura, każdy różnie od każdego, gdyby chcieć dojść do prażródła dowcipu trzeba by sięgnąć chyba do rajskiego węża, który zrobił pierwszy kawał w historii ludzkości. Pan Egon Bahr jest jednak zachodnio-niemiecką szarą eminencją, nie jest ani wężem ani rajskim, a to co mówi rzadko wywołuje uśmiech. Tak też było w czasie jego niedawnego spotkania z Andriejem Amalrikiem, który po pocałowaniu klamki w Pałacu Elizejskim w Paryżu i nawiązaniu znajomości z policją francuską, udał się do Bonn. Tam obyło się bez interwencji policji, p. Bahr sam mianowicie załatwił sprawę. Przyjął Amalrika i doradził mu, aby się uspokoił. „Panie Amalrik, bądźmy poważni — powiedział Bahr, który się zna na dyplomacji, bo jest wszakże prawdziwym organizatorem Ost-polityki — pańska działalność ociera się o zimną wojnę, pańskie propozycje wywierania presji na Kreml są nie do przyjęcia, nasi przemysłowcy chcą przede wszystkim handlować, no i niech pan przestanie występować przeciw *détente*, bo gdyby nie ona, to siedziałby pan teraz w gułagu zamiast podróżować po wolnym i prosperującym Zachodzie w towarzystwie przystojnej żony i kota”.

To oświadczenie Bahra zrobiło, niestety, mniejszą karierę niż dowcip z Koluszek. A szkoda, bo choć nie jest śmieszne to jest ważne. Dowcip oddaje jedynie smutną codzienność obywateli krajów demokracji ludowej. Filozofia Bahra stanowi zaś skrót postawy elity Zachodniej Europy wobec *détente* czyli odręczenia i wszystkiego co się za tym nieostrym zresztą pojęciem kryje. Jest to epizod tym bardziej zaskakujący, że p. Bahr lepiej niż ktokolwiek inny w Europie powinien pamiętać, że milczenie jako sposób obrony pokoju niezawsze jest skuteczne, nawet jeżeli przemysłowcy chcą przede wszystkim handlować; że pouczanie przez Niemca opozycjonistów z Rosji o cnocie trzymania gęby na kłódkę jest wyjątkowym nietaktem, że szkoła francusko-nie-

miecka roku 1977 o niemięczeniu ciszy *détente* przez mówienie o jej ofiarach, przypomina postawę lat 1933-1939, kiedy to Zachód nie upominał się o prawa człowieka w Trzeciej Rzeszy „aby nie mieć odprężenia” i pojechał w tym celu nawet do Monachium, czego skutki my wszyscy, a także i Niemcy, do dziś odczuwamy. Gorzka świadomość, że chodziło li-tylko o — jak je określił w 1938 roku Leon Blum — „poczucie tchórzliwej ulgi”, nie trwała jednak długo, bo już w niecałe 40 lat później Rosjanie, Niemcy i Francuzi znowu nas namawiają, żeby *détente* nie mieć. Wszyscy więc zgodnie krzyczą na Amalrika. Nawet prasa sowiecka, która przez całe miesiące nie potrafiła poinformować czytelników o liczbie ofiar pożaru hotelu „Rossija”, natychmiast zawiadomiła ich o przygodach „niejakiego Amalrika, który został ujęty przez policję francuską pod zarzutem poważnego pogwałcenia porządku publicznego”. W ten sposób Amalrik dowiedział się co o nim myślą władze w trzech najpoważniejszych stolicach Europy.

Polska lokomotywa

Pan Van der Stoel, holenderski minister spraw zagranicznych, też już wie. Według trzech wspomnianych super-stolic Holender popełnił ciężki nietakt, zagroził *détente*, mimo że i jego przemysłowcy chcą handlować. To już nie byle Amalrik, przestępca pospolitą, zakłócający porządek publiczny. To najprawdziwszy minister spraw zagranicznych królestwa Holandii, który w czasie oficjalnej wizyty w Pradze wygarnia swemu czechosłowackiemu koledze, co myśli o traktowaniu sygnatariuszy „Karty 77”.

Otóż myśli on dokładnie wprost przeciwnie do prezydenta Giscard d'Estaing i do ministra Egona Bahra. Zdaniem Holendra *détente* nie jest zagrożona przez podpisywanie „Karty 77”, a przez prześladowanie jej sygnatariuszy i „mord dokonany” na prof. Patocka. Odprężenie jest w niebezpieczeństwie nie wtedy gdy Amalrik stara się rozszerzyć żrenice Zachodu na rzeczywistość wschodnią, a kiedy Zachód odmawia otwarcia oczu. Albowiem kneblując Amalrika, Paryż czy Bonn nie skłoniły Wschodu ani do zmiany postępowania wobec dziennikarzy zachodnich (pobitych z powodu ich niezdrowej ciekawości pod palącą się „Rossiją” lub w czasie manifestacji byłych Niemców nadwożańskich na Placu Czerwonym; rozbieranych do naga na granicach PRL czy Czechosłowacji czy wprost ekspulsowanych, jak np. z Moskwy czy NRD), ani do zaniechania zażęszania, ani do zwiększenia debitu pisma codziennego *Le Monde* (25 egzemplarzy w ZSSR). Ba, wprost przeciwnie, skneblowany w Paryżu Amalrik dodał odwagi Kremlowi. Kilka dni potem Moskwa ostro napiętnowała wyrażenie przez władze francuskie zgody na otwarcie w Paryżu jakiegось biura Radia Liberty. Ktoś przebiegły zapytał w Paryżu, jak postąpiłby rząd francuski, gdyby Breżniew przyjął jakiegось francuskiego Amalrika. Głupie pytanie: a gdzie jest

francuski Amalrik? Czy ktoś w Paryżu skazany został na gułag i azyl za zapytanie czy Francja przeżyje do 1984 roku? Czy tak odległe terminy w ogóle we Francji kogoś interesują?

Nie uniknęły zamętu potężne organizacje związkowe mające swe siedziby w Brukseli. One także boją się przede wszystkim o *détente*. Pewnego bardzo ważnego przywódcę związkowego — takiego na skalę światową — zapytałem jak należy utłumaczyć różnicę między odważnym i krytycznym stanowiskiem jego organizacji wobec prześladowania autorów „Karty 77”, wśród których byli wyłącznie intelektualiści a milczeniem tej samej organizacji wobec prześladowania uczestników wydarzeń czerwcowych w Polsce wśród których przytłaczającą większość stanowili przecież robotnicy, domagający się ponadto właśnie prawidłowej reprezentacji związkowej. Otóż szef tej potężnej organizacji związkowej wyjaśnił mi, że dzieje się tak, albowiem czechosłowacka „Karta 77” stanowi akt czysty, nieskalany żadnym gwałtem, natomiast w Polsce robotnicy przewrócili lokomotywę. Rewolucja — wydawał się myśleć ów szef za Karolem Marksem — jest lokomotywą dziejów, przewracać jej nie wolno, nam takich czynów bronić nie należy.

Dwie szkoły

W ten sposób dochodzimy do absurdu na skalę Orwella. Milczeć czy gadać? Zachód nie jest w stanie porozumieć się nie tylko w sprawie połowów dorsza czy ceny mleka w proszku — co może, ale nie musi, wywrzeć pewien wpływ na stopę życiową jego mieszkańców — ale nie może porozumieć się gdzie, jak i kiedy należy bronić swych wartości w konfrontacji ze Wschodem, od czego zależeć będzie — nie może a na pewno — nie jego stopa życiowa, ale wprost życie.

Przez wiele lat patronem „szkoły milczenia” był prof. Kissinger. Pod adresem „szkoły mówienia” wysuwa ona dwa argumenty. Według teoretyków siedzenia cicho, włączenie problematyki praw człowieka do polityki międzynarodowej oznacza, po pierwsze, mieszanie się do wewnętrznych spraw państw obcych, suwerennych i wrażliwych — a jest to taktycznie niewskazane a prawnie niedopuszczalne — oraz, po drugie, stanowi groźbę dla *détente* czyli odprężenia, co jest strategicznie groźne, bo może doprowadzić do wysadzenia naszej planety w powietrze. A przecież, dodają trafnie milczeniowcy, innej planety nie mamy. Nawet prez. Carter powiedział w swojej inauguracyjnej „audycji przez telefon” (której prawzór powstał, nawiasem mówiąc, w *Zyciu Warszawy*, kiedy ta gazeta codzienna uprawiała wyłącznie swój zawód), nawet więc Carter powiedział, że nie mógłby uczestniczyć w wyprawie w kosmos, aby tam przeczeć awanturę, a co dopiero zwykli śmiertelnicy.

Obie tezy w obronie „milczenia jako polityki” warte są naszej uwagi i podjęcia próby odpowiedzi. Aby nie wystawiać na

próbę cierpliwości moich czytelników powiadam od razu, że głosuję „dwa razy nie”. A oto dlaczego

Mieszać się nie wolno!

W wewnętrzne sprawy obcych państw mieszać się nie należy. To jasne. Ja także nie lubię kiedy ktoś miesza się w moje wewnętrzne sprawy. Tylko co to znaczy mieszać się? Kiedy się ktoś miesza? Co to są moje wewnętrzne sprawy? Kiedy babcia Mania nakazuje Monice aby mniej paliła, to czy się miesza? A wujek Adaś kiedy krzyczy na Marka, że nie wolno na trzecim ręku wychodzić spod króla, to się miesza czy nie? Sprawa nie prosta, „kompleksowa” jak mawiają fachowcy, kiedy nie wiedzą co odpowiedzieć. A więc do rzeczy.

Czy sowiecki najazd na Węgry w 1956 roku był czy nie był mieszaniem się w wewnętrzne sprawy? A najazd na Czechosłowację w roku 1968? A ruchy wojsk sowieckich w Polsce w 1956 roku i w latach następnych? Głupie pytania! Państwo zapewne myślą, że odpowiedź brzmi: oczywiście, są to jak najbardziej klasyczne przykłady mieszania się. Wcale nie. Nie było to mieszanie się, albowiem były to uzgodnione wystąpienia w obronie świętej sprawy socjalizmu, której to obrony zobowiązane są udzielać sobie wzajemnie wszystkie państwa socjalistyczne w ramach braterskiej współpracy braterskich partii i państw.

A przerzucanie z Moskwy na państwa Wschodniej Europy gangreny „nacjonalistycznego odchylenia”, antysemitkiej trucizny, antyzraelskiego obłąkania, antyzachodnio-niemieckiej historii, czy to było mieszanie się w wewnętrzne sprawy? Znowu naiwne pytania. Jasne, że nie było mieszania się. Wszystkie te epizody mieściły się bowiem w teorii i praktyce prawdziwego proletariackiego internacjonalizmu, nie mogły gwałcić zasad suwerenności albowiem rodziły się w sferze nie polityki a ideologii, która nie stanowi przedmiotu lub podmiotu ani układów w Jaćcie, ani w Helsinkach, ani nigdzie indziej.

A teraz uwaga, z tego co wyżej wynikają bowiem pewne lekcje poglądowe, które powinniśmy prawidłowo rozumieć inaczej bowiem utkwimy na zawsze w stałym i głębokim błędzie.

Tak więc, kiedy ZSSR wymusza na Komisji praw człowieka ONZ w Genewie (gdzie, *by the way*, miejsce Francuza p. Cassin, laureata pokojowej nagrody Nobla, zajął delegat marszałka Amin Dada), wysłanie depezy do rządu izraelskiego z żądaniem wyjaśnień na temat gwałcenia praw człowieka w Cisjordanii, to jest to właściwie pojęty akt troski o ludzkość, mieszający się w kompetencjach komisji i jej członków.

Kiedy jednak delegat amerykański proponuje wysłanie takiej samej depezy do rządu ZSSR z pytaniem o los obrońców praw człowieka w Moskwie, to akt ten jest z pogardą napiętnowany przez tak bezspornych obrońców praw ludzkich jak delegacje

Bułgarii, Białorusi, Algierii i Ugandy oraz jako cios w przyszłość świata.

Kiedy na tej samej komisji trzeba potępić tortury w Chile, to uchwała zapada jednomyślnie i bez dyskusji. Kiedy komisja została natomiast wezwana do zainteresowania się pewnymi niejasnymi okolicznościami w jakich giną w Ugandzie biskupi, ministrowie oraz kilka całych szczepów, to głosami ZSSR i satelitów, dyskusja zostaje najpierw wepchnięta w niebyt „drzwi zamkniętych” a potem odłożona *sine die*...

Kiedy sowiecki minister kultury zabrania polskiemu ministrowi kultury zaproszenia pewnego syjonisty polskiego pochodzenia nazwiskiem Rubinsztejn, a polski minister żądaniu temu się podporządkowuje, to jest to właściwie pojęta troska o czystość kultury. Kiedy sowiecki ambasador we Włoszech p. Ryżow występuje przeciw projektowi poświęcenia festiwalu w Wenecji dysydentem na wschodzie (w latach poprzednich poświęcony był opozycjonistom w Chile czy Iranu); kiedy grozi bojkotem festiwalu przez cały blok komunistyczny, zmusza do kapitulacji włoskie MSZ („Włochy to nie USA”, powiedział minister Forlani. Ani Holandia, jak się okazuje!), doprowadza do dymisji dyrektora festiwalu, socjalistę Carlo Ripa de Meana, to to wszystko nie ma nic wspólnego z mieszaniem się, albowiem to się nazywa „wojną ideologiczną”. A jak nas nauczył Leonid Breżniew wojna ideologiczna nie tylko nie jest sprzeczna z *détente*, ale nawet wprost przeciwnie, jest jednym z jej zasadniczych składników.

Kiedy natomiast cały świat artystyczny żąda np. wypuszczenia tancerza Panowa, który przez kilka lat, prześladowany, izolowany, bez możliwości ćwiczenia, czekał na „swobodę ruchu ludzi i idei”; kiedy publiczność największej sali w Paryżu podpisuje prośbę o umożliwienie matce Nurejewa krótkiego choćby spotkania z synem; kiedy naukowcy zachodni odmawiają (co się nie często, *hélas*, zdarza) udziału w kongresie międzynarodowym w Moskwie jeżeli do obrad nie zostaną dopuszczeni „wewnętrzni banici” jak np. prof. Lewicz, członek Akademii Nauk skazany na nicieść z powodu zamiaru wyjazdu do Izraela; kiedy tysiące lekarzy z całej Europy domaga się uwolnienia dr. Sterna, skazanego w Winnicy na 8 lat łagru, formalnie za rzekome wzięcie w ciągu 30 lat praktyki łapówek o łącznej wartości 70 rubli, pięciu kur i 8 mendli jajek, a faktycznie za to, że nie sprzeciwił się emigracji swych dwóch dorosłych synów; kiedy psychiatrzy angielscy nareszcie przejrżeli i po wysłuchaniu takich niebezpiecznie chorych wariatów jak Pluszcz, Feinberg i Bukowski poprosili o szczegóły niektórych, ciągle dla nich niejasnych, zabiegów ich sowieckich kolegów, to wszystko to stanowi haniebnym zamach na suwerenność ZSSR, mieszanie się, to jasne, w jego sprawy wewnętrzne, no i co gorsze, uprawianie zimnej wojny.

Kiedy Breżniew z największą pompą przyjmuje i dekoruje na Kremlu tow. Corvalana, sekretarza generalnego kompartii Chile (wymienionego za Bukowskiego, o czym obywatel ZSSR ciągle jeszcze nie wie), kiedy pięści Angelę Davies, czarną Passionarię

oraz Gus Hall'a, szefa amerykańskich komunistów, lub też innych oficjalnie zadeklarowanych przeciwników władzy w ich własnych krajach, z którymi to krajami ZSSR utrzymuje normalne stosunki dyplomatyczne, kiedy Breżniew podpisuje na Kremlu z tow. Marchais, szefem komunistów francuskich, komunikat zawierający pełny program wspólnej walki przeciw sojuszm zagranicznym suwerennej i zaprzyjaźnionej Francji, kiedy Kreml utrzymuje — finansowo i politycznie — różnej maści opozycjonistów na wszystkich kontynentach, kiedy sprytnie wykorzystuje możliwości działania w demokratycznej i mało pilnowanej Belgii dla przesyłania za pośrednictwem pewnego pseudopresiębiorstwa w Antwerpii milionów dolarów dla portugalskich komunistów, szykujących się wówczas do puczu w Lizbonie, to to wszystko stanowi najzupełniej normalne wypełnianie szczytnej misji pierwszego państwa socjalizmu i służy pokojowi na świecie.

Kiedy natomiast prezydent Carter nieśmiało przyjmuje przez 10 minut — bez dziennikarzy i telewizji — Władimira Bukowskiego, to jest to agresja przeciw ZSSR i cios w *détente*.

Kiedy KGB aresztuje wszystkich, którzy mają odwagę podjęcia próby przeniesienia w granice obozu socjalistycznego jakichkolwiek druków, od komunistycznej *Unità* aż po paryską *Kulturę* czy żydowską biblię (50 turystów zachodnich zostało za to „usuniętych” z ZSSR w roku 1976), to jest to jeszcze jedno zwycięstwo w walce z dywersją, w obronie socjalizmu przed jadem imperializmu.

Kiedy zaś zachodnie wydawnictwa publikują Sołżenicyna czy Pasternaka, Havela czy Gome lub polskich pisarzy i poetów wygnanych z księgarni ich własnych krajów, to stanowi to agresję ideologiczną.

Kiedy, w tajemnicy przed ich własną opinią publiczną, ZSSR, Polska czy NRD kupują na Zachodzie miliony ton zboża czy masła, to stanowi to normalny akt współpracy międzynarodowej.

Kiedy jednak Wolna Europa mówi o tym do Polaków — stanowi to napaść na suwerenność i musi być zwalczane przez zagłuszenie, kosztowne, poniżające i na dodatek albo na szczęście, mało skuteczne.

Kiedy nowojorski adwokat Williams został wynajęty przez rząd sowiecki aby wymienić KGB-owskiego szpiega, który uprawiał swój drugi etat w USA, zajmując pierwszy bardzo wygodny w sekretariacie ONZ w Nowym Jorku, był to banalny akt procedury prawnej.

Kiedy jednak ten sam adwokat Williams wynajęty zostaje przez Sołżenicyna aby bronić w Moskwie Aleksandra Ginzburga — gnijącego już po raz trzeci w kazamatach Łubianki — jest to tak ewidentna i nieprzyzwoita interwencja w sowiecki wymiar sprawiedliwości, że sam Williams nie dziwi się, iż go Moskwa w ogóle nie wpuszcza do ZSSR.

Kiedy — żeby już zakończyć ten bardzo niekompletny inwentarz — Komisja wykonawcza EWG w zadziwiająco głupi i nie-

konsekwentny sposób anuluje, zawartą już i prawie wykonaną umowę o sprzedaży na wschód ogromnej góry nadwyżek masła, do której europejski podatnik i tak dopłacić musi setki milionów dolarów, to Kreml — i słusznie tym razem — uważa to za dyskryminację. P. Jenkins, nowy przewodniczący komisji EWG popełnił w ciągu kilku dni więcej gaff niż jego poprzednicy w ciągu czterech lat kadencji, dzięki czemu Kreml będzie mógł w Belgradzie ostro napiętnować pogwałcenie przez Zachód całego drugiego koszyka z Helsinek, jako aktu nieprzyjaznego wobec ZSSR i sprzecznego z zasadami *détente*.

Nie będzie natomiast miał racji Zachód, jeżeli się w ogóle odważy — co, jak wynika z moich informacji, wcale na razie nie leży w jego zamiarach — wystąpić w Belgradzie z nieśmiałym choćby bilansem gwałtów popełnionych przez cały wschód Europy na koszyku nr 3 z Helsinek. Albowiem, jak już wiemy, mówienie o prawach człowieka na wschód od Łaby, to jest mieszanie się, a nam mieszać się nie kazano. „Ciszej nad tą trumną” wołają w Moskwie i Paryżu, w Warszawie i w Bonn... Raz przynajmniej najzupełniej spreczne racje stanu dyktują tę samą politykę.

Świadom tej filozofii, szef amerykańskiej partii tow. Hall sprytnie wykombinował i zmienacka zaproponował prezydentowi Carterowi, aby tak jak przyjął Bukowskiego, aby poznać sytuację opozycji sowieckiej, przyjął również Corvalana, aby poznać sytuację opozycji w Chile. Choć nie przypuszczam, aby prezydent Carter nie orientował się w sytuacji opozycji w Chile, to gdybym ja był prezydentem Carterem, to bym propozycję przyjął. Pod jednym warunkiem: że tego samego dnia Breżniew przyjmie Bukowskiego. I już.

Polski profesor po niemieckim profesorsze

Tyle, w skrócie, na temat pierwszej tezy proroków milczenia. A teraz teza druga: milczmy, albowiem publiczne wymachiwanie prawami człowieka w polityce międzynarodowej zagraża *détente* czyli, odprężeniu. Bardzo szeroki i potężny front ciągnący się od zachodnich panów Giscard d'Estaing, Marchais i Bahra, aż do wschodnich towarzyszy Breżniewa, Ceausescu i Tito, poprzez mniej lub bardziej niezaangażowanych panią Ghandi oraz wojskowych czy petrodolarowych Aminów, Bumedięńców i szachów perskich, wszyscy oni ostrzegają nas: siedźcie cicho na temat praw ludzkich w naszych krajach, albowiem nie jest to zajęcie skuteczne. Hałas wokół dysydentów jako instrument polityki światowej prowadzi do destabilizacji, zimnej wojny, do zmiany w stosunkach międzynarodowych.

Otóż jest prawdą, że polityka międzynarodowa uległa zmianie. Nie tylko dlatego, że Carter otworzył przed Bukowskim te drzwi, które Ford zatrzaskał przed Sołżenicynem. I nie tylko dlatego, że moralizatorstwo Cartera zastąpiło w dyplomacji real-politykę Kissingera. A dlatego, że zmieniła się zasada, punkt wyjścia do oceny sytuacji i podejmowanych na tej podstawie decyzji.

Kissinger wraz ze swoim zastępcą Sonnenfeldtem wychodzili z diagnozy monolitycznego układu stosunków w Europie sowieckiej. Ponieważ nic i tak nie jest w stanie zmienić zależności, inaczej mówiąc, satelitarne charakteru stosunków między ZSSR a państwami demokracji ludowej — mówili szefowie „frakcji pruskiej” Białego Domu — należy przeto te kraje związać bardziej „organicznymi” a mniej wasalowymi, przymusowymi i wybuchowymi więzami z ZSSR. Miało to przynieść większą stabilizację na Wschodzie, zredukować groźbę eksplozji, a więc i interwencji sowieckiej, a wraz ze skrepowaniem ZSSR siecią gęstych i wielorakich układów gospodarczych i kooperacyjnych ze światem zachodnim (nasz były rodak p. Pisar jest tej teorii głównym prorokiem) miało przynieść ogólną nirwanę i „buzi”. Prawa ludzkie w ogóle, a prawa milionów jednostek ludzkich na Wschodzie w szczególności, miały przyjść później, ale nieuniknienie.

Nie wiem czy teoria ta była teoretycznie słuszna. W praktyce — nie bardzo. Terror, to jasne, się zmniejszył i zmienił, nie dlatego jednak, że USA sprzedały ZSSR zboże a EWG — masło, ale dlatego, że wymagała tego sytuacja wewnętrzna bloku sowieckiego: z niewolnikami budować można piramidy, ale nie komputery. Jeżeli jednak chodzi o resztę, to milcząca *détente* nie potrafiła ukryć faktu, że nigdy jeszcze od czasu Stalina tylu dysydentów nie siedziało w tutejszych, nigdy jeszcze (nawet za czasów Stalina) imperium nie sięgało tak daleko (Uganda, Somali, Kuba), stabilizacja na Wschodzie nie była nigdy tak krucha, a ilość wojsk okupacyjnych w krajach satelickich nigdy nie była tak ogromna, przy czym nie znajdują się one tam chyba dla sprostania groźbie inwazji Luksemburga, Andorry czy nawet NATO, który ostatnio zajmuje się przeważnie ochroną nie tyle wolności, co czystości potwierza i małowartościowymi silnikami spalinowymi.

Obecnie w Waszyngtonie działa inny nasz były rodak, p. prof. Zbigniew Brzeziński. Już kiedyś wydrukowałem z nim wywiad w *Kulturze*. Kiedy Brzeziński nie był (już i jeszcze) w modzie, kiedy nikomu się nie śniło, że „Zbig” zasiądzie po prawicy Cartera, ja zatytułowałem wywiad: „Profesorze Brzeziński, czy lubi pan profesora Kissingera”. Zbig, jak go poufale nazywają moi amerykańscy koledzy odpowiedział mi wówczas listem wystanym z... Warszawy, gdzie „właśnie przeczytałem *Kulturę* w towarzystwie kilku Pańskich przyjaciół”, że wywiad jest OK, ale że mu się tytuł nie podoba, bo jego poglądy nie są funkcją sympatii do Kissingera, a wynikiem analizy jego polityki. I rzeczywiście, można powiedzieć.

W 100-nym, jubileuszowym numerze kwartalnika angielskiego *Survey* najpoważniejszego chyba pisma kremlinologicznego na świecie, redagowanego i wydawanego osobiście i jednoosobowo przez komputer i kombajn o nazwisku Leopold Łabędź, Brzeziński wydrukował artykuł, napisany jeszcze przed wejściem do Białego Domu, w którym istotnie daje wyraz nie uczuciom wobec Kissingera a wobec jego polityki i — pośrednio — monolityzmu. Brze-

ziński postuluje mianowicie przyjęcie w dyplomacji amerykańskiej zasady „pluralizmu komunistycznego”. Co to znaczy? Brzeziński tłumaczy to tak: „Pluralizm świata komunistycznego jest niezbędnym składnikiem bardziej pluralistycznego świata w ogóle... Powinniśmy więc, w konsekwencji, potwierdzić ponownie nasze stałe poparcie dla niepodległości takich krajów jak Jugosławia czy Rumunia i powinniśmy unikać wszelkich aluzji mogących sprawiać wrażenie, że USA są zwolennikiem podziału świata na strefy wyłącznych wpływów...”.

Choć nazwisko Brzezińskiego jest cholernie trudne do „wyspelowania” na Zachodzie, to jego koncepcja jest jasna. Nie zapowiada on krucjaty amerykańskiej na Wschodzie, nie proponuje siłą zmienić układu politycznego w obozie sowieckim, nie chce budzić na Wschodzie niezdrowych i nieuzasadnionych nadziei. Carterowska Ameryka jest równie jak poprzednie przeciwna interwencji w takich sytuacjach np. jak Czechosłowacja 1968. Carter wykluczył zresztą taką możliwość nawet gdyby, — jak to nieco nieostroźnie powiedział w czasie kampanii wyborczej — Rosja najechała Jugosławię aby objąć spadek po Tito. Ale z drugiej strony, można założyć, że reakcja Cartera i Brzezińskiego byłaby inna niż Nixona i Kissingera. *Accident de parcours*, powiedział wówczas pewien polityk francuski na temat inwazji Czechosłowacji a Waszyngton, spokojny i obojętny, całkowicie się z nim zgadzał. Przypuszczam, że Carter i Brzeziński byłiby innego zdania i daleby temu wyraz. Nie wiem czy świadomość tego uratowałaby Czechosłowację od inwazji, tylko historia, niestety, jest zdolna udowodnić słuszność politycznych teorii, niemniej jednak idea „pluralistycznego komunizmu” poszła w świat, zwłaszcza wschodni, i stanowi już element polityki międzynarodowej.

Nie łączyć!

Różnice nie były teoretyczne. Dyplomacja Kissingera w przedmiocie dziś nas interesującym polegała głównie na dyskrekcji. Nie można i nie należy — nauczał prof. Kissinger — wywierać otwartych presji na ZSSR. Jest to wielka potęga, mawiał, i nie można jej przypierać do muru, zwłaszcza berlińskiego czy ludzkiego. Dlatego, mawiał, propozycja sen. Jacksona, aby uzależnić przyznanie Rosji ulg i ułatwień celno-handlowych od liberalizacji przez Moskwę jej polityki emigracyjnej wobec Żydów i nie tylko Żydów sowieckich mija się z celem. Tych spraw łączyć nie można. Tak jak dziś panowie Giscard d'Estaing, Marchais i Bahr, tak i Kissinger twierdzi, że *détente* ma pierwszeństwo, że bez *détente* nie tylko nie można by gawędzić o prawach człowieka, ale nawet o człowieku bez żadnych praw, z wyjątkiem (i tu Kissinger był prekursorem) prawa do bezpłatnego pobytu w gułagu.

Pogląd taki był gorąco popierany przez Breżniewa. Taka wszak była jego podstawowa teza w sprawie Helsinek: najpierw dwa pierwsze koszyki, to znaczy bezpieczeństwo i nienaruszalność

granic oraz współpraca gospodarcza, a potem przyjdzie czas na zajęcie się człowiekiem. Nie należy tych spraw mieszać ani łączyć, bo to zagraża *détente* i opóźnia odprężenie. Za słowami poszły czyny. Kiedy amerykański Kongres uchwalił poprawkę Jacksona a zwłaszcza Stevensona, która ograniczała wysokość kredytów na mały procent, zagwarantowanych przez rząd amerykański do pułapu 300 milionów dolarów („wystarczy ledwo na orzeszki” — powiedział wtedy wieszcz Kissinger), Moskwa wybuchła.

„Uzależnienie ułatwień handlowych od naszej procedury emigracyjnej jest ordynarnym wtrącaniem się w nasze sprawy wewnętrzne. Wszelkie łączenie tak różnych spraw jest absurdalne. Ten numer nie przejdzie. Handel, bowiem, sobie, a KGB sobie” — oświadczył Kreml — i odrzucając pozornie poprawkę Jacksona, a faktycznie przede wszystkim poprawkę Stevensona, zawiesił układ handlowy z USA. Kreml miał rację. Poprawka Jacksona oznaczała mieszanie się w wewnętrzne sprawy ZSSR i włączanie jej do ustawy o handlu było łączeniem różnych spraw.

Ale oto w owalnym biurze Białego Domu zasiada Carter. I co się okazuje. Nowy prezydent USA niczego z niczym nie łączy, niczego od niczego nie uzależnia. Każda sprawa, powiada, jakby czytał w myślach Breżniewa, powinna być rozpatrywana oddzielnie. Nie należy, powiada, uzależniać postępu w jednych rokowaniach od ustępstw w innych. Carter więc od razu powiedział, że jest zainteresowany np. w szybkim postępie rozmów na temat nowego układu o ograniczeniu broni strategicznych (SALT II), w zwiększeniu wymiany handlowej itd. Równocześnie jednak Carter zapowiedział pewne inicjatywy — potraktowane naturalnie zupełnie oddzielnie i niezależnie — np. w dziedzinie praw człowieka. Grzecznie odpowiedział więc na list prof. Sacharowa, laureata, jak by nie było, pokojowej nagrody Nobla, przyjął Władimira Bukowskiego, wyraził zdziwienie z powodu dziwnych sposobów potraktowania autorów tak niewinnego dokumentu jak „Karta 77” przez policję praską, no i najnie spodziewanej w świecie wyrzucił — absolutnie niezależnie od innych problemów — korespondenta TASS w odpowiedzi na ekspulsję z ZSSR korespondenta AP.

W Moskwie zawrzało. Co to znaczy? Czy p. Carter nie rozumie, że wszystko jest z sobą związane, że nie można skutecznie mówić o rozbrojeniu atomowym z ZSSR, a równocześnie winaśować sobie przestrzegania przez Moskwę podstawowych praw ludzkich. Mniej megatonów — więcej praw ludzkich, czyżby w tak sformułowanym programie p. Carter rzeczywiście nie widział groźby dla *détente*? Czy też on tylko udaje?

Teraz już wiemy, wszystko staje się jasne.

Przy Fordzie pokój był zagrożony, bo Waszyngton łączył rozmaite sprawy i wzajemnie je od siebie uzależniał. Przy Carterze pokój jest zagrożony, bo Waszyngton niczego ze sobą nie łączy i chce prowadzić swe akcje niezależnie jedna od drugiej. Gdzie jest prawda? Czyżby Moskwie nic nie odpowiadało, tak jak tej

pani u kierownicy, która nie ruszała z miejsca mimo, że zmieniły się już wszystkie światła, z czerwonego na żółte i na zielone, i którą policjant spytał: „Czyżby żaden z naszych kolorów szanownej pani nie odpowiadał?”. Czyżby Rosji żaden kolor nie dogodził i czy nie można jej było w żaden sposób dogodzić?

Tak długo, jak...

Prawda leży gdzie indziej. Kremlowi w istocie jest wszystko jedno czy Biały Dom łączy czy nie łączy. Rosja ma to w nosie. Pewnie, że Kreml wolałby, aby Waszyngton pewnych spraw nie poruszał, Kreml ma dosyć kłopotów i bez listów Cartera. Ale w istocie nie o to chodzi: Moskwa tak długo będzie uprawiała *détente*, jak długo będzie to odpowiadało jej interesom. Kiedy Rosja potrzebowała Ameryki, Nixon został nadzwyczajnie przyjęty w Moskwie, pił szampana i wyczałowywał się z Breżniewem, mimo, iż dokładnie w tej samej chwili amerykańskie bomby burzyły Hanoi i port w Haifongu, zabijając nie tylko nieważnych skośnoożkich, ale także marynarzy sowieckich. Priorytet amerykańskiej pomocy był tak bezwzględny, że Breżniew nie zważał się wyrzucić z Biura Politycznego osobnika o nazwisku Szelest, kiedy ów sowiecki Taras Bulba sprzeciwił się linii ugody z USA. Kilka lat później Corvalan, za zgodą Moskwy, rzecz jasna, zażądał wstrzymania wszelkiej pomocy i wymiany z Chile, dopóki Pinochet nie zacznie szanować praw ludzkich, czyli zaproponował dokładnie poprawkę Jacksona, którą Breżniew tak twardo odrzucił!

Z drugiej strony, fakt iż aby nie sprawić przykrości Breżniewowi, Ford nie przyjął Sołżenicyna, nie powstrzymał operacji wodno-ładowej, w wyniku której kubański Afrika-Korps skolonizował w imieniu Kremla niezależne państwo Angoli. Fakt, że Carter napisał list do Sacharowa lub przyjął Bukowskiego nie powstrzyma Rosji przed kontynuowaniem zakupów zboża w USA czy masła w EWG, podobnie jak fakt wyrzucenia Amalrika sprzed wrót pałacu Elizejskiego lub lekcja *Realpolitik* udzielona mu przez Bahra nie powstrzyma Rosji przed szantażem wobec Biennale w Wenecji lub powrotem hasła o „zachodnio-niemieckim rewanżyzmie” do propagandy polskiej czy czechosłowackiej.

Zadłużenie bloku wschodniego sięga obecnie 45 miliardów dolarów, z czego ponad połowa przypada na ZSSR, wymiana sowiecko-amerykańska w roku 1976 wyniosła ponad dwa i pół miliarda dolarów, z czego USA sprzedały do Rosji towarów za 2.300.000.000 dolarów, a Rosja do USA za resztę, to znaczy za marne 200.000.000 dolarów. Żadna prezydencka epistoła ani audiencja tego ruchu nie powstrzyma. Kredyty i towary będą iść na Wschód (nawet kajdanki w jakie zakuto Bukowskiego kiedy leciał na „spotkanie” z Corvalanem w Zurychu były *made in USA*) jak długo Rosja będzie chciała kupować, a „przemys-

łowcy będą chcieli przede wszystkim handlować", bez żadnego związku z tym co Amalrik mówi i pisze. List Cartera jest niczym w porównaniu z technologicznymi korzyściami Rosji w wymianie z Zachodem i tylko immanentne niedołęstwo sowieckiej maszyny biurokratycznej, zakutej w priorytety partyjnych dogmatów, sprawia, że postępowanie ZSSR jest mniejszy niż Europy w okresie planu Marshalla.

Jak długo płynąć będzie z Zachodu na Wschód ten ożywczy strumień, tak długo prezydenci amerykańscy mogą pisać listy do kogo chcą i poza wykrzyknikami *Prawdy* nic się naprawdę nie stanie. Zimnej wojny nie będzie, cała ofensywa ideologiczna przeciw podżegaczom jest zwyczajną mistyfikacją i może nastraszyć tylko tych, co się i tak boją. Zimnej wojny nikt dziś nie chce, nikt jej nie potrzebuje, nie widzi w niej interesu i dlatego zimnej wojny nie będzie mimo listów do Sacharowa i nieprotokolarnych popisów holenderskiego ministra, ratującego w Pradze honor zasmarkanego Zachodu.

Message czy massage

Isztota sprawy tkwi gdzie indziej, Breżniewowski Związek Sowiecki nie ma światu nic do powiedzenia. Stanowi najbardziej konserwatywny kraj o najbardziej reakcyjnej polityce zagranicznej na świecie. Marszałek Breżniew musiał poprzeć Ugandę marszałka Amina, Brazylię gen. Geisela i Libię płk. Kadafi, kiedy tylko wpadli w nieporozumienia z USA. Ta aberracja ma swoje przyczyny.

To pierwsze, w dziedzinie ideologicznej. Na Wschodzie, nie ma już w ogóle komunistów. Na Zachodzie zaś — jak to wynika z konwulsji „eurokomunizmu” — można być komunistą tylko przeciw Breżniewowi a razem z Sacharowem czy Miedwiedewem, przeciw Gierkowi a razem z robotnikami z Ursusa, przeciw Husakowi a razem z autorami „Karty 77”, przeciw Honneckerowi a razem z komunistycznym banitą Biermannem.

Po drugie, w dziedzinie konsumpcyjno-gospodarczej. ZSSR, po 60 latach kolektywizmu, zjada nie tylko amerykański chleb z ewg-owskim masłem, ale za szczyt osiągnąć socjalistycznego dobrobytu uważa palenie Philipp-Morrisów, picie Pepsi-Cola, żucie gumy, słuchanie nielegalnych Beattlesów, i noszenie prawdziwych jeans'ów a za wyraz intelektualnego wyrafinowania uchodzić zaczyna palenie haszyszu.

Po trzecie, w dziedzinie technologii. Podczas kiedy Concorde bije się o nowojorskie lądowanie, „Konkordzki” czyli TU-144 lata ciągle na bocznych liniach, bez pasażerów i czeka na motory... Rolls Roys'a aby wejść do normalnej eksploatacji. Ameryka musiała zagrozić embargiem na sprzedaż lekko już przestarzałych komputerów do Jugosławii, jeżeli Tito będzie kontynuował

odsprzedaż, z zyskiem naturalnie, ale spod lady, tych komputerów do ZSSR. Syberia czeka na amerykański sprzęt, aby móc choćby zacząć poważnie myśleć o dotarciu do jej bogactw, itd., itp.

Pozostaje tylko jedna dziedzina, w której ZSSR ma *message* do przekazania światu. To nie *message* a *massage*. To jego siła wojskowa. Jak długo *détente* nie zagraża równowadze sił na świecie, jak długo ZSSR nie poczuje się naprawdę zagrożony z zewnątrz, tak długo możemy pisać listy do Sacharowa i rozmawiać z Amalrikiem.

Nie wiem czy ludzkość pogrążona w ruji i poróbstwie zachodniego komfortu miała czas odnotować pewien ciekawy anachronizm: ze wszystkich państw, które w latach 1939-1941 pozostawały w więzach przyjaźni i współpracy z Hitlerem tylko Związek Sowiecki zachował dokładnie ten sam system polityczny i społeczny. Taka ciągłość byłaby imponująca, gdyby nie była źródłem tak wielu napięć. Ruchy wolnościowe na Wschodzie nie są — wbrew teozom sowieckim podzielanym przez pewnych lewicowych intelektualistów na Zachodzie — dziełem CIA ani skutkiem listów do Sacharowa czy audycji Radia Wolna Europa, a refleksem sprzeciwu wobec tego właśnie kaftana sklerotycznej ciągłości.

Oczywiście, ci którzy głoszą takie poglądy są podejrzewani o nieczyste intencje. Bukowski np. został zapytany przez czujnych goszysztów „z jakich to pozycji ocenia on ustrój sowiecki, do jakiego obozu należy”? Bukowski na to odpowiedział, że nie jest ani z obozu konserwatywnego, ani z obozu postępowego, a że jest on z obozu koncentracyjnego. Otóż, to nie jest, według moich oponentów, postawa twórcza, z tych pozycji nie będzie ratunku dla świata: ratunek nie przyjdzie ani od Cartera czy Brzezińskiego, ani od Bahra czy Giscarda, ani od Sacharowa czy Bukowskiego a tylko od euro-komunistów. Czyści jak iza, absolutnie niezależni od Moskwy i od Waszyngtonu, miłujący demokrację ponad wszystko, tylko oni są w stanie naprawdę urządzić nowy świat. Są bowiem jedynymi, którzy nigdy nie zhańbili wolności — jako że nie mieli ni władzy ni okazji — i jedynymi, którzy — ponieważ nic poza tym nie mają — mają naprawdę szczerze zamiary i szczerą wolę absolutnego uszczęśliwienia świata.

Na to trzeba odpowiedzieć spokojnie i mądrze, że jak poucza nas historia 60-letniego nieustającego eksperymentu sowieckiego, to co uczynią euro, amerykano- lub azjato-komuniści jutro, kiedy znajdą się u władzy, nie zależy absolutnie w żadnym stopniu od tego, czego oni szczerze, bardzo szczerze pragną dziś, kiedy korzystają z wszelkich wolności zapewnianych im przez ustrój demokracji burżuazyjnej, kierowany przez ich przeciwników.

Lenin i Stalin, kiedy byli w opozycji też żądali wszystkich wolności i obiecywali, że je po zdobyciu władzy bardzo znacznie

rozszerzą. Żądali wolności, jak wiadomo wszystkich i to naraz i od razu. I też byli wtedy absolutnie szczerzy.

BRUKSELCZYK

Pisane po dłuższej przerwie 12 marca 1977

Korespondencja z Rzymu

„Fałszywki” w dywersji antykościelnej

„Fałszywka”-neologizm ukuty w kraju w ub. roku — oznacza dokumenty sfabrykowane przez wydział dezinformacji MSW, służące bałamuceniu opinii publicznej i próbom (bardzo nieudolnym) kompromitowania przedstawicieli opozycji demokratycznej (m.in. członków KOR-u). Pojawiły się obecnie również „fałszywki” kościelne i to niebyłe jak. Mam przed sobą dwie, pozornie identyczne, broszury. Ten sam format, okładka i tytuł: Kazania Świętokrzyskie, Konferencje wygłoszone w kościele Św. Krzyża w Warszawie. Autor: Stefan Kardynał Wyszyński, Prymas Polski. Wydanie: Rzym, 1974. Stopka edytorska na ostatniej stronie: Wydawnictwo i Druk „Rycerza Niepokalanej”, 00050 S. Severa (Roma) — Italia. Układ typograficzny i czcionki na pierwszy rzut oka ładząco podobne. Poddają obie broszury szczegółowej konfrontacji. Co się okazuje? Treść autentycznej broszury, autoryzowanej przez Prymasa Polski, doręczonej mi przez Franciszkanów Konwentualnych z Niepokalanowa (klasztor i drukarnia w Santa Severa, 40 km. pod Rzymem) kończy się, podobnie jak w fałszyfikacji, na str. 62. W pierwszym przypadku jednak bliżej końca strony, w drugim osiem wierszy od góry. Podobnie podtytuły w tekście kazań wypadają w innym miejscu.

Przejdźmy do zawartości. Tekst drugiego kazania pt. *Homo Oeconomicus* w „fałszywce” kompletnie zniekształcony: pewne fragmenty zmienione, inne dodane, inne jeszcze opuszczone. Oto jeden z przykładów dokonanej manipulacji. W rozdziale (poszczególne kazania są podzielone na podtytuły) pt. „Prawa człowieka w dziedzinie gospodarczej”, fragment na str. 30-31 brzmi:

„... W rezultacie już przed wojną państwa w słuszny sposób interweniowały w życie społeczno-gospodarcze swego kraju, zrywając z nieinterwencjonizmem, który sprzyjał rozwojowi kapitalizmu, a właściwie utrzymaniu ducha kapitalistycznego. Wysiłki te wydały zamierzone owoce, tak że trudno mówić — w ścisłym pojmowaniu tego terminu — o ustrojach kapitalistycznych przed wojną, bo już wtedy ustroje i organizmy gospodarcze wszystkich

państw zostały ograniczone przez ustawodawstwo społeczne, ustawodawstwo pracy i kodeksy pracy. Powstała specjalna nauka, którą na Katolickim Uniwersytecie nazwano socjalistyką w najszerszym sensie tego wyrazu. Nauka ta miała związek z formowaniem się właściwego kodeksu pracy. Jest to problem nadal jeszcze aktualny. Początkiem swoim sięga on do głębi wolności człowieka i jego rozumności. Z natury człowieka — mówi encyklika (*Pacem in terris* — przyj. mój) — wypływa również prawo do posiadania własności prywatnej w takim wymiarze by zabezpieczyła ona wolność i godność osoby ludzkiej. Własność prywatna ma także ogromne znaczenie ekonomiczne. Daj człowiekowi skalę na własność, a zamieni ją w ogród — mówi stare przysłowie rosyjskie. Dzisiejszy rozwój budownictwa rodzinnego jest wystarczającym dowodem, że człowiek szuka przestrzeni życiowej dla własnej rodziny. Może to być zagwarantowane jedynie przy minimalnym choćby wymiarze własności prywatnej. Oczywiście łączy się to zawsze z obowiązkami społecznymi, ciężącymi na jakiegokolwiek własności. Im ona większa, tym obowiązki społeczne mają szerszy wymiar. Ale współcześnie katolicka nauka społeczna mówi nie tylko o obowiązkach społecznych, ciężących na własności materialnej, lecz na każdej własności...”

Ten sam fragment w apokryfie brzmi (str. 29-30):

„W rezultacie już przed wojną państwa w słuszny sposób interweniowały w życie społeczno-gospodarcze swego kraju, zrywając z nieinterwencjonizmem. Działania te jednak nie wpłynęły na samą istotę wyzysku kapitalistycznego i wysiłki państwa nie wydały zamierzonych owoców. Mylą się ci, którzy twierdzą, że trudno mówić — w ścisłym pojmowaniu tego terminu — o ustrojach kapitalistycznych przed wojną. Usiłują tłumaczyć, że już wtedy ustroje i organizmy gospodarcze wszystkich państw zostały ograniczone przez ustawodawstwo społeczne, ustawodawstwo pracy i kodeksy pracy. To przecież było nie tak. Zasadniczym celem kapitalizmu był i jest wyzysk mas pracujących, a uzyskane ulgi i prawa są niczym innym jak wynikiem walki, nacisków tych mas na kapitalizm. Ustawodawstwo społeczne i kodeksy pracy zostały wywalczone, a sam kapitalizm nie stracił ze swej istoty. Również Kościół katolicki, analizując zdobycze mas pracujących, zwracając baczniejszą uwagę na ruch robotniczy w ogóle, powołał specjalną naukę, którą na Katolickim Uniwersytecie nazwano socjalistyką w najszerszym sensie tego wyrazu. Nauka ta miała związek z formowaniem się ruchu chrześcijańskiej demokracji wśród mas pracujących, który według Papieża Leona XIII miał być właściwym panaceum na niesprawiedliwość społeczną. Niestety, już wówczas można było przekonać się że teoria Leona XIII oparta była na fałszywych przesłankach i szkodliwa dla najszerszych rzesz społeczeństwa. Współcześnie mówi się nie tylko o obowiązkach społecznych, ciężących na własności materialnej, lecz na każdej własności...”

Podobnie wykastrowany i przeinaczony został następny rozdział: „Skutki wszechwładztwa produkcjonizmu ekonomicznego”. W trzecim kazaniu (*Homo politicus*) z autentycznej wersji usunięto i na to miejsce wstawiono z górą dziesięć stron druku!

Agencje międzynarodowe podały 23 lutego że Sekretariat Prymasa Polski i Sekretariat Episkopatu wydały „ostrzeżenie”:

„Nieznani sprawcy zaczęli ostatnio wysyłać pocztą — czytamy w ostrzeżeniu — ‘Kazania Świętokrzyskie 1974’ (wiele listów nadano w Rzymie! — przyp. mój). Sekretariat Prymasa Polski oświadcza że publikacja rozpro-

wadzana obecnie nie pochodzi z w/w wydawnictwa ani też z naszego Sekretariatu; nikt też nie otrzymał od nas upoważnienia do rozprowadzania tej książki... Z autentycznego wydania usunięto ponad 20 stron tekstu, a na to miejsce opublikowano tekst nowy, który nie pochodzi od Autora. Co więcej, ten nowy tekst jest całkowicie niezgodny z poglądami katolicko-społecznymi Prymasa Polski. Zawiera on wiele kłamliwych sformułowań, których żaden katolicki kapłan głosić nie może. Sekretariat Prymasa Polski i Sekretariat Episkopatu ostrzegają społeczeństwo przed tym sfałszowanym wydaniem. Ubolewamy nad tak niegodną formą walki z jasnością poglądów katolicko-społecznych księdza Prymasa. O powyższym ostrzeżeniu należy informować osoby które dostały do ręki tekst sfałszowany”.

(Czytelnicy mogą zaznajomić się z treścią tych kazań Kardynała, zwracając się do księgarni „Orbis” w Londynie lub do wydawnictwa *Odnova*, 27 Hamilton Road, Bedford Park, London, W.4. 1AL, które wydało je w zbiorze kazań ks. Prymasa pt. „Prymat człowieka w ładzie społecznym”).

Zdemaskowanie dywersyjnej antykościelnej operacji wydziału dezinformacji MSW zmusiło władze krajowe do natychmiastowej reakcji w postaci komunikatu PAP-u, ogłoszonego 24 lutego w *Życiu Warszawy*. Jest to wypadek bez precedensu: „na prośbę Sekretariatu Episkopatu PAP przekazuje następujące wyjaśnienie... (treść „ostrzeżenia” podano *in extenso*). To odcięcie się od odpowiedzialności za fałszykat sugeruje pośrednio że „fałszywka” ta jest dziełem... władz kościelnych. Rzecznik prasowy episkopatu poinformował niezwłocznie, że ograniczenia jakim poddany jest Kościół również na odcinku prasowo-wydawniczym (monopol państwa na przydział papieru i druk, cenzura prewencyjna i nakaz uzyskania autoryzacji na rozprowadzanie wszelkich publikacji), uniemożliwiają ze względów technicznych i prawno-administracyjnych jakąkolwiek próbę samorządnego wydania. Kokietowanie Prymasa z jednej strony i wmawianie mu postawy nacjonalistycznej i antykapitalistycznej w wersji leninowskiej z drugiej strony, trwają od pewnego czasu. Zabiegi te mają na celu sianie zamętu w opinii publicznej i dywersję skierowaną przeciw środowiskom opozycji demokratycznej (próba przeciwstawiania rzekomo pro-„socjalistycznego” stanowiska Prymasa „antysocjalistycznym” tendencjom liberalnych intelektualistów).

Misja dyplomatyczna i duszpasterska mons. L. Poggi

Zgodnie z ustalonym planem wysłannik papieski do specjalnych poruczeń, mons. Poggi, udał się na początku marca do kraju. Termin wyjazdu, nieco przyspieszony (mówiło się raczej o kwietniu), wynika tym razem, jak się zdaje, z niecierpliwości zdradzanej przez władze PRL, dążące do jak najszybszej instytucjonalizacji stosunków z Watykanem. W styczniu zjawiał się tu nagle na krótko wiceminister spraw zagranicznych Czyrek. Rozmawiał z mons. Casarolim. Powoływał się jakoby na dobre intencje kierownictwa partii i rządu, na tolerancyjny stosunek do

Kościół, na wyciągniętą przez Gierka (w Mielcu we wrześniu ub. roku) rękę do porozumienia. Nalegał na jak najszybszy przyjazd pełnomocnika Stolicy Apostolskiej „do stałych kontaktów roboczych z rządem PRL”. Gierek potrzebuje gwałtownie, zwłaszcza przed zbliżającą się konferencją w Belgradzie, spektakularnych sukcesów. Postępy, na jakie liczy, w rokowaniach ze Stolicą Apostolską, mogą również wzmocnić jego nadszarpnięty autorytet w kraju (zwłaszcza wśród aktywnej, katolickiej społeczności) i zneutralizować opozycję nacjonalistyczną w łonie partii. W aparacie dyplomatycznym Watykanu, natomiast, panuje przekonanie (zasada kulturowana w stosunkach z krajami „trudnymi”), iż należy wykorzystywać gotowość do rozmów ze strony reżymów komunistycznych i nie tracić nigdy żadnej nadarzającej się okazji (bo koniunktura może ulec pogorszeniu). W przypadku polskim dyplomacja watykańska stara się trzymać rękę na pulsie, co oznacza synchronizowanie własnych posunięć z rozwojem sytuacji politycznej w kraju i interesami polskiego Kościoła. Metodologia watykańskiej *Ostpolitik* uległa zmianie, jak już miałem okazję wyjaśniać, nie bez wpływu stanowczej linii polskiego episkopatu. Cel został ten sam: instytucjonalizacja stosunków z ideologicznie nieprzyjaznymi reżymami dla ułatwienia misji lokalnych Kościołów. Czy rozmowy mons. Poggi’ego z ministrem spraw zagr. Wojtaszkiem i szefem Urzędu d/s Wyznań, Kąkolem, przyniosą konkretne wyniki? Trudno prorokować. Wydaje mi się jednak, biorąc pod uwagę, obustronnie widoczne zainteresowanie, że pewien krok naprzód ku nawiązaniu stosunków dyplomatycznych będzie uczyniony. Stolica Apostolska kalkuluje prosto: Warszawa dziś śpieszy się by podbudować swą osłabioną pozycję (wewnętrzna i międzynarodowa) — należy wyjść naprzeciw. Z episkopatem zaś, którego pozycja nigdy nie była tak mocna, można będzie rzecz uzgodnić. Rozumowanie nie pozbawione logiki. W Watykanie przebąkuje się, że już w ciągu tego roku akredytowany będzie w Warszawie Delegat Apostolski lub Wysłannik w randze *Incaricato d'affari con lettere* (uwierzytelniony *chargé d'affaires*). Czy dojdzie do tego czy nie — ostateczna decyzja leży w rękach polskiego episkopatu.

Przyjazdy mons. Poggi’ego do kraju mają nie tylko charakter dyplomatyczny, lecz również duszpasterski. Obecny pobyt mons. Poggi’ego wypada w okresie wielkopostnym i potrwa ok. miesiąca. Tak jak podczas jego poprzednich trzech wizyt przewidziane są rozmowy z ks. Prymasem, biskupami i duchowieństwem. Wysłannik Stolicy Apostolskiej będzie wizytować diecezje w których dotąd nie był (kielecka, lubelska, sandomierska i administracja apostolska w Lubaczowie). Uda się również do Częstochowy, gdzie miejscowy ordynariusz zaprosił go na uroczyste położenie kamienia węgielnego kościoła w nowej dzielnicy, wybudowanej z okazji obchodów 100-lecia.

Kiedy mons. Poggi zjawiał się na lotnisku Okęcie w dn. 4 marca, witany przez sekretarza episkopatu, bp. Dąbrowskiego i przedstawicieli władz państwowych, w *Trybunie Ludu* ukazał się arty-

kuł pt. „Mit pluralizmem”. Był to czwarty z kolei odcinek cyklu poświęconego opozycji demokratycznej i konfrontacji ideologicznej Wschód-Zachód. W artykule tym utrzymuje się, że „koncepcja pluralizmu stanowi część składową teorii społeczno-politycznych wymyślonych przez ideologów i filozofów burżuazyjnych dla walki z socjalizmem”. Obrońcy pluralizmu — zdaniem *Trybuny Ludu* — rozumieją go jako „prawo do wolności opozycji przeciw socjalizmowi i szkalowania państwa socjalistycznego. Jest to broń propagandy zachodniej w walce ideologicznej zarówno na froncie wewnętrznym jak i zewnętrznym”. Biskupi doręczyli zapewne wysłannikowi Stolicy Apostolskiej przekład tej neo-stalinowskiej wykładni pluralizmu.

Dominik MORAWSKI

Pisane 7 marca 1977

P.S. Komunikat z ostatniej konferencji plenarnej episkopatu z dn. 10 lutego bierze w obronę zagrożone interesy pisma *Więź* i Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie. Rada Główna Episkopatu „dokonała oceny działalności wydawniczej nielicznych w Polsce wydawnictw i czasopism katolickich oraz działalności środowisk katolickich, przypominając, że *należą one do stanu posiadania Kościoła w Polsce*. Ograniczenie ich działalności jest ograniczaniem praw do wolnej działalności Kościoła. Rada Główna upoważniła Sekretarza Episkopatu do podjęcia wobec władz cywilnych stosownych kroków celem zabezpieczenia dalszej niezakłóconej działalności wydawnictw i środowisk katolickich”.

D.M.

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1636 Bloor St. W. - Toronto, Ont. M6P 1A7, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Cheesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

Manowce polityki gospodarczej PRL

Kraj

BRZEMIE MOŁOCHA PRZEMYSŁU CIĘŻKIEGO

Po lekturze licznych informacji i komentarzy na temat kryzysu gospodarczego w PRL ogarnęły mnie wątpliwości, czy wydarzenia czerwcowe zostały prawidłowo ocenione. Przypominam sobie artykuły w prasie zachodniej gdzie pisano, że „zapropozowana” potem odwołana drastyczna podwyżka cen będzie jednak nieunikniona, powoływano się przy tym na argument Jaroszewicza, że państwo nie może dłużej subwencjonować wielu artykułów konsumpcyjnych, że PZPR nie pozostaje nic innego jak tylko wprowadzić prawidłową relację cen konsumpcyjnych. Jakimś dziwnym trafem przemilczano zarazem podstawowy problem *całej struktury cen*, w której np. kilogram stali na cele zbrojeniowe kosztuje parokrotnie mniej od kilograma stali przeznaczonego, powiedzmy, na „cywilne” łopaty. Przeoczono tak ważny fakt, mianowicie, że państwo, to znaczy społeczeństwo, dopłaca do całego kompleksu przemysłu ciężkiego i zbrojeniowego, ponieważ cały system cen, podzielony na ceny rynkowe, zaopatrzeniowe, ceny zbytu itp., deformuje wszystkie dane o kosztach produkcji, o udziale poszczególnych gałęzi w tworzeniu i spożyciu dochodu narodowego etc. Owszem, dawno dojrzała potrzeba zmiany cen ale wszystkich! Dopiero wtedy, po zobiektywizowaniu cen według rzeczywistej wartości społecznej produktów i usług, można byłoby ocenić, ile i do czego państwo dopłaca, przepłaca i... niedopłaca. Kryzys gospodarczy w PRL nie został wywołany z powodu zbyt niskich cen na towary konsumpcyjne ani nadmiaru ilości pieniądza na rynku. Korzenie sięgają głębiej, do samej koncepcji polityki ekonomicznej PZPR kontynuowanej z całą bezwzględnością przez ekipę Gierka.

Sowiecki model ekonomiczny

Muszę przypomnieć pewne prawdy, aby łatwiej było zrozumieć

tło kryzysu gospodarczego w PRL. Jak wiadomo, jeszcze na początku lat dwudziestych u podstaw sowieckiej koncepcji ekonomicznej leżały trzy podstawowe przesłanki. *Pierwsza*: zbudujemy gospodarkę, która zapewni dobrobyt i szczęście następnym pokoleniom — dla nich to trzeba będzie ponosić ofiary i wyrzeczenia. *Druga*: naszemu nowemu ustrojowi zagraża otoczenie kapitalistyczne, należy zatem pilnie rozwijać gałęzie gospodarki związane z obronnością kraju. I *trzecia*: komunizm sowiecki ma do spełnienia historyczną internacjonalną misję niesienia pomocy narodom uciskanim. Była to więc koncepcja, która już z góry zaprogramowała konieczność trwałych wyrzeczeń i ofiar w imię wyższych celów zrodzonych z symbiozy doktryny komunistycznej oraz rosyjskiej wielkomocarstwowej polityki. Tym właśnie celom podporządkowano politykę gospodarczą Związku Sowieckiego.

W tych warunkach gospodarkę sowiecką podzielono na dwie grupy: A i B. Do pierwszej zaliczono gałęzie *środków wytwarzania*, a więc przemysły ciężki i zbrojeniowy, grupa A miała stanowić „bazę” dla późniejszego rozwoju działań konsumpcyjnych. Do drugiej zaliczono gałęzie *przedmiotów spożycia*. Pierwsza stała się grupą „priorytetową”, uprzywilejowaną kosztem drugiej — to znaczy kosztem spożycia. Jednocześnie całą gospodarkę podzielono na działy *produkcyjne* i *nieprodukcyjne* i odpowiednio do tego wprowadzono rozróżnienie w inwestycjach, w cenach, w zaopatrzeniu i w polityce płac oraz zatrudnienia. Za produkcyjne uznano działy wytwarzające wartości *materialne*, do nieprodukcyjnych zaliczono wszystkie szeroko pojęte *usługi*. Z jednym wszak wyjątkiem: do „priorytetowych” i uprzywilejowanych awansowano siły zbrojne, policyjne oraz partię i propagandę.

Podzielenie gospodarki na grupy A i B oraz na działy produkcyjne i nieprodukcyjne stworzyło korzystne przesłanki do koncentrowania sił i środków na wybranych odcinkach, stało się zarazem przyczyną powstawania olbrzymich *dysproporcji* w rozwoju gospodarki sowieckiej: pokazała się ona zdolna wyposażać siły zbrojne Związku Sowieckiego w rakiety kosmiczne i broń termonuklearną, nie jest jednak w stanie zapewnić ludności dostatecznego zaopatrzenia w żywność, artykuły przemysłowe i usługi. Utrzymanie „priorytetów” i dysproporcji wymagało stworzenia całego mechanizmu *przymusu gospodarczego*. W tym celu scentralizowano *decyzje ekonomiczne* oraz ustanowiono system *centralnego planowania*. Jednakże samo zinstytucjonalizowanie podziałów w gospodarce na uprzywilejowane i dyskryminowane, wobec spodziewanego oporu ze strony społeczeństwa (konsumentów!), uznane było za niewystarczające, powołano do życia totalny system *sądowo-policyjny*.

Taki system przymusu gospodarczego i praw obywatelskich ograniczonych do minimum — ustanowiono w innych krajach Europy Wschodniej, nie oglądając się na tradycje, poziom oraz strukturę gospodarki danego kraju. Czechosłowacja, będąca

przed wojną potęgą przemysłową w wyspecjalizowanych przemyślach, była zmuszona przestawić swoją gospodarkę na wzorec sowiecki. To nie przypadek, że program „socjalizmu o ludzkim obliczu” narodził się w Czechosłowacji. Również PRL musiała wejść na tę samą drogę budowy „zrębów” dla przyszłych pokoleń, a właściwie dla realizacji wielkomocarstwowych aspiracji Kremla. Jednym z największych nieszczęść przed wojną był podział kraju na bogatą Polskę A i biedną zacofaną Polskę B. Po trzydziestu latach władzy komunistycznej dysproporcje między regionami zostały zwielokrotnione! Im większy wkład województwa, powiatu, miasta w rozwój produkcji grupy A, tym wyższy poziom oświaty i kultury, płac i dochodów, ba, tym lepsze zaopatrzenie w sklepach. Jeśli np. w Warszawie czy Katowicach brak jest w sklepach mięsa wieprzowego, ale jest inne, to w Suwalskim czy Białostockim nie ma ani mięsa, ani wędlin, ani chleba...

Przyjęto się uważać reżymy komunistyczne za totalitarne, antydemokratyczne, ponieważ nie tolerują pluralizmu politycznego, muszą naśladować politykę bizantyjskich przywódców sowieckich, których historia pozbawiła ogłady demokratycznej, parlamentarnej. Stusnie, ale to nie wszystko, to tylko — jak powiedziała Stalin — nadbudowa. Opiera się ona na antyhumanitarnej bazie gospodarczej. Stosunkowo dużo wie się o tym, jak obywatele krajów Europy Wschodniej buntują się przeciwko brakowi wolności demokratycznych. Kto wie, czy bunt przeciwko reakcyjnej gospodarce nie jest większy? Bo czymże innym, jak nie protestem mas jest chociażby masowa absencja i fluktuacja w pracy? Marnotrawstwo materiałów, niska jakość wyrobów oraz mała wydajność pracy?

Gierek odziedziczył po Gomułce gospodarkę narodową budowaną na modłę sowiecką. Miał trzy drogi wyjścia. Mógł zapoczątkować proces odchodzenia od dogmatycznej koncepcji, albo przynajmniej zmniejszyć dysproporcje pomiędzy molochem przemysłu ciężkiego i zacofanymi gałęziami produkującymi przedmioty spożycia. Może był na to za słaby, mógł więc ewentualnie — nie zmieniając podstawowych tendencji — zachować proporcje z okresu gomułkowskiego, co przy szybkim wzroście dochodu narodowego byłoby również niemałym postępem. Wybrał jednak trzecią drogę — rozwinął jeszcze bardziej negatywne tendencje cechujące okres Gomułki. Świadomie lub nieświadomie postawił na kryzys, na konfrontację ze społeczeństwem polskim.

Łyk gorzkiej prawdy

Przypomnijmy najpierw jak to było. Jeszcze na V-tym zjeździe PZPR zatwierdzono dyrektywę określającą wskaźnik wzrostu dochodu narodowego w pięcioleciu 1971-1975 na 36%. Na VI-tym zjeździe skorygowano dyrektywę: nie 36% lecz 38-39%. Kiedy plan pięcioletni dobiegł końca okazało się, że dochód narodowy

wzrósł aż o ponad 59%! Według Rocznika GUS, tylko Rumunia miała wyższe tempo wzrostu, w tyle pozostały inne kraje RWPG, EWG, USA, Japonia, kraje bałtyckie... Rekord nad rekordy! Czy był on jednak celowy? Czy tempo wzrostu nie było za wysokie? Nie darzę zaufaniem statystyki krajowej, nie mniej pewne tendencje sygnalizowane przez nią są przecież godne uwagi. Otóż w bardzo złym „gomułowym” 1970 roku koszty materialne wytworzenia dochodu narodowego stanowiły 57,1% a produkcja czysta 39,3%... W 1975 roku nastąpiło wyraźne pogorszenie efektywności gospodarczej: koszty materialne wzrosły do 58,9% a udział produkcji czystej zmniejszył się do 38,1%. To znaczy przyrost bardzo dodatkowego procentu dochodu narodowego kosztował więcej niż przed pięciu laty i to mimo olbrzymich kredytów i wielkiej pomocy technologicznej z Zachodu. Według twierdzeń krajowych, w poprzednim pięcioleciu co druga maszyna pracująca w przemyśle była nowa. I mimo to — pogorszenie efektywności gospodarczej! Dlaczego?

Propaganda krajowa wywindowała gospodarkę PRL na 10-te miejsce na świecie. Czytając *Rocznik Statystyczny* GUS można dojść do wniosku, że PRL jest już potęgą gospodarczą w Europie. Wielu ludzi, również na Zachodzie, oczarowanych suchymi wskaźnikami statystycznymi, w 1976 roku przecierała oczy ze zdumienia. Jakże to, *drugie* miejsce w produkcji węgla — a węgla na rynku brak, trzeba reglamentować jego dystrybucję? *Czwarte* miejsce w produkcji buraków cukrowych — tymczasem cukier na kartki? Również *czwarte* miejsce w produkcji mleka krowiego, tymczasem w sklepach brak tego artykułu? *Szóste* miejsce w produkcji stali surowej, poziom jej zużycia w przeliczeniu na głowę mieszkańca wyższy niż w krajach takich, jak Włochy, Francja czy NRD — a stal ciągle artykułem deficytowym?

Otóż właśnie stal jest przykładem dobrze ilustrującym problemy wzrostu gospodarczego PRL. Jak wiadomo, hutnictwo należy do najbardziej kapitałochłonnych gałęzi przemysłowych, a cykl budowy huty należy do najdłuższych. Porównajmy, jaką rolę odgrywają dwie gałęzie przemysłu: metalurgiczny i spożywczy. Pierwszy zatrudniał w 1975 roku ćwierć miliona ludzi, drugi dwa razy więcej. Udział metalurgicznego w produkcji globalnej całego przemysłu wynosił 10,3%, drugiego 16%, jednak w dziedzinie inwestycji role się zmieniają: w minionym pięcioleciu przemysł spożywczy uzyskał zaledwie 89 mld. zł. inwestycji, natomiast wspomniana gałąź przemysłu ciężkiego o ponad 22 mld. zł. więcej. Nie jest więc obojętne, w jakim stopniu we wzroście dochodu narodowego partycypował przemysł spożywczy a w jakim przemysł metalurgiczny. Ostatecznie stali nikt nie żre!

Niedawno oddano do użytku największą inwestycję PRL — Hutę Katowice, której całkowity koszt pochłonął ponoć aż dwieście miliardów złotych, to znaczy ponad dwa razy więcej od inwestycji w przemyśle spożywczym w *całym pięcioleciu!* Ta gigantyczna huta mocno zaważyła na wskaźnikach wzrostu dochodu narodowego, wolno więc zapytać, czy była aby potrzebna?, czy

nie można było tych miliardów złotych skierować do działań gospodarki, związanych z tak bardzo zaniedbanym i niedorozwiniętym sektorem wyżywieniowym? Przecież według oficjalnej statystyki, produkcja stali w przeliczeniu na głowę mieszkańca jest w Polsce wysoka, wyższa nie tylko od produkcji we Francji, Włoch i NRD, także od brytyjskiej, węgierskiej, holenderskiej; już nawet niewiele niższa od poziomu USA! Ale stal, jak wspominałem, jest w PRL artykułem deficytowym, jej import wzrastał z roku na rok pochłaniając setki milionów dolarów i innych dewiz, które w innej sytuacji należałoby i można by wydatkować na import chociażby maszyn dla rolnictwa, na odnowienie i modernizację parku maszynowego przemysłów lekkiego i spożywczego itd. Stali jednak brak, ponieważ, jak pisało w styczniu *Zycie Gospodarcze*, „zużycie wyrobów hutniczych w latach 1971-1973 zwiększało się *szybciej niż dochód narodowy*”. Przyrosty zużycia stali np. w NRF i we Francji były aż dwa razy niższe (!) od wzrostu dochodu narodowego. W USA zużycie stali (lata 1970-73) uległo zmniejszeniu o ponad 8% przy wzroście dochodu narodowego o 12%.

Dochód narodowy w minionym pięcioleciu wzrósł kolosalnie, była to jednak głównie zasługa szybkiego rozwoju wartości produkcji grupy A, czyli gałęzi wytwarzających środki produkcji (a do niej należy właśnie hutnictwo). Tymczasem deficyt stali staje się coraz większy na rynku, w sklepach miejskich i wiejskich i coraz trudniej nabyć wytwory metalurgiczne, chociażby zwyczajne gwoździe, haki, łopaty, widły, łańcuchy itd. Jak to się dzieje? Zajrzyjmy do *Rocznika Statystycznego*. Otóż w 1970 roku, przy produkcji 8.136 mln. ton stali, na cele rynkowe przeznaczono 277 tysięcy ton, a w 1975 roku ponad 11 mln. ton wyprodukowanej stali na rynek skierowano zaledwie 256 tysięcy ton... Gdzie podziało się pozostałe dziewięćdziesiąt osiem procent tego surowca? Oczywiście, lwią część pożarł przemysł oraz budownictwo. Czy nie za dużo? Dla specjalistów krajowych ta kwestia nie ulega wątpliwości: na skutek przestarzałej technologii procesów wytwórczych odpady ze stali tylko w postaci... wiórów sięgają rocznie *miliona ton!* To nie wszystko. Krajowe maszyny i urządzenia są za ciężkie, pochłaniają zbyt wiele stali w przeliczeniu na jednostkę wartości. Z tych i innych względów każda tona eksportowanych maszyn i urządzeń jest — według ocen handlu zagranicznego — *kilkakrotnie tańsza* od tony podobnych wyrobów importowanych za dewizy, co z kolei jeszcze bardziej uszczupla wytworzony dochód narodowy. Specjaliści krajowi dorzucają jeszcze jeden zarzut pod adresem koncepcji ekonomicznych PRL: zbyt mało inwestycji przeznaczają się na modernizację istniejących przedsiębiorstw, zwłaszcza w przemysłach wytwarzających przedmioty spożycia — za dużo wydaje się na budowę wciąż nowych i nowych przedsiębiorstw i to przede wszystkim w bardzo kapitałochłonnych gałęziach przemysłu ciężkiego. Oto, gdzie i jak marnotrawiona jest niezwykle kosztowna stal.

Propaganda krajowa akcentuje nieustanny wzrost udziału przemysłu w tworzeniu dochodu narodowego i jego czołową rolę w szybkim powiększaniu dochodu narodowego, jak gdyby fakt ten niejako sam przez się był tożsamy z szybkim wzrostem dobrobytu ludzi. W 1975 roku udział przemysłu w dochodzie narodowym wyniósł 52,1 % (był wyższy o 2,3 % niż w roku 1970) — i co z tego wynika? W najwyżej rozwiniętych krajach, jak USA, Szwecja, Japonia i innych wkład przemysłu do dochodu narodowego stanowi mniej niż w Polsce — czy przez to ich gospodarka jest na niższym poziomie od polskiej, a Amerykanom i Szwedom żyje się gorzej niż Polakom? W ostatnim ćwierćwieczu parokrotnie już się zdarzało, że zwiększał się dochód narodowy, rósł udział przemysłu w jego tworzeniu, a ludziom żyło się coraz gorzej: wydłużały się kolejki przed sklepami, rósł czas niezbędny na dokonanie elementarnych zakupów, ostro we znaki dawały się braki tysięcy artykułów niezbędnych do sprawnego funkcjonowania mieszkań, komunikacji publicznej, szkół, itd.

Dla społeczeństwa nie jest obojętne, jakim kosztem powstaje dochód narodowy oraz jakie działy gospodarki dominują w tym rozwoju. Tutaj właśnie rozstrzyga się podstawowa kwestia, jakie jest oblicze wzrostu dochodu narodowego — *humanitarne*, tzn. na pożytek ludziom, albo też *niehumanitarne* — na pożytek molocho ukrytego za parawanem ideologii. W 1960 roku grupa A-środków wytwarzania — dała 57 % produkcji globalnej przemysłu; w 1975 roku udział jej stanowił już 65 %, zaś wkład grupy B — środków spożycia — zmniejszył się o blisko osiem procent. Ten proces, który za rządów Gierka uległ jeszcze większemu przyśpieszeniu — nazywam antyhumanitarnym, gdyż grupa A jest nie tylko największym wytwórcą ale i *największym konsumentem* wyprodukowanych dóbr materialnych. Na przykładzie stali łatwiej zrozumieć pozornie tylko zaskakujące paradoksy, że mimo rekordowej produkcji węgla, cukru, energii elektrycznej, mleka itd. — społeczeństwo doświadcza trudności znanych jedynie z czasów wojny i powojennych. Węgiel pożera przemysł, a podaż mleka — mimo że produkcja wysoka — natrafia na trudności na skutek niedorozwoju kompleksu żywnościowego...

Od Gomułki do Gierka

Niektórzy powiadają, że wydarzenia z czerwca 1976 ujawniły prawdziwe oblicze Gierka: kryzys gospodarczy; próba wymuszenia olbrzymiej podwyżki cen; fala antyrobotniczych represji politycznych i administracyjnych; seria prowokacji ubowskich; serwilistyczna postawa wobec Kremła. Dla wielu jednak ludzi reakcyjność polityki Gierka była widoczna już parę lat wcześniej. Wtedy, kiedy partia podjęła strategiczną decyzję podwyższenia w okresie 1971-1975 stopy wzrostu dochodu narodowego o kilkadziesiąt procent oraz zwiększenia funduszu płac nominalnych

o setki miliardów złotych. Było bowiem oczywiste, że tak wysoki wzrost dochodu narodowego głównie kosztem olbrzymiego wprost skoku nakładów inwestycyjnych, w szczególności w „ciężkich” kapitałochłonnych działach gospodarki narodowej, musi doprowadzić do drastycznego zaostżenia dysproporcji pomiędzy liczbą zatrudnionych w działach nie związanych bezpośrednio z zaopatrzeniem ludności oraz liczbą zatrudnionych w działach wytwarzających dobra i usługi konsumpcyjne. Pierwszych przybywało za dużo a ich udział w osobowym funduszu płac stał się olbrzymi. Drudzy zaś, pracujący przecież w gałęziach najbardziej niedoinwestowanych, nie byli w stanie wytworzyć tylu dóbr by starczyło dla nich samych oraz dla „kolegów” z działów niekonsumpcyjnych.

Teoretycznie biorąc nie była to sytuacja bez wyjścia — można było zrównoważyć większą ilość pieniądza na rynku poprzez dodatkowy import artykułów konsumpcyjnych. Musiałoby to się jednak odbić na imporcie dla przemysłów „ciężkich” z grupy A. Tymczasem import dla przemysłu np. lekkiego w minionym pięcioleciu wzrósł o blisko 85 %, ale dla przemysłu metalurgicznego o ok. 186 %! A więc powstała rażąca dysproporcja, która wcześniej czy później musiała doprowadzić do kryzysu zaopatrzenia ludności.

Są to wszystko tak elementarne zasady polityki ekonomicznej, że nie można dzisiaj znaleźć żadnych „okoliczności łagodzących” dla Gierka. Wszystko wskazuje na to, że nie zamierzał on oddalić się od polityki ekonomicznej uprawianej przez Gomułkę, wprost przeciwnie, postanowił na gomułkowskiej drodze osiągnąć lepsze rezultaty. Lepsze, to znaczy jeszcze szybszy rozwój całego „antyhumanitarnego” kompleksu przemysłowego. Porównajmy kilka danych z popaździernikowego okresu Gomułki i z pogomułkowego okresu Gierka. W pierwszym przypadku punktem odniesienia będzie rok 1955, w drugim rok 1970, potraktowane jako okresy dna obu kryzysów.

	Udział nakładów inwestycyjnych w dochodzie narodowym w %/%	Nakłady inwestycyjne na 1 mieszkańca, rok pop. = 100	Udział spożycia w dochodzie narodowym w %/%
1955	15,0	2,0	77,5
1956	14,4	2,7	79,4
1957	14,1	5,8	77,4
1958	15,1	8,6	77,3
1970	21,8	4,1	72,1
1971	21,9	6,6	70,7
1972	24,8	22,6	68,4
1975	31,7 (!)	13,1	62,2 (!)

Po okresie niesławnego planu sześcioletniego, pełnego napięć gospodarczych i politycznych, partia poszła na ustępstwa:

zmniejszyła tempo wzrostu inwestycji i zwiększyła udział spożycia w dochodzie narodowym. Ale już w 1958 roku PZPR powróciła do poprzedniej polityki: nastąpił wzrost inwestycji i równoczesny spadek udziału spożycia w dochodzie narodowym. W następnych latach ta polityka była przez Gomułkę prowadzona z całą bezwzględnością. O ile w okresie 1957-1970 dochód narodowy podzielony wzrósł o niecałe 100 % to nakłady inwestycyjne na 1 mieszkańca powiększyły się aż o blisko 200 %!

Gierek, niepomny jednak skutków polityki Gomułki, ani smutnego końca jego kariery politycznej, poszedł o wiele dalej. Z tabelki wynika, że polityka inwestycyjna Gierka w 1971 roku była jeszcze umiarkowana, podobnie jak Gomułki w okresie 1956-57. W 1972 roku krzywa poszła gwałtownie w górę, zaś w 1975 roku udział akumulacji w dochodzie narodowym podniósł się do blisko 40 %, w tym inwestycji do ok. 32 %! W jednej tylko Japonii udział akumulacji był nieco wyższy niż w Polsce, żaden inny kraj nie odważył się na tak wysoki poziom zwłaszcza inwestycji i na tak niski udział spożycia w dochodzie narodowym. Wbrew pozorom (skąd się one wzięły?) Gierek jeszcze bardziej pogłębił podstawowe negatywne tendencje polityki ekonomicznej Gomułki, o czym świadczą dane następnej tabelki oparte na *Roczniku Statystycznym* GUS 1976.

NAKLADY INWESTYCYJNE W OKRESACH WIELOLETNICH
(udział w odsetkach)

	1961-65	1966-70	1971-75
inwestycje: produkcyjne	71,4	75,0	78,7
nieprodukcyjne	28,6	25,0	21,3
gospodarka: uspołeczniona	88,3	88,8	91,3
nieuspołeczniona	11,7	11,2	8,7
w tym:			
przemysł	40,2	39,4	43,8
handel	21,7	19,1	17,2
gospodarka mieszkaniowa	18,0	15,5	13,0
rolnictwo	13,9	16,1	13,7

Z tabelki można jasno odczytać tendencje polityki ekonomicznej Gomułki, kontynuowane z jeszcze większą bezwzględnością przez Gierka. Pierwsza, to systematyczny spadek udziału w inwestycjach wydatków tzw. nieprodukcyjnych, do których zalicza się gospodarke mieszkaniową i komunalną, naukę, oświatę i wychowanie, kulturę i sztukę, ochronę zdrowia, opiekę społeczną i kulturę fizyczną itd. Nic więc dziwnego, że wobec wzrostu udziału przemysłu (w inwestycjach) systematycznie zmniejszał się udział np. handlu, aczkolwiek jak raz ta dziedzina jest niezwykle zadowolona — brak sklepów, magazynów handlowych oraz prymitywne wyposażenie handlu stanowią jedną z przyczyn kolejek przed sklepami. I druga tendencja, polegająca na przesu-

waniu coraz większych nakładów inwestycyjnych z gospodarki nieuspołecznionej do uspołecznionej czyli państwowej. W kraju, gdzie blisko osiemdziesiąt procent rolnictwa znajduje się w rękach prywatnych! I gdzie problem wyżywienia narodu już od wielu lat wymagał radykalnej zmiany całej strategii gospodarczej!

Czerwiec trwał pięć lat

Propaganda krajowa przeżyła w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych swoje najlepsze chyba lata, w czym nie małą zasługę miał osobiście Gierek. Był przywódca „Katangi” budował swój *image* przez wiele lat: w przemówieniach w czasach katowickich — w przeciwieństwie do Gomułki — wskazywał na rangę spraw socjalno-bytowych: trzeba mieć na oku, zwykły był mówić, nie tylko sprawy produkcji, także problemy ludzkie... Nad Bierutem i Gomułką miał tę przewagę, że przybył do Polski nie zę Wschodu lecz z Zachodu — „zachodni” typ komunisty, a więc chyba okraszany, bardziej salonowy. Gierek nie bez powodzenia demonstrował odmienny od Gomułki styl pracy: „Pomożecie?” — pytał robotników po 1970 roku, a ci na wiecach odpowiadali: „Pomożemy!”. Do historii weszła demagogiczna forma tzw. konsultacji z klasą robotniczą, doszczętnie skompromitowana przez wydarzenia czerwcowe.

Dla propagandy partyjnej z tamtych lat zbawienny był kryzys naftowy oraz inflacja na Zachodzie, na których ciemnym tle jasnymi barwami malowano wskaźniki zawrotnego wzrostu gospodarczego. Nawet w prasie zachodniej czytać można było o „mini-cudzie” gospodarczym w PRL, co tłumaczono trzema podstawowymi przyczynami. Pierwsza — pisano — polegać miała na realizowaniu przez Gierka nowej koncepcji gospodarczej, preferującej jakoby konsumpcję społeczną. Zapomniano, że również Gomułka w popaździernikowym okresie uciekł się do takiej zmiany taktycznej, o czym była już mowa. Jako drugą przyczynę wskazywano fakt szerszego otwarcia gospodarki PRL na Zachód, co było zresztą prawdą, jednakże nie wywarło większego wpływu ani na archaiczny system zarządzania i planowania (czego spodziewali się niektórzy na Zachodzie), ani na samą konsumpcję (import był bowiem pochłaniany głównie przez przemysł niekonsumpcyjny, o czym również była mowa). I trzecia wreszcie przyczyna domniemanego „mini-cudu” — olbrzymie kredyty zachodnie. Jednakże zarówno szersze otwarcie gospodarki na Zachód jak i zaciągnięcie kredytów nie było zasługą nowej polityki Gierka — po prostu w czasach Gomułki Kreml nie był jeszcze skłonny do tolerowania takiej polityki.

Niemniej za sprawą „ducha Helsinek” stolice zachodnie zaczęły traktować Warszawę o wiele życzliwiej, niż dotąd i anizeli stolice innych krajów Europy Wschodniej. Z woli niektórych krajów zachodnich oraz Związku Sowieckiego PRL stać się miało swego rodzaju oknem wystawowym salonu helsińskiego, a Gierek —

reprezentacyjnym lwem salonu odprężenia... PRL z jej dynamicznymi wskaźnikami gospodarczymi, z Gierkiem na czele odegrać mieli szczególną rolę w bonnskiej *Ostpolitik*. Jakby nie było, NRF wpompowała w gospodarkę PRL najwięcej z krajów zachodnich, z polskiego „mini-cudu” można byłoby ubić również nieco niemieckiego kapitału politycznego... Niespodziewanie wydarzył się Czerwiec, obnażający całą nędzę „mini-cudu gospodarczego”, co ponoć wywołać miało w samym Bonn niebywały szok. A później nastąpiły „nieszczęśne” represje policyjne i „absolutnie nikomu nie na rękę” protesty i akcje Komitetu Obrony Robotników. Nikomu, tzn. oficjalnej Warszawie i Moskwie, ale również niektórym stolicom zachodnim. Przynajmniej do czasu, póki w Białym Domu nie zasiadł Carter.

W tych zadziwiających wywijasach politycznych niektórych stolic, w tym jakimś nieomal perwersyjnym *helsinkiowaniu* (przepraszam za ten nowotwór słowny) musiał jednak tkwić fałsz, albo co jeszcze gorsze — niewiedza. Boć przecież tendencje polityki ekonomicznej Gierka nie mogły być niezbrane więc nie można było nie przewidzieć ich skutków. I najważniejsze — kryzys gospodarczy w PRL nie zaczął się w czerwcu 1976 — objawy kryzysu towarzyszyły przez cały czas „mini-cudowi”, o czym mniej lub bardziej oględnie donosiła nawet prasa krajowa. Oto tylko kilka przykładów. W listopadzie 1972 roku dziennikarze PAP dokonali zwiadu po sklepach warszawskich — wyniki były wstrząsające. Po tygodniu dokonali nowego rajdu: „W większości sklepów spożywczych lady były puste”. W 1973 roku zwiadu dokonali dziennikarze *Trybuny Ludu*: „We wszystkich przebadanych sklepach brak było...” następuje wyliczenie wielu artykułów spożywczych. W 1974 roku rajdowcami byli dziennikarze *Słowa Powszechnego* — i znów przysłowiowe puchy w sklepach. Zwiady dziennikarskie, dokonywane pod wielką presją społeczną, trwały również w 1975 i 1976, mnożyły się skargi nie tylko na dobrze znany brak mięsa i wędlin, także na fatalny stan nowych mieszkań oddawanych do użytku, na skandaliczną sytuację w usługach, na olbrzymi niedobór towarów przemysłowych i konsumpcyjnych na wsi itd., itp. Były to nieomyślne oznaki nadciągającego kryzysu, setki tysięcy sygnałów, że Czerwiec już się dawno rozpoczął.



Co dalej? Jakie są drogi wyjścia z kryzysu gospodarczego? Jakie kształty przybrać winna polityka ekonomiczna Polski? Czy należy zmurszałe „priorytety” zastąpić nowymi? Stał zamiast mięsa czy odwrotnie? Jest nad czym głowy połamać. Jedno wszak jest już pewne: należy się wystrzeżać schematów myślowych, produkowanych na linii Moskwa-Warszawa. Nie do przyjęcia są np. poglądy zaprezentowane w numerze styczniowym *Kultury* przez anonimowego Autora z kraju. W artykule pt. „Raport o stanie gospodarki polskiej” pisze on m.in.: „Nastawione głównie na rosnącą konsumpcję społeczeństwo jest bardzo

trudne do kierowania...”. Przepraszam, a na co ma być ono nastawione — na rosnące zbrojenia? Nie mogę z takim poglądem nawet polemizować. W innym miejscu pisze Autor: „Aktualnie, gdy oczywista sytuacja życia ponad stan wymagałaby ograniczenia siły nabywczej ludności, z całą mocą staje problem, kto ma ponosić koszty tej operacji? Podobnie też kto ma ewentualnie, jeśli to konieczne, dopłacać do raczej potrzebnej reformy cen?”. Boże litościwy, więc społeczeństwo polskie żyje ponad stan? Kto to twierdzi, jakie są na to dowody? W takich kategoriach sprawy widziane pozostawmy raczej Biuru Politycznego PZPR. Na Zachodzie posiadamy niesłychanie cenną możliwość sięgania słowem pisanym tam, gdzie w kraju jest to dużo trudniejsze.

Antoni GUTOWSKI

O programie i roli PPN

1. Program PPN (*Kultura* nr. 7/8, 1976) jest niewątpliwie programem maksimum. Jak widać, budzi on takie czy inne wątpliwości (por. uwagi M. Brzosta, *Kultura*, 11, 1976) i dyskusja nad nim powinna mieć istotną wartość dla rozwoju polskiej myśli politycznej. Ponieważ ciągłość rozwoju Polski została sztucznie przerwana i dyskusje polityczne praktycznie zakazane od lat 1948/49, analiza doświadczeń 20-lecia międzywojennego i okresu powojennego pod kątem widzenia „co robić?” może być istotnym elementem w rozwoju naszej kultury politycznej i pomóc nam sprecyzować nasze poglądy odnośnie czego chcemy, gdybyśmy mogli decydować swobodnie o swoim losie. Ważne byłoby także ujawnienie — w miarę możliwości — zakresu i głębokości różnic w poglądach poszczególnych grup społecznych. W kraju rzadko dyskutuje się zagadnienia wchodzące w zakres programu maksimum i zgodność co do bieżących problemów taktycznych często maskuje fundamentalne różnice co do kwestii zasadniczych (o czym przekonałem się — z pewnym zdziwieniem, przynajmniej — w czasie pobytu w Anglii).

2. W sytuacji istniejącej w Kraju, PPN nie może się ograniczyć do sformułowania czy też poddania pod dyskusję programu maksimum. W wyniku dyskusji nad programem PPN może się ukształtować kilka „platform wyborczych”, ale ponieważ do wolnych wyborów daleko, to co jest nam potrzebne na co dzień to odpowiednik Komitetu Walki Cywilnej, dostosowany do rzeczywistości PRL lat 70-tych. W moim rozumieniu PPN winno posta-

wić sobie takie właśnie zadanie. Wydaje się, że znaczna część dalszej dyskusji powinna obracać się wokół jak to zadanie PPN może lub powinien realizować. Poniższe uwagi są zamierzone jako zapoczątkowanie takiej dyskusji.

3. PPN winien ogłosić czy też ogłaszać coś w rodzaju „wytycznych postępowania Polaka-patrioty” oraz obowiązków i postaw poszczególnych grup społecznych, np. rodziców. Chodzi tu o możliwie jasne i konkretne wskazanie narodowi i jego poszczególnym grupom jak należy postępować i co powinni robić, aby spełnić swój patriotyczny i obywatelski obowiązek w obecnych warunkach krajowych, które są niezwykle złożone pod względem ocen moralnych i obywatelskich. Ostatnia instrukcja jaką dostało społeczeństwo polskie od swego Podziemnego Rządu wyszła gdzieś w 45/46 roku i mówiła, aby „podjąć pracę przy odbudowie Kraju, ale nie wstępować do PPR ani aparatu ucisku jak UB, MO czy KBW” (cytuje z pamięci). Kto ją dziś pamięta i jakkolwiek — w moim przekonaniu — nadal w pełni słuszna, wymaga ona konkretyzacji i uzupełnień w świecie tych zagrożeń społecznych i narodowych, które ujawniły się w trakcie rozwoju tzw. Polski Ludowej.

Co powinien zawierać „Kodeks postępowania Polaka-patrioty”, tak aby był on realistyczny (nie można ani wymagać ani oczekiwać masowego bohaterstwa, zwłaszcza *à la longue*), a zarazem skuteczny, powinno być przedmiotem dyskusji o ile sama idea uznana zostanie za słuszną i celową. To samo odnosi się do „wytycznych” skierowanych do poszczególnych grup społecznych, choć tu zadanie powinno być łatwiejsze. Na przykład od rodziców trzeba żądać uczenia dzieci niezafałszowanej historii Polski i choć jednego zachodniego języka, jako drogi dostępu do nieocenzurowanych wiadomości o świecie, a często i o samej Polsce, systematycznego słuchania zagranicznych stacji radiowych itp.

Te „wytyczne postępowania” widzę jako najlepszą formę „programu minimum”, programu, który zwraca się i do wszystkich obywateli i do członków i działaczy związków zawodowych, rodziców, pisarzy, naukowców itp. i mówi im jak powinni postępować na co dzień, aby służyć swej ojczyźnie i swym współobywatelom zachowując godność osobistą. Równocześnie wyrażnie powinny być wymienione i napiętnowane formy postępowania szczególnie społecznie szkodliwego (donosicielstwo, nadgorliwość w stosowaniu sankcji za działalność nie-przestępczą, lecz w Polsce karalną etc.). Wydaje się też, że PPN nie powinno pomijać kwestii sankcji za łamanie swych zaleceń. Najbardziej ogólną sankcją — której efektywność będzie rosła w miarę wzrostu autorytetu PPN — winien być ostracyzm społeczny, który PPN winien zalecać wobec osób łamiących w sposób jawny wzory zaleconego zachowania, zgłaszanie na „czarną listę” *Kultury* lub opracowywanie i nadawanie przez Wolną Europę „portretów hańby”. Sądzę, że opracowanie i ogłoszenie listy takich „portretów” w przygotowaniu i stopniowe ich ogłaszanie (zaczynając

może od rektora Uniwersytetu Warszawskiego Z. Rybickiego?) mogłoby mieć istotną wartość prewencyjną.

4. Istnienie PPN winno być stale odczuwalne. Winno ono śledzić, sygnalizować, potępiać lub popierać wszystkie ważne wydarzenia w Polsce i starać się zwracać na nie uwagę opinii publicznej tak w kraju jak i za granicą. Dziwię się, że nie czytaliśmy jeszcze oświadczenia PPN solidaryzującego się z działalnością KOR'u. PPN również winien zająć stanowisko w sprawie działalności Episkopatu odnośnie prześladowań robotników (popierające) itp. Nie świadczy dobrze o PPN, że nie poparł dotychczas czeskiej „Karty 77” (a zrobiła to grupa uczonych węgierskich). Ale znacznie ważniejsze jest zajmowanie szybko stanowiska odnośnie aktualnie zagrożonych odcinków w Kraju. Gdy Partia wzmaga kampanie indoktrynacji — PPN winno parować analitycznym oświadczeniem połączonym z odpowiednim wezwaniem do społeczeństwa, którego zakończenie może lub nawet powinno mieć lapidarną, skrótową formę (zamiast czytać „długą mowę” słuchaj Wolnej Europy” — na znaczenie takich „sloganowych” skrótów słusznie zwraca uwagę M. Brzost).

5. PPN winno wystąpić z dobrze przemyślanym i realnym programem dezyderatów pod adresem emigracji, zarówno długofalowym jak i z apelami doraźnymi (à la KOR o fundusze dla robotników). Wszyscy wiemy, że emigracja polska jest niewspółmiernie słaba i nieefektywna w stosunku do swej liczebności i zamożności, ale to nie powinno nas, „krajowców”, hamować przed wysuwaniem pod jej adresem realistycznych dezyderatów. A nuż odegrają one rolę katalizatora?

Odnośnie zagadnień długofalowych jedną z najpożyteczniejszych funkcji, którą mogłaby emigracja spełnić jest utworzenie (odtworzenie?) Instytutu Badań Zagadnień Krajowych lub jakiegoś *School* lub *Center of Polish Studies* przy jakimś angielskim (amerykańskim?) uniwersytecie, który mógłby równolegle spełniać przy okazji rolę takiego Instytutu. Instytut taki winien prowadzić systematyczne badania nad ekonomicznymi, społecznymi i politycznymi zagadnieniami Polski współczesnej w tym zakresie w jakim nie możemy ich sami prowadzić w Kraju. Na przykład nie wydaje mi się aby nawet w oparciu o oficjalnie dostępne dane, fachowi ekonomiści nie mogli zawczasu wskazać na „przeżranie” gospodarki polskiej i jej konsekwencje, o ile nie zostanie ono w porę przyhamowane. Polityczne (a może i ekonomiczne) znaczenie istnienia takich analiz mogłoby być bardzo poważne. Ekonomiczna sekcja IBZK mogłaby również proponować alternatywne warianty koncepcji rozwoju społeczno-ekonomicznego. Zadania sekcji historycznej IBZK są oczywiste — w pierwszym rzędzie potrzebne są nam dobre podręczniki gimnazjalne i akademickie historii Polski międzywojennej i powojennej, rzecz jasna z okresem Drugiej Wojny Światowej włącznie. Najlepiej wydane przez wydawcę nie-emigracyjnego, aby wwożący do kraju nie byli oskarżeni o przywóz publikacji nie mających debitu.

Znalezienie takiego „szyldu” chyba nie jest niemożliwe. Idealnie IBZK powinien publikować, między innymi, roczne analizy rozwoju polityczno-gospodarczego kraju, koncentrując się na punktach newralgicznych, potencjalnych zagrożeniach gospodarczych czy politycznych z wysuwaniem sugestii ich zażegnania. Opracowywana na odpowiednim poziomie, publikacja taka mogłaby — w wersji angielskiej — cieszyć się dostatecznym popytem, aby pokryć (częściowo) koszty wersji polskiej.

Oczywiście zaraz posypią się głosy polskich emigrantów „nie ma na to środków”. Ha, na taką odpowiedź, my krajowcy, niewiele możemy powiedzieć poza tym, że to nas nie w pełni przekonywuje. W uniwersytecie harwardzkim Ukraińcy ufundowali wspaniały Instytut Studiów Ukraińskich. Czy Polacy nie mogą tego zrobić np. w Oxford lub Yale? Chętnie zrobimy na ten cel zbiórkę w Kraju, ale możemy zebrać tylko złotówki, tzn. ufundować np. bibliotekę Instytutu. Dolarów, niestety, nie mamy.

To co nas martwi w Kraju, to fakt, że polscy emigracyjni naukowcy z dziedziny nauk społecznych nie łączą swoich wysiłków, nie mają jakiegoś wspólnego programu badań, inspirowanych potrzebami kraju. Jednym z zadań PPN powinno być sformułowanie dezyderatów Kraju pod adresem patriotycznie nastawionej części naszej inteligencji twórczej przebywającej za granicą.

Zbigniew WĘGRZYŃSKI

Anglia, 1976/77

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 269 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Wybór ważniejszych i nadal aktualnych artykułów
światnego publicysty z okresu 1971-1976.

Str. 256.

Cena F. 40,00.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

W poprzednim numerze pisałem o tajemniczym (do tej pory nie wyjaśnionym) wybuchu w moskiewskim metrze. Obecny „przegląd” należy rozpocząć od pożarów w Moskwie. „Przegląd prasy sowieckiej” coraz bardziej przekształca się w rubrykę wypadków. Trudno jednak nie wspomnieć o trzech pożarach, które w okresie jednego tygodnia miały miejsce w Moskwie. Niewątpliwie Moskwa jest wielka i zapewne nie ma dnia bez pożarów, ale lutowe pożary, a w każdym razie dwa z nich, miały charakter specjalny. Pierwszy zapalił się hotel „Rossija”, położony na przeciwko Kremla. Jest to największy hotel w Związku Sowieckim, jeden z największych w świecie.

Oficjalne wyjaśnienie przyczyn pożaru — krótkie spięcie w windzie. To oficjalne stwierdzenie spowodowało natychmiast mnóstwo zapytań i wątpliwości. Odpowiedzi na te pytania nie ma do dziś dnia, mimo że upłynął już przeszło miesiąc. Korespondentom zagranicznym, bezwzględnie odganianym od „Rossiji” — natychmiast otoczonej kordonem policji — udało się jednak sfotografować fasadę hotelu a na fotografii widać wyraźnie szereg ośrodków pożaru. Wersja oficjalna wywołała wątpliwości również dlatego, że „Rossija” (trafniej byłoby nazwać ten hotel „Związek Sowiecki”) nie była podobna do żadnego hotelu na świecie (to znaczy była czysto sowiecką). Na przykład windy. W „Rossiji” są one automatyczne. Tym niemniej w każdej windzie jest windziarka, a na każdym piętrze — prócz dyżurnych — jest windziarz. I — ma się rozumieć — jest także główny windziarz, odpowiedzialny za swoich podwładnych. Przy tej całej armii windziarzy trudno sobie wyobrazić, by pożar powstał właśnie w windzie.

Następnie wybuchł pożar w Ministerstwie Marynarki Handlowej — prawie *vis-à-vis* gmachu KGB. I tu także wszystko jest niezrozumiałe — pożar wybuchł późnym wieczorem, kiedy w gmachu nie powinno być nikogo z pracowników. Trzeci pożar —

sklepik z owocami przy Dworcu Kijowskim — nie wzbudziły zainteresowania dziennikarzy zagranicznych, gdyby nie nastąpił bezpośrednio po dwóch innych i gdyby nie było — według zeznań sąsiadów — wybuchu.

Ponure milczenie sowieckiej prasy, które wzniesło mnóstwo panikarskich plotek w Moskwie, kontrastuje z naturalnym zainteresowaniem prasy światowej. Zresztą ponieważ nie ma żadnych informacji — ani oficjalnych, ani nieoficjalnych — dziennikarze ograniczają się do interpretowania nielicznych znanych faktów. W większości pism światowych można odczytać między wierszami przekonanie, że zarówno moskiewskie pożary, jak i wybuch w metrze, są prowokacją KGB. Andriej Amalrik w wywiadzie udzielonym paryskiej *Russkoj Mysli*, z wrodzoną mu stanowczością oświadczył: „Twierdzę, że wybuch w metrze to robota KGB, aby otrzymać *carte blanche* w walce z inaczej myślącymi”. Przypuszczenie to nie jest pozbawione podstaw: KGB i wszystkie poprzedzające formacje: WCzK-a, OGPU, NKWD posługiwały się prowokacją jako najlepszą bronią. Ale jeśli przyjrzymy się prowokatorskim, terrorystycznym działaniom sowieckich „organów”, to trzeba zwrócić uwagę na jeden ważny szczegół: nazwisko oskarżonego było znane jeszcze przed faktem dokonaniem. Jeszcze nie zdążył się rozwiać dym nad domem nr 3/6 na Małej Łubiance, jak *Prawda* (z 6. 7. 1927 r.) opublikowała oświadczenie: „Szczegóły ostatniej 'operacji' białogwardystów na terytorium sowieckim. Rozmowa z zastępcą przewodniczącego OGPU”. Wybuch na Małej Łubiance był dziełem prowokacyjnej organizacji „Trust”. Ledwo umilkło echo wystrzału, który w dniu 1 grudnia 1934 roku zabił Kirowa na korytarzu Smolnego, a już *Prawda* ogłosiła komunikat o rozstrzelaniu białogwardyjskich szpiegów, którzy dokonali tego zamachu. A potem, przez blisko cztery lata, nie zaprzestano aresztowań i rozstrzeliwania „zabójców Kirowa”.

Zresztą wybrać zawczasu ofiarę — „sprawcę” aktu terrorystycznego, stanowi ABC każdej akcji prowokatorskiej. Jeszcze nie zdążył zapalić się Reichstag, a Göring już wiedział kto go powinien być podpalić.

I odwrotnie — jeśli sprawca nie jest przygotowany, to można go w ogóle nie znaleźć. Skoro mowa o moskiewskich pożarach, to mamy znakomity precedens historyczny: 28 maja 1862 roku w Petersburgu zaczęły wybuchać pożary. Jeden po drugim płonęły domy stolicy rosyjskiego imperium, tak że Fiodor Michajłowicz Dostojewski uważał za niezbędne udać się do Czernyszewskiego i prosić go „by to wszystko zahamował”. Podpalaczy do dnia dzisiejszego nie odnaleziono (co prawda Czernyszewskiego aresztowano półtora miesiąca później, ale nie z powodu tej sprawy).

Dzisiaj o wybuchach i pożarach w Moskwie można powiedzieć jedno: w każdym wypadku są to symptomy kryzysu społecznego. Nawet w wypadku, gdyby to była prowokacja KGB, gdyż tego rodzaju „spektakle” organizuje się zawsze w trudnych chwilach.

Jeśli zaś byłoby to dziełem terrorystów — to i oni zjawiają się w okresach kryzysu.

Ważniejszym wydarzeniem w okresie lutego i marca bież. roku były jednakże nie pożary i wybuchy moskiewskie, a oficjalne uznanie istnienia sowieckiej opozycji. 5 lutego br. prezydent Stanów Zjednoczonych Carter, wysłał list do akademika Andrieja Sacharowa, w którym pisał m.in.: „Może pan być przekonany, że naród amerykański i mój rząd będą twardo walczyć o przestrzeganie praw człowieka nie tylko w naszym kraju, ale również poza jego granicami”. Andriej Amalrik po audiencji u premiera Holandii zjawił się w Paryżu i domagał się audiencji u prezydenta Francji, który go nie przyjął. Jednakże sowiecki dysydent nie tylko „oblegał” przez cały dzień Pałac Elizejski, ale przez cały tydzień jego nazwisko nie schodziło ze szpałt całej francuskiej prasy; tylko o nim mówiono w radio, występował w telewizji. Gdy zjawił się w NRF został natychmiast przyjęty przez ministra. 1 marca br. prezydent USA przyjął Władimira Bukowskiego. Amerykanie długo się wahali i Carter rozmawiał z Bukowskim tylko 10 minut, a fotografowie nie zostali dopuszczeni. Możliwe, że dla opinii amerykańskiej ma znaczenie fakt, że prezydent rozmawiał nie przez godzinę, a jedynie 10 minut, ale dla przywódców sowieckich i sowieckich obywateli znaczenie ma tylko jedno: prezydent USA rozmawiał z Władimirem Bukowskim w Białym Domu. *Prawda* skomentowała to w sposób bardziej niż precyzyjny: „Prezydent USA Carter przyjął wczoraj Bukowskiego, kryminalnego przestępcę, wyrzuconego ze Związku Sowieckiego, znanego jako aktywny przeciwnik stosunków amerykańsko-sowieckich”. O długości spotkania — ani słowa. Tylko o samym fakcie. O fakcie kolosalnego znaczenia.

Po raz pierwszy od 1922 roku, od zakończenia wojny domowej, Zachód uznał istnienie opozycji w Związku Sowieckim. Po raz pierwszy przestano widzieć ZSSR jako monolit, na którym nie ma żadnej rysy. O znaczeniu tego faktu może świadczyć również zgoda Ministra Spraw Zagranicznych Holandii, który przyjechał z oficjalną wizytą do Pragi, na przyjęcie jednego z autorów „Karty 77”. Do tej pory takie prawa mieli tylko sowieccy liderzy: Breżniew zjawiając się w Paryżu rozmawiał najpierw z prezydentem Francji, a zaraz potem z generalnym sekretarzem francuskiej kompartii — Marchais...

Wszystko może się zdarzyć. Zachód może cofnąć swoje uznanie, a Związek Sowiecki robi wszystko by to osiągnąć — by zlikwidować skutki uznania przez Zachód opozycji sowieckiej.

Wewnątrz kraju wzrasta terror — plan walki z „inaczej myślącymi” staje się coraz bardziej wyraźny. Metody zostały zatwierdzone. W poprzednim „przeglądzie” pisałem, że po aresztowaniu Aleksandra Ginsburga *Litieraturnaja Gazieta* ogłosiła donos „skruszonego” dysydenta, w którym Ginsburg był oskarżony o przestępstwa kryminalne, związane z cudzoziemcami. 4 marca br. już nie *Litieraturnaja Gazieta*, a organ rządowy —

opublikowały list „skruszonego” Żyda Lipawskiego, z którego ni mniej ni więcej wynika, że „Dysydenci sowieccy są agentami C.I.A.”. Donosiciel pisze: „Na swych zebraniach dysydenci stale omawiają sprawę pomocy dla Amerykanów w uzyskiwaniu poufnych naukowych, technicznych i wojskowych informacji”. Listonosz opublikowano 4 marca 1977 roku, ale powtarza on całkowicie i dosłownie teksty listów, którymi były wypełnione szpalty *Izwestii*, *Prawdy* i innych pism sowieckich w kulminacyjnym punkcie walki z kosmopolityzmem i syjonizmem w 1952 i na początku 1953 roku. Donosiciel dodaje: „Idzie tu o pomoc agentom C.I.A., maskującym się w Moskwie jako oficjalni przedstawiciele”. W długim komentarzu do tego donosu „dziennikarze” gazety stawiają kropki nad i: agenci C.I.A. w Moskwie to pracownicy ambasady amerykańskiej, wszyscy dobrani, ze znanymi obywatelom sowieckim nazwiskami: Natanson, Lewicki, Prezel. Wymieniono także pomagających agentom „dysydentów o również „znajomych” nazwiskach.

Sprawdzone, dziesiątkami lat stosowane formy terroru nie dają dzisiaj gwarancji skutecznego zniszczenia „inaczej myślących”. Przede wszystkim dlatego, że ściany Związku Sowieckiego stają się jakby bardziej przezroczyste: o sytuacji w świecie socjalistycznym wie się coraz więcej i coraz więcej przychodzi stamtąd informacji. Korespondenci zachodni zaczynają się mniej bać pisać o tym co widzą i coraz częściej zjawiają się tam, gdzie nie powinni — jak np. przy pożarze „Rossiji”, lub 8 marca bież. roku na Placu Czerwonym w tej samej chwili, w której grupa sowieckich Niemców rozwinęła plakaty z hasłami domagającymi się prawa wyjazdu z ZSSR. Ludzie po cywilnemu, którzy zaprowadzili zachodnich korespondentów na milicję, przygadywali: — wszystkich dziennikarzy należałoby wygnąć, jak również i turystów!

Niewątpliwie należałoby tak postąpić, ale Zachód jest bardzo Związkowi Sowieckiemu potrzebny. Dlatego też wobec akredytowanych w Moskwie korespondentów stosuje się taktykę zastraszania, szantażu, prowokacji. Tym niemniej jednak sowieccy przywódcy widzą konieczność walki nie tylko z zachodnimi dziennikarzami, ale i z informacjami które ogłaszają, a które docierają do obywateli sowieckich.

25 lutego br. *Prawda* opublikowała na pierwszej stronie wielki artykuł w którym niektóre lokalne organizacje partyjne zostały skrytykowane za „formalizm” w propagandzie. *Prawda* domaga się ulepszenia propagandy. Jeśli terror — to knut, jeśli propaganda — to pierniczek. Jeśli nie może być wątpliwości co do rzeczywistości knuta, to propaganda jest sztucznym pierniczkiem. Sowieckim propagandystom postawiono zadanie — odpowiadać na pytania, które jawnie stawia się na Zachodzie i — coraz głośniej — w samym Związku Sowieckim. Propagandystów sowieckich zmuszono do publikowania w sowieckich pismach takich pytań jak: „Czy w ZSSR prześladowane są inaczej myślących?”

„Czy w ZSSR narusza się prawa obywatelskie?”, „Dlaczego ZSSR kupuje zboże w USA?”.

Propagandyści sowieccy będą zmuszani do stawiania takich pytań tak długo dopóki będą mogli na nie odpowiadać. Nie ma wątpliwości, że w Związku Sowieckim obecnie starannie się bada doświadczenia Goebbelsa w dziedzinie oszukiwania społeczeństwa i przygotowywania kłamstw.

Na wszystkie „drażliwe” pytania wypracowuje się jedyną odpowiedź, powtarzaną dosłownie przez całą sowiecką prasę.

„Czy prześladowane są w ZSSR inaczej myślących?” — na to pytanie kierunkową odpowiedź dał pierwszy zastępca ministra sprawiedliwości, Witalij Aleksandrow. Początkowo została ona ogłoszona w *Litieraturnoj Gazecie*, potem w przeznaczonym dla cudzoziemców piśmie *Sputnik*. Brzmiała zaś jak następuje: „Gdy mowa o rzekomych prześladowaniach inaczej myślących w ZSSR, to świadomie miesza się dwa pojęcia: sposób myślenia i określone, konkretne działanie”. Zastępca ministra sprawiedliwości dopuszcza — jest to dla niego niewątpliwie ogromny krok w kierunku liberalizmu — że w ZSSR obywatel może myśleć „inaczej”. Jeśli jednak te myśli są wypowiedziane — to tutaj zaczyna się już „konkretne działanie”. Wtedy już — wybaczenie i nie miejcie pretensji! — podpada to pod surowe prawa sowieckie. Aleksandrow przytacza tu przykład „niejakiego Bukowskiego”, który „za konkretne, bezprawne działania” był sądzony w 1963 roku, ponownie w 1967 roku i wreszcie w 1972 roku, aż w końcu — w grudniu 1976 roku — wyrzucony z ZSSR.

Zastępca ministra sprawiedliwości zadaje się drugie pytanie: „Na Zachodzie często twierdzi się, że w ZSSR prześladowane są jakoby za przekonania religijne i że wierzący są przedmiotem represji, do kar przewidzianych w kodeksie karnym włącznie. Odpowiedź: „W naszym kraju nie ma różnic w prawach obywateli w zależności od ich przekonań religijnych...”. Mało tego, w dyspozycji wierzących jest „więcej niż 20 tysięcy cerkwi, kościołów, meczetów, synagog itd.”. Nie jest to znów tak dużo na 250 milionów ludności, ale i ta liczba wywołuje wątpliwości. W maju 1976 roku zastępca przewodniczącego Rady do Spraw Religijnych przy Radzie Ministrów ZSSR oświadczył, że w republikach, gdzie jest rozpowszechniony islam, na czterdzieści z czymś milionów ludności jest 1.000 meczetów. Z pisma *Sputnik* (nr 3 z 1977 r.) dowiadujemy się, że na przeszło dwa miliony Żydów istnieją w ZSSR 32 synagogi. Cerkwi prawosławnych nie ma więcej jak 10 tysięcy. Możliwe, że rachunek się zgodzi, jeśli uwzględnimy „itd.” podane przez zastępcę ministra sprawiedliwości. Zresztą dodaje on, że: „Nie każda wspólnota religijna u nas... znajduje się pod opieką prawa”.

Odpowiedzi zastępcy ministra sprawiedliwości należą do gatunku „dialektycznych”. Są to odpowiedzi, które można by nazwać „wymijającymi”. Np. w odpowiedzi na oskarżenie naruszania uchwał Konferencji w Helsinkach cała sowiecka prasa odpo-

wiada: „W większości krajów zachodnich przeciętni ludzie nie mogą znać rzeczywistej treści końcowego aktu uchwał helsińskich...” (*Izwiestia*, 6. 3. 1977 r.). Nie znają i nie mogą znać, gdyż prasa burżuazyjna zataiła ich treść przed „przeciętnymi” obywatelami. W rzeczywistości bowiem o takich „prawach” nie ma tam ani słowa. I nawet w dziale listów do Redakcji *Time* (14. 3. 1977 r.) znalazłem list dziennikarza moskiewskiego, Władimira Misiuczenko, oświadczającego że autorzy artykułu o rzekomych naruszeniach przez ZSSR „ducha Helsinek” po prostu nie znają tekstu uchwał.

Istnieje rodzaj odpowiedzi, których nie można nazwać inaczej niż idiotycznymi, gdyż przeznaczone są one dla idiotów. Do tego rodzaju odpowiedzi zalicza się na przykład oświadczenie prezydenta Akademii Gospodarki Rolnej P. P. Łobanowa (*Litieraturnaja Gazieta*, nr 8 z 1977 r.). Dziennikarz zadaje akademikowi pytanie — jak zwykle sugerując odpowiedź: „Powszechnie jest wiadomo, że Związek Sowiecki jest jednym z największych producentów zboża na świecie. Nie tylko zaspakaja on własne potrzeby, ale dostarcza zboże do innych krajów. W tym samym czasie ZSSR kupuje zboże w USA, Kanadzie i innych krajach. Zakup i sprzedaż zboża jest normalną praktyką w handlu międzynarodowym. Co Pan może powiedzieć w tej sprawie?”. Akademik wie co odpowiedzieć: „Zakupywaliśmy i sprzedawaliśmy zboże przez wszystkie lata i uważamy to za zupełnie normalne w warunkach wzrastającego handlu międzynarodowego... (to jest powtórzenie odpowiedzi zawartej już w pytaniu — ale akademik idzie dalej — A.K.). Nie tylko nie robimy tajemnicy z naszych zakupów (do tej pory prasa sowiecka całkowicie milczała o zakupach zboża — A.K.), ale jesteśmy gotowi dać wyjaśnienia tym, którzy uczciwie chcą zapoznać się z tym problemem: bardziej się nam opłaca przywożenie zboża na Daleki Wschód z Ameryki, niż przewożenie go koleją przez cały kraj, powiedzmy z Ukrainy”.

Akademik już na początku przestrzega: odpowiada tylko tym, którzy „uczciwie” chcą się zorientować, to jest tym, którzy gotowi są uwierzyć wszystkiemu, co mówi przedstawiciel władzy sowieckiej. Ci wszyscy, którzy chcieliby się na przykład zapytać, czy rzeczywistość mało zaludnionemu Dalekiemu Wschodowi potrzebne są miliony ton zboża zakupionego w USA i Kanadzie, albo dlaczego zakupowane „dla Dalekiego Wschodu” zboże wiezie się do portu w Odessie, tj. na Ukrainę — wyraziliby tym samym niedowierzanie i „odmienne poglądy” w formie „konkretnego działania”...

Znakomity przykład „idiotycznej” odpowiedzi znajdujemy też w piśmie *Ogoniok* (nr 4 z 1977 r.). W 1974 roku Aleksander Sołżenicyn opublikował książkę zmarłego sowieckiego historyka literatury, poświęconą autorstwu „Cichego Donu”. W książce tej przytoczono szereg argumentów na dowód, że autorem tej powieści nie był Michał Szołochow. Między innymi argumentami był i taki: Jest dziwne, że nie ma rękopisu „Cichego Donu”. W czasie obchodów związanych z 70-tą rocznicą urodzin Szolo-

chowa liczni wielbiciele sowieckiego klasyka starali się ostrożnie i aluzyjnie odpowiedzieć na zarzut plagiatu. Ale rękopisu „Cichego Donu” jak nie było, tak nie ma. I nagle się znalazł. Okazuje się — jak informuje *Ogoniok* — rękopis istnieje. Co prawda jedynie 137 stron. Znalaziono je w czasie wojny. W 1968 roku przekazano je badaczowi twórczości Szołochowa K. Primie. I dopiero teraz — dlaczego? — oddano je do archiwum Instytutu Literatury Rosyjskiej Akademii Nauk ZSSR. Fotokopię (!) dwóch stron rękopisu przekazano Bibliotece Królewskiej w Sztokholmie, by przekonać wszystkich akademików, że Nagroda Nobla została słusznie przyznana. Fotokopia powinna być świadectwem autorstwa Szołochowa.

Są także odpowiedzi „ostrzegawcze”. Riazańska gazeta rejonowa, *Priokskaja Prawda*, zadaje pytanie, które — jak można się domyślać — stawia sobie wielu jej czytelników: „Czyż nie można słuchać zachodnich radiostacji — przeciw tego nikt nie zakazał?”. Gazeta odpowiada: „Jeśli kierować się tak naiwną logiką, to można kontynuować serię podobnych pytań aż do absurdu. Z takim samym powodzeniem można by dyskutować, czy można wejść pod koła pociągu w ruchu, lub wyskoczyć z wysokiego piętra — tak po prostu dla zasady?”.

Dalej opowiada się o „byłym radcy prawnym jednego z miejskich przedsiębiorstw samochodowych, niejakim Daniluku”, który „zszedł na złą drogę. Przez szereg lat systematycznie słuchał antysowieckich audycji...”.

„Zła droga” doprowadziła Daniluka do więzienia: „Prokuratura była zmuszona pociągnąć oszczercę do odpowiedzialności karnej i został skazany przez sąd rejonowy”.

I wreszcie istnieją odpowiedzi „naukowe”. Miesięcznik *Sibirskie Ognie* (nr 12 z 1976 r.) zamieścił powieść Anatolija Czernousowa pt. „Obcy”, w której autor stara się dać odpowiedź na pytanie, najwidoczniej coraz bardziej interesujące jego rodaków: Czy jest Bóg? Można by się ironicznie uśmiechnąć widząc niewielką opowieść, w której jasno i precyzyjnie rozwiązuje się sprawę, którą ludzkość interesuje się już nie pierwszy rok. No, ale to jest sowiecka powieść sowieckiego pisarza.

Zresztą gdyby Anatolij Czernousow ograniczył się do beletrystyki, to jego powieść nie byłaby gorsza od licznych powieści wypełniających szpalty sowieckich czasopism. Tematem „Obcych” jest historia miłości wykładowcy Instytutu i studentki. Młodzi ludzie nawzajem się kochają, ale okazuje się, że są „obcy”, gdyż dziewczyna pochodzi z rodziny religijnej. Gdy zaszła w ciążę, przejęta poczuciem grzechu — popełnia samobójstwo. Ta linia powieści doskonale oddaje psychikę współczesnej młodzieży sowieckiej, która interesuje się wyłącznie dzinsami, magnetofonami i zachodnimi tańcami! Zderzenie się takiego młodego sowieckiego człowieka z religią, z wierzącymi, przypomina spotkanie mieszkańców dwóch różnych planet. Bohater powieści, Walery Klimow, podejmuje próbę wyjaśnienia swojej ukochanej Linie, a jednocześnie jej rodzicom, że Boga nie ma. W tym celu,

przy pomocy przyjaciela, filozofa marksisty Sieni, w dwa, trzy tygodnie „opanowuje Biblię”, potem Kanta, filozofię egzystencjalizmu, Nietzschego itd. itp. Tak uzbrojony — rozpoczyna walkę: „udowadnia”, że „Chrystusa nie było”. Filozof-marksista — Sienia — przekonał Walerija Klimowa: „Nie ma historycznego Chrystusa, nie ma więc i chrześcijaństwa”. I Walerij raz dwa udowadnia: Chrystusa nie było. Jednakże, nie wiadomo dlaczego, jego argumenty nie miały magicznego wpływu ani na rodziców Liny, ani na samą dziewczynę. Wierząca Lina powiesiła się, a niewierzący w Boga Walerij Klimow znalazł pocieszenie w pracy.

Strony powieści Czernousowa, w której „naukowo” udowadnia nieistnienie Chrystusa i Boga, wydają się dosłownym powtórzeniem świetnej rozmowy z diabłem z „Mistrza i Małgorzaty” Bułhakowa. Przeszło już prawie czterdzieści lat i nadal sowieckich obywateli nurtują pytania, na które władza daje nikogo nie zadowolające odpowiedzi.

Adam KRUCZEK

Kronika litewska

Zmarły Antanas Venclova był znanym lewicowym pisarzem, później komisarzem oświaty, profesorem, prezesem Związku Pisarzy Litewskich, członkiem centralnego komitetu kompartii, jednym słowem politrukiem życia kulturalnego sowieckiej Litwy. Jego syn, Tomas, również pisarz, poeta i wybitny tłumacz literatury polskiej, jawnie wyrzekł się komunistycznego systemu i domagał się wypuszczenia go za granicę. Ostatnio był członkiem litewskiego komitetu dla rejestrowania sowieckich wykroczeń przeciw uchwałom w Helsinkach, a w styczniu bież. roku przybył szczęśliwie do Paryża, skąd wyjechał do USA na skutek niestrudzonych zabiegów Czesława Miłosza. ■ Litewskie ośrodki uchodźcze mają listę 400 litewskich więźniów politycznych w Sowietach i twierdzą, że jest to tylko mała część uwięzionych, nie objętych rejestracją. Przesyłki do łagrów nie mogą być wysyłane zza granicy. Można im pomagać jedynie za pośrednictwem krewnych zamieszkałych w Sowietach. ■ Pomimo terroru istnieją na Litwie tajne zakony żeńskie, zajmujące się rozpowszechnianiem literatury religijnej i katechizacją dzieci. Ukraiński pop unicki F. Prokopow, który osiadł na Litwie dla pracy duszpasterskiej wśród tam zamieszkałych Ukraińców został osadzony w zakładzie psychiatrycznym. Baptyści na Łotwie wydają swój „samizdat” pt. „Kruszyny chleba”. W Sowietach istnieje ruch ekumeniczny łączący prawosławnych Rosjan, katolickich Litwinów i luterkańskich Łotyszów, mający kontakt z podobnymi ugrupowaniami w Polsce i Czechosłowacji. Organizują oni wspólne nabożeństwa zwane „Agape”. ■ Według urzędowych danych sowiecko-litewskich za rok 1974, w szkołach republiki było nieco ponad milion dzieci i młodzieży. Na 544 tys. w szkołach ogólnokształcących pobierało naukę w językach: litewskim — 84,6 %, w rosyjskim 12,1 %, w polskim — 3,3 % (18 tys.). Na wyższych uczelniach (61 tys.) podział według

narodowości był następujący: Litwini — 84,6 %, Rosjanie 10,6 %, Polacy 1,9 % (1.140), Żydzi 1,1 %, Ukraińcy i Białorusini po 0,8 %, Łotysze 0,2 % i inni 0,3 %. Prasa emigracyjna dowodzi, że „spolszczeni Litwini” o wiele prędzej się rusyfikują niż Litwini, i dlatego władze sowieckie podtrzymują polskość na Wileńszczyźnie. To podtrzymywanie wydaje się problematyczne skoro po 30-tu latach Polacy mają procentowo cztery razy mniej studentów i dwa i pół razy mniej gimnazystów niż inne narodowości. Polaków niedawno było na Litwie ponad 8 %, a ostatnio rzekomo ponad 7 %. ■ Przeciętne zarobki miesięczne pracowników fizycznych i umysłowych były w poszczególnych dziedzinach następujące: w budownictwie — 172 rb., oświaty i kultury — 127 rb., sztuki — 115 rb., transportu — 103 rb., nauki — 142 rb., zaś przeciętny zarobek ogółu pracowników 134 rb. Nie obejmuje to rolnictwa, gdzie zarobek dzienny wynosił 5,89 rb. ■ Stan rolnictwa w Republice przedstawia się następująco: 282 sowchozy, 1.157 kołchozy, 250 tysięcy gospodarstw — rodzin. Przeciętny kołchoz miał 217 rodzin pracowniczych, 800 sztuk zwierząt domowych i 25 traktorów. Ogólna ilość traktorów w rolnictwie — 25 tysięcy. Proste mnożenie wykazuje, że cyfry traktorów nie zgadzają się, ale to jest sowiecka statystyka. ■ *Z litewskiej prasy emigracyjnej.* Bałtowie w Niemczech Zachodnich otrzymali pisma z ambasady sowieckiej, zawiadamiające, że są nadal uważani za obywateli sowieckich i mają składać podania o ewentualne zwolnienie z tego obywatelstwa. Do podania należy załączyć przekaz na 100 DM. ■ *TeviŠkes Žiburiai* w artykule „Potrzebni przyjaciele, ale prawdziwi” cytuje wypowiedzi prezydenta Ostrowskiego i uchwały Kongresu Polonii Kanadyjskiej o granicach traktatu ryskiego, i kończy słowami: „To samo dotyczy Rosjan, nawet nie komunistów. Nie chcą oni Rosji komunistycznej, ale jednak chcą zachowania dzisiejszych granic. Zmarły J. Mieroszewski, współpracownik polskiego czasopisma w Paryżu *Kultura* pisał, że wśród polskiego wychodźstwa można by znaleźć nie jedną grupę anty-komunistyczną, z którą by nie chciał współpracować. Jego zdaniem Wilno winno należeć do Litwy, Lwów do Ukrainy. Niestety wśród Polaków nie dużo jest takich, jak Mieroszewski”.

E. ŻAGIELL

Kronika niemiecka

Hamburski tygodnik *Der Spiegel* ogłosił obszerny wywiad z Jackiem Kuroniem, rzecznikiem KOR-u: w PRL „aparatus bezpieczeństwa zbudował się wobec kierownictwa politycznego. Nie podlegająca kontroli machina urosła do potęgi i oddziaływanego państwa”. ■ Zawsze pełen optymizmu kanclerz Schmidt zaproponował premierowi Callaghanowi powołanie komisji obu krajów do spraw rewizji podręczników szkolnych. Jako „dobry przykład” podał efekty pracy komisji UNESCO PRL i NRF. Tak wygląda „eksportowa” strona medalu. Natomiast „wewnętrzna” strona nie jest aż tak różowa. Na małym kongresie SPD Schmidt skrytykował fakt, że mimo zobowiązań wprowadzenia zaleceń tych komisji w życie, w NRF nie się w tym kierunku nie robi, tak w *Landach* rządzonych przez SPD, jak i w krajach federalnych, gdzie rządy sprawuje CDU (w dwóch wypadkach w koalicji z FDP) bądź CSU. Warto dodać, że PRL traktuje zalecenia komisji UNESCO po swojemu, tzn. wprowadzane są one w życie tam, gdzie zgodne są z obowiązującą ideologią. ■ Polonia w Berlinie Zachodnim liczy ok. 7 tys.

osób. Rekrutuje się głównie z potomków emigracji zarobkowej z początku XX-go wieku. Największą liczebnie organizacją jest Zjednoczenie Polaków. Związek Polaków w Niemczech (ZPwN) z siedzibą w Bochum, posiada w Berlinie dwa oddziały. Życie polonijne w Berlinie Zachodnim jest niemalże całkowicie kontrolowane przez tamtejszą Polską Misję Wojskową. ■ Związek Polaków w Niemczech z siedzibą w Bochum, największa organizacja polonijna w Republice Federalnej, obchodzić będzie w przyszłym roku 55-lecie istnienia. Prezes ZPwN ksiądz Edmund Forycki, odbył w związku z tym kolejną podróż do Polski. A oto fragment jego wypowiedzi opublikowanej w warszawskich *Perspektywach*: „Przyjechaliliśmy tu, by dać wyraz znaczeniu, jakie przywiązuje nasza organizacja do stałych i systematycznych kontaktów z Macierzą. Mieliśmy też okazję odbyć pożyteczne rozmowy w kierownictwie *Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną 'Polonia'*, gdzie spotkaliliśmy się ze szczególnie życzliwym przyjęciem”. ■ Zachodniemiecki pisarz, laureat nagrody Nobla, Heinrich Böll, szwajcarski dramaturg Max Frisch i zachodniobermberski teolog prof. Helmut Gollwitzer, zwrócili się z apelem o „wyrażenie solidarności z polskimi intelektualistami i robotnikami w formie pomocy finansowej dla ofiar brutalnych represji”. Do apelu przyłączyła się pisarka Ingeborg Drewitz, która w tym celu oddała do dyspozycji swoje konto (*Berliner Disconto Bank, Konto-Nr. 123/8666*). ■ Ambasador PRL w Bonn Waclaw Piątkowski ma zostać niebawem odwołany. Z grona kandydatów ubiegających się o to stanowisko najwięcej szans posiada prof. Marian Dobrosielski, h. amb. PRL w Londynie, a obecnie p/o dyr. *Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych*. ■ W Warszawie podpisano porozumienie o współpracy między Związkiem Literatów Polskich a Związkiem Pisarzy NRD na rok 1977. Porozumienie podpisali: wiceprezes ZG ZLP — Jerzy Putrament i I sekretarz ZG Związku Pisarzy NRD — Gerhard Henniger. ■ Teatr *Schauspielhaus* w Kolonii wystawi w październiku bież. roku dramat Stanisława Witkacego — *Szewcy*, w inscenizacji Jerzego Jarockiego. ■ Prof. Erwin Koschmieder, wybitny slawista niemiecki, długoletni wykładowca na Uniwersytecie w Monachium, zmarł w miejscowości Ebersberg/Bawaria w wieku 81 lat. Przed wojną prof. Koschmieder wykładał na Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie; był założycielem i wydawcą pisma *Die Welt der Slawen* (Świat Słowian). ■ We frankfurckim wydawnictwie *Insel Verlag* ukazała się kolejna powieść Stanisława Lema pt. *Summa technologiae*. Przekładu dokonał Friedrich Griese. ■ W mieście Giessen w Hesji powstało *Niemieckie Towarzystwo im. Janusza Korczaka*. Jego zadaniem będzie popularyzowanie dzieł tego wybitnego pedagoga, lekarza i pisarza. Towarzystwo ufundowało nagrodę w wysokości 5 tys. marek, która będzie przyznawana za wybitne osiągnięcia na polu pediatrii, w praktyce wychowawczej oraz w dziedzinie literatury dziecięcej. Nagroda zostanie przyznana po raz pierwszy w setną rocznicę urodzin Janusza Korczaka — 22. 7. 1978 roku. Założycielem towarzystwa i inicjatorem centrum badań korczakowskich w Giessen, jest wykładowca tamtejszego Uniwersytetu im. Justusa Liebiga — prof. filozofii Erich Dauzenroth. Przygotowywane są obecnie niemieckie wznowienia popularnych książek dla dzieci Janusza Korczaka: *Król Maciuś Pierwszy* i *Bankructwo małego Dżeka*. W 1972 roku *Niemiecki Związek Księgarzy* przyznał pośmiertnie Januszowi Korczakowi nagrodę pokojową. Jego imię noszą liczne szkoły i zakłady pedagogiczne w Republice Federalnej. ■ Teatr Tadeusza Kantora *Cricot II* wystawił w Norymberdze i Erlangen sztukę *Die tote Klasse*. ■ W galerii *Paula Becker-Modersohn* w Bremie otwarto wystawę obrazów Andrzeja Strumiły. ■ Rząd PRL zaproponował za pośrednictwem UNESCO stypendia dla zachodniemieckich absolwentów slawistyki i nauk historycznych, interesujących się językiem i dziejami Polski.

Andrzej J. CHILECKI

Sprawy i troski

Apolityczność

„Miałeś chamie złoty róg...”

Od strony PRL emigracja polska dzieli się na „dobrą” (tzn. politycznie obojętną lub „dyskretną”) oraz na „zaciekłych wrogów władzy ludowej” (tj. tych, którzy pyskują i nie dają się zastraszyć odmową wizy). Z punktu widzenia PZPR emigrantem idealnym jest technik lub handlowiec skrzętnie ukrywający swoje poglądy polityczne — oczywiście jeżeli są „sprzeczne z interesami władzy ludowej”. Ideał taki uczestniczy w imprezach organizowanych przez Towarzystwo Polonia, nie poruszając nawet przy wódce tematów drażliwych; deklaruje gotowość dopomożenia Polsce w przewyciężeniu (chwilowych naturalnie) trudności gospodarczych, po czym wraca skacowany do domu — do Anglii, Francji czy Stanów — gdzie opowiada znajomym, że wprawdzie komunizm mu osobiście nie odpowiada, ale wcale z tą Polską nie jest tak źle.

Oszukiwalibyśmy samych siebie, gdybyśmy udawali, że taki wyższość przez propagandystę partyjnego „Polonus” stanowi na emigracji rzadkość. Stosowana od pewnego czasu wobec Polonii metoda kija i marchewki, sprytnie przy tym spowita w woal załotności, przynosi partii wcale niemałe rezultaty.

Kij — to przede wszystkim odmowa wizy. Nie jest to bynajmniej rzecz drobna ani bezbolesna. Dla wielu Polaków mieszkających za granicą, pobyt w Polsce — to nie tylko spotkanie z bliską nieraz rodziną i starymi przyjaciółmi. To również ogromne przeżycie duchowe — eksplozja sentymentów etnicznych i kulturowych. Dla wielu innych, to po prostu wspaniały ubaw — takie gigantyczne „pójście w tango” na życiową skalę. Nie lekceważmy uczuć przeciętnego w swoim kraju polskiego Amerykanina czy Anglika, który — dzięki ekonomiczno-społecznym dziwnościom ludowej Polski — może przez te dwa tygodnie zgrywać się na milionera, super-birbanta i playboya, na które to role

nie może sobie pozwolić w domu ze względów finansowych, prestiżowych czy innych.

Jest też i trzecia kategoria Polonusów — chyba najbardziej obawiająca się owego wizowego kija. Są to ludzie, dla których — z racji ich pieniędzy lub wpływów w kraju zamieszkania — władza ludowa wytacza purpurowy dywan na Okęciu. Kamery telewizyjne, mikrofony, bankiety u ministrów, wywiady prasowe — wszystko to uderza do głów, i to niekoniecznie tylko najsłabszych. Ludzi zamożnych, a nawet bogatych, jest w końcu na Zachodzie dużo, ale tylko nieliczni stają się obiektem publicznej uwagi czy oficjalnych honorów. Lepszy zatem minister ludowo-demokratyczny niż żaden...

Potem, po powrocie do domu, opowiada się o „apolityczności”; o tym, że „my przecież wszyscy Polacy”, że „jeden naród nad Wisłą”, etc. Nie mówi się tylko o jednym, o najważniejszym, jedynie liczącym się w historycznej perspektywie: o prawie tego narodu nadwiślańskiego do niepodległości; do życia i urzędowania się po swojemu; do wyrwania się wreszcie z tego bizantyjsko-średniowiecznego kotła, do którego został prawem kaduka wtłoczony.

O tych sprawach zatem się nie mówi. „Apolityczność” nie pozwala. Słowo „niepodległość” znalazło się na cenzurowanym wśród tych Polonusów, których władza ludowa zaszczyca lampką wódki w ministerialnym salonie tudzież wzmianką na trzeciej stronie *Życia Warszawy*. Cel został osiągnięty. Ideowa i polityczna kastracja — dokonana. O nic innego nie chodzi. Partii nie potrzebni są wśród emigracji propagandyści, głoszący otwarcie apologetykę PRL. Partia wie, że to jeszcze nie ten etap. Dziś potrzebny jest Bakcył Milczenia, Epidemia Apolityczności.

Infekcja postępuje. Pacjent śpi.

Przed kim te pokłony?

Między innymi przed Panem Ministrem Wiesławem Adamskim, Sekretarzem Generalnym Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”.

W wydawanym na użytek Polonii (tej bez cudzość) biuletynie agencji „Interpress”, nr 8/892, 21-27 lutego 1977, pan Adamski oświadczył, co następuje:

„Jak wiadomo, jednym z problemów wpływających z uchwał Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie jest sprawa polepszenia wzajemnej informacji. Myślę, że nasza wymiana kulturalna z Polonią, nasze spotkania i kontakty stanowią przykład konsekwentnej realizacji przez Polskę postanowień helsińskich w sprawie wymiany wartości cywilizacyjnych, naukowo-technicznych i kulturalnych”.

Tak oto, kochany współpolonusie, znaleźliśmy się w przestawnym „koszyku”. Tak oto, polonijne bibki w salonach Towarzystwa Łączności służą już oficjelom PZPR jako przykład „wy-

wiązywania” się przez PRL z podjętych w Helsinkach zobowiązań. Tak oto, obecność pana Iksińskiego z Chicago na „polonijnym” zjeździe w Krakowie — interpretowana już jest w oficjalnej propagandzie politycznej jako „dowód” realizowania przez PRL uchwał w sprawie swobodnego obiegu informacji oraz nieskrępowanych kontaktów ludzkich przez granice państwowe. W powojennej historii stosunków międzynarodowych nie ma chyba umowy bardziej konsekwentnie, programowo i otwarcie przez obóz sowiecki niedotrzymywanej niż ten nieszczęsny „koszyk” upleciony w Helsinkach. Trzeba się wszelako jakoś tłumaczyć. „My nie rozwijamy kontaktów ludzkich? Jak to! Przecież był tu na oficjalnej wódce pan Iksiński z Chicago”.

Tak, panie Iksiński, skończyła się pana „apolityczność”...

„Wymiana wartości”

Jakież to „wartości cywilizacyjne i kulturalne” chcą z nami wymieniać? Zajrzyjmy do tego samego biuletynu agencji „Interpress”.

Z „Działu Informacji”:

„Spotkanie E. Gierka z przedstawicielami środowisk twórczych... W szczerzej, bezpośredniej rozmowie głos zabrali wszyscy przewodniczący związków twórczych i sekretarze organizacji partyjnych, zaproszeni na spotkanie... W swoich wystąpieniach mówili o zaangażowaniu twórców kultury w nadrzędną sprawę budowy silnej, nowoczesnej, zasobnej Polski. Zaangażowanie to wyraża się przede wszystkim w dziełach kształtujących świadomość społeczną w duchu umiłowania ojczyzny i socjalistycznych ideałów, podnoszących ogólny poziom kultury narodu polskiego”.

„Narada aktywu robotniczego ZSMP. Przewodzenie w realizacji programu PZPR — patriotycznym obowiązkiem młodego pokolenia Polaków, takie było hasło Krajowej Narady Aktywu Robotniczego Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej...”.

„Kierunki i zadania polskiej polityki zagranicznej. Sejmowa Komisja Spraw Zagranicznych wysłuchała informacji ministra spraw zagranicznych E. Wojtaszka na temat węzłowych kierunków i zadań polskiej polityki zagranicznej w 1977 roku. ... Kluczowe znaczenie mieć będzie dalszy rozwój i wszechstronne umacnianie sojuszniczych stosunków przyjaźni i braterskiej współpracy z ZSRR przez realizację wniosków i ustaleń z ubiegłorocznej wizyty partyjno-państwowej delegacji PRL (w Moskwie — przyp. mój) pod przewodnictwem I Sekretarza KC PZPR E. Gierka...”.

Takie to rzeczy oferują nam w owym „koszyku”. Każdy na Zachodzie może sobie ten biuletyn „Interpressu” zaprenumerować. Na użytek chętnych podaje adres: Krajowa Agencja Informacyjna, ul. Bagatela 12, 00-585 Warszawa. Może byłoby dobrze,

gdybyśmy powszechniej zaczęli ów biuletyn i podobne mu wydawnictwa czytać. Może wówczas częściej zadawalibyśmy sobie to stare a wciąż tak boleśnie aktualne pytanie: Dlaczego Rodakowi w Kuluszkach nie wolno sobie zamówić paryskiej *Kultury*, nowojorskiego *Nowego Dziennika*, czy londyńskich *Wiadomości*? Dlaczego „koszyk” sunie tylko w jedną stronę? No i wreszcie, dlaczego pan Iksiński z Chicago ma się wstydzić swoich poglądów politycznych przed komunistami z Warszawy, skoro ci ostatni tak bezwstydnie rają mu swoją propagandę?

Tak. Myślę, że gdyby więcej nas czytywało biuletyn „Interpressu”, mniej Iksińskich nabierałoby się na oficjalne *love-ins* organizowane przez PZPR dla celów propagandowych, politycznych, pod płaszczykiem apolitycznej „rodakowości”.

Proszę mnie źle nie zrozumieć

Wcale nie występuję przeciwko podróżom do Polski. Dla celów turystycznych, dla biznesu, do rodziny, dla zabawy, czy ot, tak sobie. Występuję natomiast przeciwko:

a) Chowaniu się po kątach z poglądami politycznymi, ze sprawą niepodległości Polski, w obawie przed ludowo-demokratycznym urzędasem, który może nie przystawić tego stempla w paszporcie — bo to jest poddawanie się komunistycznej cenzurze, sprowadzanie się do rządu ideowego raba;

b) Uczestniczeniu — pod płaszczykiem „apolityczności” — w oficjalnych imprezach organizowanych przez władzę PRL dla Polonii dla celów propagandowych — uczestniczeniu po to głównie, żeby znaleźć się na bankiecie u towarzysza ministra, w notatce prasowej czy w telewizyjnej migawce. Bo zabawa taka jest równoznaczna z zajęciem stanowiska politycznego po stronie ludzi rządzących dziś Polską. Bo telewizja w Kuluszkach, oglądając pana Iksińskiego z Chicago w objęciach dygnitarza PZPR, zapyta: „Czy ja mogę jeszcze, do cholery, na kogoś liczyć?”

Uwagi te, naturalnie, odnoszą się do ludzi, którym leży na sercu sprawa niepodległości narodu polskiego, jego losów w tym naszym zwariowanym świecie, jego duchowej i materialnej niedoli. Bo są i tacy, których sprawy te nie grzeją i nie ziębią. Ci wszakże nie czytują na ogół *Kultury*.

Nie ma „apolitycznych”

Problem polega na tym, że ludzie uformowani w warunkach demokratycznych nie zdają sobie na ogół sprawy z faktu, że dla dyktatury — a już zwłaszcza dyktatury typu sowieckiego — pojęcie apolityczności nie istnieje. Motyw polityczny tkwi w każdej decyzji, w każdym posunięciu, dotyka wszystkich dziedzin życia społecznego. Względy polityczne dyktują wydanie lub zakaz

książki; przyznanie lub odmowę paszportu; zezwolenie — lub nie zezwolenie na budowę nowego kościoła; promocję lub „zgnojenie” pracownika.

Programy szkolne opracowywane są pod kątem politycznych wymogów rządzących. Polityczne jest wojsko („Skończyliśmy z burżuazyjnym mitem apolitycznej armii!”). Polityczne są związki zawodowe i twórcze. Nie ma dziś w Polsce organizacji tzw. społecznej, ani tym bardziej instytucji czy komórki państwowej, która nie byłaby politycznym narzędziem, realizującym określone polityczne cele dyktatury.

Powtarzam te truizmy, ponieważ nie wolno przestać ich powtarzać. Zwłaszcza dziś, kiedy Iksińscy powiadają nam, że ta uroczona konferencja z tańcami zorganizowana przez Towarzystwo „Polonia” w Sopocie — to przecież była zupełnie apolityczna impreza! Nie wiedzą, biedni, że wytyczne programowe dla Towarzystwa „Polonia” — podobnie jak dla wszystkich innych instytucji i organizacji państwowych — ustalane są w biurach Komitetu Centralnego PZPR, przy solidnym współudziale ministerstwa spraw wewnętrznych.

Polityczna neurastenia rządzących komunistów osiąga diapazon kwiku w dziedzinie stosunków międzynarodowych — zarówno oficjalnych jak i prywatnych. „Na styku z zagranicą” (tak to się nazywa w języku PZPR) pracują najbardziej zaufani ludzie, ściśle kontrolowani przez jeszcze bardziej zaufanych. Nawet biuro podróży „Orbis”, zajmujące się obsługą nieoficjalnych, „zwykłych” turystów, spenetrowane jest od góry do dołu i ściśle kontrolowane przez tajną policję polityczną.

Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”, z jego wielomilionowym budżetem, byłoby zbędnym wydatkiem, gdyby władzom PRL chodziło rzeczywiście tylko o rozpowszechnianie polskiej kultury i podtrzymywanie kontaktu emigracji z krajem. Istnieją w świecie setki organizacji polonijnych, które doskonale same potrafiłyby organizować w kraju konferencje, zjazdy i spotkania z tymi środowiskami krajowymi, z którymi chciałyby się spotkać. Krótko mówiąc, gdyby stosunek grupy rządzącej PRL do Polonii zagranicznej był istotnie apolityczny — dziwołag w rodzaju Towarzystwa „Polonia” nie miałyby w ogóle racji bytu. Nie miałyby też racji bytu wize wjazdowe: każdy cudzoziemiec, a już zwłaszcza polskiego pochodzenia, powinienby mieć prawo swobodnego wjazdu do kraju.

Znam takich polonijnych działaczy kulturalnych, którzy dyskretnie milczeli, kiedy w grudniu 1970 roku łała się na Wybrzeżu krew. Milczeli w zeszłym roku, kiedy „ludowa” władza odpowiedziała masowymi represjami na ludowy ruch protestu. Wymówka: „Ja nie mogę wdawać się w politykę, bo Warszawa mi nie da materiałów i pomocy. Ja upowszechniam polską kulturę — jakże mogę to robić bez materiałów z Polski? Skądże je wezmę?”

Wymówki tego rodzaju, bynajmniej nierzadkie, świadczą o cał-

kowitym niezrozumieniu pojęcia kultury narodowej. Albo o politycznym wydawnictwie. Najczęściej zaś o jednym i o drugim. Bo przecież nie trudno chyba zrozumieć, że torturowanie aresztowanych w Radomiu i Ursusie — jest działaniem sprzecznym nie tylko z przyjętymi w cywilizowanym świecie pryncypiami prawnymi i politycznymi, ale że stanowi ono również uderzenie w prestiż kultury narodowej. Przemilczanie takich wydarzeń — gwoli załatwienia koncertu pianisty z Polski czy też sprowadzenia paru książek via Ars Polona — świadczy zarówno o daleko posuniętej głupocie politycznej jak i o beznadziejnej płytczynie i krótkowzroczności w pojmowaniu kultury. Poszanowanie godności ludzkiej i podstawowych praw człowieka — jest bowiem o wiele bardziej wymownym świadectwem poziomu kultury kraju, niż udana powieść czy dzieło filmowe.

Kultura narodu jest zjawiskiem ponadpolitycznym. To święta prawda — z jednym tylko zastrzeżeniem: dopóki naród pozostaje niepodległy i wolny. W warunkach uciemnienia kultura staje się od razu potężnym czynnikiem politycznym: dla oprawców — dodatkowym instrumentem przemocy; dla ciemiężonego społeczeństwa — elementem polityki przetrwania.

Jest to jedna z tych prawd, których nie wolno nam nie rozumieć.

Lucjan PERZANOWSKI

Yksi, kaksi, kolme, neljä, viisi, kuusi

Szwedzi po dziś dzień dumni są ze swojej częściowo udanej kolonizacji Finlandii. Piszący po szwedzku pisarze fińscy cieszą się tu dużą popularnością, zaś Finów nie władających szwedzkim uważa się za osoby mało kulturalne. Znajomość fińskiego wśród Szwedów nie wykracza zazwyczaj poza umiejętność liczenia do sześciu, a i to tylko dzięki Selmie Lagerlöf, która w „Cudownej podróży” nazwała sześć dzikich gęsi fińskimi liczebnikami: yksi, kaksi, kolme, neljä, viisi, kuusi.

Wpływy kulturowe są jednak dwustronne. Szwedzi przejmują od swoich sąsiadów pewne obyczaje i zachowania, których funkcjonalność w Finlandii wydaje się dość oczywista, tu zaś jest co najmniej wątpliwa. Finlandia płaci wysoką cenę za to, że nie jest Estonią. Szwedzi takich obaw mieć nie muszą i właściwie nie mają. Jeśli spotykamy tu zachowania charakterystyczne dla stosunków fińsko-sowieckich, to płyną one z pobudek moralnych, z przekonania o wyższości takich zachowań nad innymi. (Tabletki Murti-Binga sprzedaje się tu bez recepty). W Finlandii nie opublikowano *Sołżenicyna*. W Szwecji *Sołżenicyn* ma wysokie nakłady i złą prasę. W Finlandii nie robi się reportaży o polskiej opozycji, w Szwecji zrobiono taki reportaż, ale z jego ostatecznej redakcji zniknął wywiad z Kuroniem. Potem

zabroniono sprzedaży filmu za granicę. Historia osobliwa, jeśli zważymy, że dzieje się po tej stronie żelaznej kurtyny.

Decyzję o zakazie sprzedaży filmu podjął osobiście dyrektor Szwedzkiego Radia Otto Nordenskiöld. Dyskusja wokół tej decyzji ujawniła jednak pewne sprawy, które dla obserwatora szwedzkiej prasy i radia od dawna były dość oczywiste — szwedzkie środki masowego przekazu stosują zycziwą komunistycznym reżymom cenzurę własnych publikacji. Przyjrzyjmy się ogłoszonym publicznie faktom i argumentom, dotyczącym tej konkretnej sprawy: jedyny rzeczowy argument przedstawiony przez dyrektora SR w związku z zakazem sprzedaży filmu o polskiej opozycji to „obawa aby propagandowa radiostacja WE nie uzyskała dostępu do materiału. SR nie miałaby bowiem kontroli nad sposobem jego wykorzystania”. Innym, mniej wyraźnie przedstawionym argumentem było stwierdzenie, że „SR mogłoby utracić możliwość zakupów programów ze Wschodniej Europy”. Później, kiedy dyskusja nabrała rozgłosu zdecydował się dyrektor Szwedzkiego Radia na zwykłe kłamstwo i publiczne stwierdzenie, że zakaz sprzedaży filmu Bengta Göranssona nigdy nie istniał. (W odpowiedzi prasa opublikowała kopię przesłanej telexem informacji o odmowie sprzedaży). Do pikantnych okoliczności tej osobliwej historii należą również dwa inne fakty: dyrektor SR odmówił nie tylko sprzedaży filmu za granicę, odmówił również jego pokazania na kongresie młodzieży szwedzkiej partii liberalnej. Żeby było śmieszniej, reportaż udostępniono przedstawicielowi polskiej telewizji, p. Sergiuszowi Mikuliczowi. Piszący o tym dziennikarz szwedzki, Karl Beijbom, podkreśla, że ta decyzja jest unikalna. Jak dotychczas nigdy jeszcze reportaż krytyczny z krajów Ameryki Łacińskiej, Hiszpanii czy Grecji nie były udostępniane przedstawicielom tych reżymów. Komentarz zbędny.

Szczególną politykę szwedzkiego radia w stosunku do krajów Europy Wschodniej ilustruje również fakt, że SR nie ma ani jednego stałego korespondenta w Warszawie, Pradze czy w Berlinie i tylko jednego w Moskwie. Wiadomo, że status stałego korespondenta jest zupełnie inny aniżeli status reportera na gościnnych występach. Bengt Göransson, nie ma dziś wjazdu do Polski, chociaż nikt go z tego kraju nie wyrzucał. Toczy się starania o zezwolenie Göranssonowi na dalszą pracę w Polsce, ale SR nie nalega, nie żąda nawet jednoznacznej odmowy ze strony władz polskich, które najwyraźniej mają swoje racje, żeby Göranssona nie wpuszczać. W sferach urzędniczych po obu stronach Bałtyku interpretacja porozumienia w Helsinkach wydaje się być ujednolicona. Świadczy o tym również przykład z innego podwórka — przed kilkoma miesiącami tenże Bengt Göransson opublikował rewelacyjną informację o naciskach polskiego rządu na tutejsze ministerstwo oświaty, by dokonać pewnych zmian w szwedzkich podręcznikach historii.

Według informacji otrzymanej ze szwedzkiego ministerstwa oświaty, strona polska żądała zmiany, a właściwie opuszczenia pewnych faktów dotyczących aneksji polskich ziem wschodnich przez ZSSR, antysowieckiego charakteru zajęć w Polsce w 1956 roku itp. To „itp.” pozostało dla dziennikarza tajemnicą, a całej sprawie dość szybko i sprawnie ukręcono głowę.

Jeszcze jednym kamykiem do tego ogródka może być sprawa przemilczenia przez całą szwedzką prasę wystąpienia w parlamencie posła partii liberalnej — Per Garton. Przed miesiącem poseł ten zwrócił się do rządu z interpelacją, domagając się przerwania milczenia szwedzkiego ministerstwa spraw zagranicznych na temat aktualnych wydarzeń w Polsce. Niżej podpisany próbował sam zebrać opinie na temat dziwnie ujednoliconej postawy szwedzkiej prasy w stosunku do tego wystąpienia. Odpowiedzi były dość mętne — yksi, kaksi, kolme, neljä, viisi, kuusi.

A. K.

35 lat Biblioteki Polskiej w Londynie

Rys historyczny

Początków biblioteki szukać należy w roku 1942, gdy istniał Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych naszego Rządu w Londynie. Powstał wtedy przy nim mały księgozbiór do użytku urzędników i z myślą o okresie powojennym i odbudowie szkolnictwa w kraju. Księgozbiorem tym opiekował się Tadeusz Sawicki, wydawca „Rocznika Bibliograficznego”, który zapoczątkował inwentaryzację posiadanych książek. Rozpoczęta wtedy numeracja utrzymała się po dziś dzień.

Niezależnie od tego zbioru i w tym samym czasie, w ramach Funduszu Kultury Narodowej, powstawał inny, prowadzony przez Marię Danilewiczową. Gromadził on druki, bądź polskie, bądź dotyczące naszego kraju, które ukazywały się poza jego granicami. W lipcu 1943 roku Urząd Oświaty przemianowany został na Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, które wchłonęło Fundusz Kultury Narodowej, i wówczas nastąpiło połączenie obydwu zbiorów. Początki były skromne i biblioteka zajmowała mały lokal na III-cim piętrze a później na parterze w Buckingham Palace Mansions przy Buckingham Palace Road, niedaleko hotelu Rubens, siedziby sztabu Naczelnego Wodza.

Po zakończeniu wojny i cofnięciu uznania rządowi polskiemu w lipcu 1945 roku, biblioteka przeszła pod opiekę *Interim Treasury Committee for Polish Questions* przy brytyjskim Ministerstwie Skarbu. Wtedy po raz pierwszy użyto nazwy: *Biblioteka Polska* (The Polish Library in London).

W roku 1947 zaszła nowa zmiana formalna i biblioteka od 1 kwietnia weszła w skład Komitetu Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii (*Committee for the Education of Poles*). W rok później, gdy powstało *Polish University College*, biblioteka poczęła spełniać podwójną rolę: publicznej Biblioteki Polskiej i biblioteki tej nowej uczelni.

Pierwsze zagrożenie

W 5 lat później, w roku 1953, nastąpiła likwidacja *College'u* i wtedy biblioteka stanęła wobec pierwszego kryzysu, gdyż zagrożił jej los instytucji, z którą została związana. Wtedy, dzięki pomocy *Dziennika Polskiego*, społeczeństwo polskie złożyło 21.360

podpisów pod petycją, w której domagało się utrzymania tak wartościowej placówki kulturalnej. Petycja odniosła skutek i władze brytyjskie oddały bibliotekę pod opiekę autonomicznego Komitetu Bibliotecznego, którego przewodniczącym został Frank Harrod. Po jego śmierci funkcję tę przejął R. H. Hill, emerytowany b. dyrektor National Central Library. Biblioteka była nadal utrzymywana z funduszy brytyjskich, władze postawiły jednak warunek, że społeczeństwo polskie musi samo zapewnić jej pomieszczenie. Wtedy wystąpiło *Polish University College Association Ltd.* (PUCAL) i ofiarowało lokal w swym budynku przy 5, Princes Gardens, S.W.7. Biblioteka przeniosła się tam w grudniu 1953 roku, by po 9-ciu latach zająć znacznie lepszy lokal, dany jej przez Stowarzyszenie pod nr. 9 na tej samej ulicy. W tym okresie powstał także Polski Fundusz Biblioteczny, do którego weszli Polacy i Anglicy, i który miał się zająć zbieraniem funduszy.

Biblioteka i POSK

W roku 1964 powstał Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny dzięki wcześniejszym decyzjom PUCAL'u i Stowarzyszenia Techników Polskich, idącym po linii scalenia organizacyjnego i majątkowego. Inicjatywę tą poparło wtedy szereg innych organizacji i instytucji. POSK zarejestrował się u władz brytyjskich, uzyskał status *Charity* a przejmując aktywa PUCAL'u, stał się także opiekunem Biblioteki Polskiej, której dawał lokal. Już wtedy dyskutowano problem budowy wielkiego gmachu, który objąłby w swych murach wiele polskich organizacji i instytucji oraz zapewnił nowy i nowoczesny lokal Bibliotece Polskiej i Centrali Bibliotek Ruchomych. Korzystała ona także z lokalu w domu POSK'u przy 146 Holland Road, W.14. Trudności były wielkie, nie tylko finansowe i nie tylko związane z koniecznością zgody wśród organizacji, które miały ten projekt poprzeć. Dziesięć lat temu sytuacja w Wielkiej Brytanii była inna, z grupami etnicznymi nikt się nie liczył i lokalne władze poszczególnych dzielnic Londynu nie chciały dać zgody na powstanie polskiego centrum na ich gruncie.

Nowe zagrożenie

W roku 1965 wyłonił się nowy, bardzo poważny, kryzys godzący w Bibliotekę Polską, wiążący się z ogólną ówczesną polityką władz brytyjskich. Doszły one do przekonania, że nie powinny dalej finansować Biblioteki Polskiej i Centrali Bibliotek Ruchomych oraz wspomagać dotacjami Instytutu Polskiego i *Polish Research Centre. Department of Education and Science* (ministerstwo zostało zlikwidowane) był zdania, że bez subsydiów Biblioteka Polska nie będzie mogła być utrzymana jako całość i że

zbiory jej trzeba będzie rozparcelować pomiędzy biblioteki lokalne. Pewną ilość tomów (około 20.000) chciano *ex gratia* pozostawić POSK'owi.

Stanowisko to poruszyło do głębi polską społeczność w Wielkiej Brytanii. Podjęto szeroką akcję zmierzającą do utrzymania Biblioteki Polskiej jako całości i prowadzono ją kilkoma drogami. Organizacje polskie pobierały uchwały wyrażające solidarną postawę polskiej społeczności, odwołano się do pomocy zaprzyjanych Brytyjczyków, włączyło się do akcji *Anglo-Polish Society* i Stowarzyszenie Polaków obywateli brytyjskich, poruszono sprawę w Izbie Lordów dzięki osobistym kontaktom i energii płk. Stefana Zamoyskiego. Wielką pomoc okazała polska prasa.

Na wiosnę 1966 roku Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii powołało do życia Polską Radę Biblioteczną, która na swego przewodniczącego wybrała płk. Zamoyskiego. Słuszny ten wybór pozwolił mu na podjęcie szeregu inicjatyw i włączenie Rady do walki o uratowanie Biblioteki Polskiej. Dalszym jej zadaniem było zbieranie funduszy, bo utrzymanie biblioteki przy życiu musiało być połączone ze świadczeniami z polskich i zaprzyjanych źródeł.

Jednocześnie toczyły się rozmowy z Departamentem Nauki i Wiedzy, w których ze strony polskiej uczestniczyli przedstawiciele POSK'u, Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego, Rady Bibliotecznej i Zjednoczenia. Władze brytyjskie, pod naciskiem polskiej strony, poniechały pierwotnego planu rozparcelowania biblioteki, ale wysunęły projekt oddania jej uniwersytetowi w Birmingham. Posiadał on rozbudowany dział studiów dotyczących Rosji i Wschodniej Europy i był gotów przyjąć naukową część polskich zbiorów, utrzymując nazwę „The Polish Library”. Oczywiście propozycja ta wywołała jak najostrejszy polski sprzeciw.

Decydujące wystąpienie POSK'u

W pertraktacjach z władzami brytyjskimi wyczuwało się, że mogą one zmienić swoje stanowisko i że byłaby możliwość uratowania biblioteki i przejęcia jej prawa własności, gdyby znalazła się polska organizacja czy instytucja o odpowiednim statusie i zapleczu finansowym, która by się tego podjęła. Wielu kierowało swe spojrzenie na Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego, ale pismem z dnia 20 stycznia 1966 roku wykluczył on taką możliwość. Ambasador Edward Raczyński w dłuższym wywodzie wyjaśnił Anthony Croslandowi, ówczesnemu szefowi Departamentu, dlaczego jest to niemożliwe i skonkludował:

„The Institute can not shoulder the responsibility for the survival and functioning of the Polish Library either in amalgamation with the Institute's own library or as

a separate entity. Its own financial position continues to require constant attention”. (Instytut nie może wziąć na swe barki odpowiedzialności za ocalenie i funkcjonowanie Biblioteki Polskiej ani w formie połączenia jej z biblioteką Instytutu ani jako odrębnej jednostki. Jego własna finansowa sytuacja nadal wymaga stałej uwagi).

Trzeba podkreślić, że żadna inna instytucja, organizacja czy fundacja nie wystąpiła wówczas z gotowością przyjęcia odpowiedzialności za Bibliotekę Polską. Dlatego ważny jest dzień 21-go grudnia 1966 roku, bo tego dnia prof. Roman Wajda, przewodniczący POSK'u, wysłał do Departamentu pismo, w którym stwierdził:

„Polish Social and Cultural Association is prepared to take full responsibility for the library, with the legal title of undisputed ownership of the whole library including scholar, research and lending collections, as housed now at 9, Princes Gardens, S.W.7.

This decision has been taken after very careful consideration for the benefit of the Polish community, with the full support of the Polish Library Council and of the Polish community at large”. (Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny jest gotów przyjąć pełną odpowiedzialność za bibliotekę z prawnym tytułem niekwestionowanej własności całej biblioteki, włączając w to kolekcje przeznaczone do nauki, badań i wypożyczania, tak jak obecnie znajdują się pod 9, Princes Gardens, S.W.7.

Decyzja ta została powzięta po bardzo ostrożnej rozważeniu dla dobra polskiej społeczności, z pełnym poparciem Polskiej Rady Bibliotecznej i całego polskiego społeczeństwa).

Był to krok decydujący, dzięki któremu Biblioteka Polska przeszła definitywnie w ręce Polaków i stała się własnością POSK'u. Były jeszcze trudności, władze brytyjskie sprawdzały jego status i możliwości materialne, ale ostatecznie zgodziły się na wysuniętą propozycję. W ten sposób kilkuletnia walka zakończyła się zwycięstwem. Biblioteka przeszła na własność POSK'u dn. 1 sierpnia 1967 roku.

Działalność merytoryczna

Obok gromadzenia zbiorów biblioteka prowadziła i prowadzi działalność na kilku odcinkach. Przede wszystkim chodzi o udoskonalenie zbiorów, co jest realizowane różnymi drogami. Z czytelnikami naukowej korzysta się na miejscu; do wypożyczalni przychodzi przeważnie mieszkańcy Londynu a obok nich studująca

młodzież, częściowo z kraju; istnieje także wypożyczalnia wysyłkowa. Ponadto obsługuje się instytucje naukowe i biblioteki angielskie w formie wysyłania zapotrzebowanych dzieł, wreszcie istnieje dział informacji.

Drugim odcinkiem pracy jest działalność wydawnicza. Głównym wydawnictwem jest Bibliografia emigracyjna, która ukazała się już w trzech tomach (lata 1939-63). Tom IV i V są w opracowaniu. W roku 1962 ukazał się katalog czasopism konspiracyjnych (1939-45), będący uzupełnieniem katalogu krajowego. W roku 1964 wydano dwa katalogi czasopism a w r. 1971 następny. Także w r. 1964 ukazał się I tom Bibliografii polskich prac naukowych w obcych językach, który objął ponad 4.000 pozycji. Tom II-gi jest w opracowaniu. W r. 1975 wydano broszurę Wojciecha Zaleskiego „Dorobek Gospodarczy Odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej, 1918-1939”. Od r. 1954 wydaje się powielany kwartalnik *Books in Polish*. Wydano także Bibliografię Katyńską.

Trzecim wreszcie odcinkiem pracy są wystawy. Z najważniejszych wymienić trzeba zorganizowaną w r. 1957 Wystawę Conradowską, po niej w r. 1964 Wystawę w setną rocznicę Powstania Styczniowego i w r. 1970 Wystawę Zbiorów Historycznych.

Przez ponad 30 lat, od roku 1942, kierownictwo biblioteki spoczywało w rękach dr Marii Danilewiczowej, której fachowość i całkowite oddanie przyczyniły się do osiągnięć, rozwoju i znaczenia tej, tak ważnej, polskiej instytucji kulturalnej. W jesieni 1973 roku, z powodu wyjazdu z Wielkiej Brytanii, przekazała ona swą funkcję dr. Dziesięławowi Jagodzińskiemu, który ją od kilku lat zastępował.

Sytuacja obecna

Nie będę tu powtarzał spraw, problemów i trudności związanych z nowym gmachem Ośrodka, bo pisano już o tym wielokrotnie. Faktem jest, że został postawiony i że dla Biblioteki Polskiej, kosztem około 250.000 funtów, przygotowano tam obszerne pomieszczenie o powierzchni ponad 8.000 stóp kwadratowych (w dawnym budynku było tylko 3.600). Nowy lokal, rozmieszczony na parterze i I-szym piętrze, posiada klimatyzację, centralne ogrzewanie, osobne wejście, własną windę, doskonałe oświetlenie, wielkie okna itd.

Jest to lokal nowoczesny, korzystający z najnowszych a przez to kosztownych urządzeń. Trzeba tu podać cyfry, by uświadomić sobie o jakie sumy chodzi. Opłacenie ogrzewania, klimatyzacji, oświetlenia, systemu alarmowego, wind, telefonów, ubezpieczeń, podatku komunalnego i sprzątnia wynosi 15.000 funtów rocznie a więc prawie 40 funtów dziennie. *Cały ten wydatek ponosi POSK, dając bibliotece lokal zupełnie bezpłatnie.* A przecież na budynku ciąży pożyczka w wysokości jednego miliona funtów.

Sam procent od sumy wydanej na lokal biblioteki wynosi 36.000 funtów rocznie i POSK tę sumę płaci.

Oczywiście biblioteka jest jego własnością i świadczenia na nią są tego naturalną konsekwencją, ale trzeba znać cyfry, by wiedzieć o jaki wysiłek tu chodzi. Na Radę Biblioteczną spada obowiązek zebrania pieniędzy na personel i na działalność merytoryczną z tym jednak, że w wypadku niedoboru, POSK pokryje powstałą różnicę.

Ponieważ, jak zwykle, wokół nowego lokalu nagromadziło się wiele plotek, tendencyjnych informacji i niedomówień, zwróciłem się w tej sprawie do dr. Jagodzińskiego i jego zastępczyni, Jadwigi Nowakowej, pracującej w bibliotece już od 28 lat. Oto kilka pytań i odpowiedzi.

Pytanie: — Czy obecna pojemność lokalu jest wystarczająca?

Odpowiedź: — Tak. Otrzymaliśmy od POSK'u dużą salę na parterze, dwie na pierwszym piętrze, jedną — na tym samym piętrze, nieco mniejszą, duży gabinet kierownika, pokój na biuro i drugi pokój do pakowania paczek. Pozwala nam to na swobodne rozłożenie i udostępnienie wszystkich zbiorów książek i czasopism, które w dawnym lokalu leżały częściowo w paczkach, spiętrzone aż pod sufit.

P.: — Czy lokal jest dobry i wygodny użytkowo?

O.: — Jak najbardziej. Jest to nowoczesne, jasne, przestronne pomieszczenie, dobrze ogrzane, w którym praca idzie łatwo i sprawnie. Nareszcie posiadamy lokal, na który biblioteka czekała przez tyle lat. Teraz można w nim rozpocząć prawdziwą, naukową i wszechstronną działalność.

P.: — Jakie jest samopoczucie personelu biblioteki w nowym budynku POSK'u?

O.: — Czujemy się tutaj dobrze, u siebie, jesteśmy otoczeni przyjaznymi ludźmi, na miejscu można zjeść, napić się kawy, kupić gazetę, załatwić wiele polskich spraw. A jednocześnie mamy świadomość, że posiadamy zupełnie samodzielny lokal, w którym możemy spokojnie pracować. Dobry jest także dojazd, bo stacja metra znajduje się o kilkaset kroków od gmachu a tuż obok mamy kilka przystanków autobusowych.

P.: — Jak obecnie wyglądają zbiory biblioteki?

O.: — Posiadamy już ponad 100.000 tomów, z których 80.000 zostało skatalogowanych. Obok książek mamy duży zbiór czasopism, obejmujący ponad 3.000 tytułów. Zbieramy także rękopisy, nuty, mapy wydawnictwa powielane i fotografie, których posiadamy ponad 10.000. Są u nas także fotokopie podziemnych wydawnictw krajowych z czasu ubiegłej wojny.

Przy tej okazji pragniemy odwołać się do naszego społeczeń-

stwa w następującej sprawie. Nie docenia się u nas wartości zbiorów archiwalnych i dlatego w British Muzeum jest tak mało książek i periodyków z Polski międzywojennej. Dziś sytuacja nasza jest, niestety, podobna, nie otrzymujemy wszystkich naszych wydawnictw emigracyjnych. Dam pierwszy z brzegu przykład. W Wielkiej Brytanii działa około 70 polskich parafii i każda wydaje komunikat. Prosiłiśmy o nie, ale nikt ich nie przysyła. Dziś nie ma to znaczenia, ale za kilkadziesiąt lat badacz historii emigracji będzie ich szukać i nigdzie nie znajdzie. Odnosi się to także do innych krajów naszego osiedlenia. Apelujemy do wszystkich wydawców i redaktorów: *pamiętajcie o nas*. To samo dotyczy prywatnych zbiorów książek i czasopism, które czasem, z powodu zgonu posiadacza, idą na zniszczenie.

P.: — Jeszcze jedno pytanie. Kiedy będziecie mogli otworzyć bibliotekę dla publiczności?

O.: — Jesteśmy nadal w wielkim rozgardiaszu, musimy rozpakować i poukładać zbiory, wypełnić wszystkie półki, kupić nowe meble do czytelnicy. Otworzymy się chyba za dwa miesiące, może pod koniec marca. *Bardzo przepraszamy* wszystkich naszych wiernych czytelników, naukowców i studentów, ale przeprowadzka była wielkim wysiłkiem, teraz robimy nowy wysiłek, by wszystko wyglądało jak najlepiej.

P.: — A jak się układają stosunki z Radą Biblioteczną?

O.: — Jak najlepiej. Spotkała nas wielka strata z powodu śmierci płk. Zamoyskiego, ale nowo obrany przewodniczący, Zbigniew Mieczkowski, wspomagany przez Marię Leśniakową i innych członków Rady, rozwinął już bardzo intensywną działalność.

Przyszłość

Po 35 latach wiadomo już jakie jest oblicze tej ważnej polskiej placówki kulturalnej i po jakiej linii posuwał się jej rozwój. Była to linia słuszna i należy ją kontynuować.

Głównym zadaniem jest nadal dalsze gromadzenie zbiorów obejmujących wszystkie rodzaje publikacji dotyczących naszego kraju. Żyjemy poza jego granicami, więc tym bardziej musimy być wyczuleni na każdy polonik, który możemy osiągnąć. Biblioteka ma kilka równoległych zadań i kilka poziomów, musi więc gromadzić zbiory dla naukowców, dla badaczy polskich i obcych, ale musi także dbać o zwyczajnego czytelnika, który poszukuje lektury łatwej, często tylko rozrywkowej. Błędem byłaby opinia, że trzeba ograniczyć się tylko do publikacji, które ukazują się poza Polską. Każde wydawnictwo krajowe jest dla nas cenne, bo może być przydatne przy studiach a nasi czytelnicy powinni mieć dostęp do tamtejszej literatury. Ważnym działem zbiorów powinny być wszystkie rodzaje druków, które są odbiciem naszego wychodźczego życia.

O innych rodzajach działalności była już mowa. Wszystko to powinno być kontynuowane i rozbudowywane. Wiele zależy od środków materialnych, ale gdyby były, myśleć także warto o stypendiach naukowych przeznaczanych na prace, które są ważne dla naszej kultury i dla propagowania naszych osiągnięć. POSK także i te zadania ma w swoich planach*.

Józef GARLIŃSKI

* Źródła: Maria Danilewiczowa, *Biblioteka Polska w Londynie*, Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, Londyn, 1959; Zdzisław Jagodziński, „O zadaniach i potrzebach Biblioteki Polskiej w Londynie”, *Wiadomości P.O.S.K.*, Londyn, grudzień 1973; *Nowa siedziba polskich placówek naukowych w Londynie*, Polish University College Assn. Ltd., Londyn, 1962; Polska Rada Biblioteczna (korespondencja, uchwały, rezolucje, apele). Teczki: 1966, 1967-72 i 1973 do chwili obecnej; *Raport of the Principal for the Period 1947-1953*, Polish University College, Londyn, 1953.

Biblioteka Polska w Paryżu

Znaczne zmiany dokonały się ostatnio w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Publiczna zapowiedź Prezydenta Valéry Giscard d'Estaing, ogłoszona w okresie prezydenckiej kampanii wyborczej, że po dojściu do władzy przyczyni się do uregulowania sytuacji prawnej Biblioteki po myśli żądań emigracji polskiej, została spełniona. Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu, które od lat aspirowało do przejęcia Biblioteki zgodnie z tradycją ubiegłego wieku, weszło w prawne jej posiadanie w charakterze dzierżawcy na okres 18 lat. Jak to oznajmił prezes Towarzystwa, ks. Andrzej Poniatowski na ostatnim walnym zebraniu, umowa tej dzierżawy zawarta została z francuskim zarządem sądowym na maksymalny okres dopuszczalny w tym wypadku na mocy orzecznictwa sądowego.

Jak wiadomo, już od kilkunastu lat Biblioteka Polska znajdowała się pod francuskim zarządem wobec nie ustalenia jej właściciela po oddaleniu przez trybunał paryski roszczeń do jej własności, zgłoszonych z jednej strony przez Towarzystwo Historyczno-Literackie we Francji a z drugiej przez Polską Akademię Nauk (PAN) w Warszawie. Wraz z obecną umową dzierżawy Towarzystwo, które dotąd mieściło się w Bibliotece tylko „kątem”, nabyło w stosunku do niej i do jej gmachu pełny tytuł prawny. Tytuł ten jest jednak połączony z obowiązkiem płacenia czynszu, którego wysokość wyznaczona została na podstawie bardzo wygórowanego szacunku, dokonanego przez rzeczoznawcę sądowego.

Z chwilą uregulowania sytuacji prawnej Biblioteki stało się wreszcie możliwe przeprowadzenie niezbędnych robót konserwatorskich. Towarzystwo Historyczno-Literackie podjęło je z prawem zaliczenia kosztu tych robót na poczet należnego co roku czynszu. I oto stary gmach przy Quai d'Orléans zaczął się przeobrażać. Stylowa fasada została oczyszczona i otynkowana, i nad bramą wejściową po raz pierwszy umieszczono nazwę nie tylko Biblio-

teki Polskiej ale i Towarzystwa Historyczno-Literackiego. Dach od lat nie naprawiany został zastąpiony nowym, przy czym zaszła również potrzeba wymienienia wielowiekowych, zbutwiałych belkowań, sięgających narodzin tej budowli. Wreszcie trzeba było przystąpić do założenia nowej instalacji elektrycznej, na miejsce dotychczasowej, dość prowizorycznej, pochodzącej z pierwszego okresu powojennego, kiedy na gwałt zaradzono spustoszeniom dokonany przez okupanta niemieckiego. Także i inne naprawy są w toku.

Wszystkie te, bardzo kosztowne prace mogły być podjęte tylko dzięki wyzbyciu się przez Towarzystwo niektórych przedmiotów, pochodzących z różnych darów od członków. Przedmioty te, jak np. cenne szkice rysunkowe z epoki renesansowej, nie były związane z celami Towarzystwa, mogły przeto być spieniężone bez uszczerbku dla jego działalności. Oszacowane przez dyplomowanego rzeczoznawcę, zostały korzystnie sprzedane na aukcji w Londynie. Za znaczną sumę sprzedano też — zgodnie z wyrażoną w testamentie wolą malarza — większą ilość obrazów Bolesława Biegasa, charakterystycznych dla stylu secesji wiedeńskiej. Wszelako sprzedaże te nie wystarczyły na pokrycie kosztów remontu. Na szczęście Towarzystwo zostało zasilone kilku poważnymi darami. Początek dała Fundacja z Brzezia Lanckorońskich, która ofiarowała 100.000 F. W jakiś czas potem przyszło 10.000 dolarów USA od płk. Umiastowskiego i 20.000 F. spadku po Eugeniuszu Janie Okońskim (przeznaczonych na wzbogacenie kolekcji). Wreszcie nadeszła wiadomość, że zmarła na południu Francji Polka, z Sumowskich Bissy zapisała Towarzystwu 20.000 F. wraz z własnością małego mieszkania w Nicei.

Dalszy zastrzyk pieniężny otrzymało Towarzystwo ze Stanów Zjednoczonych ze strony całkiem nieoczekiwanej. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności — i towarzyskich powiązań — Bibliotekę Polską zainteresowała się pewna bardzo bogata Polka, żona prezesa i głównego właściciela akcji jednego z najpoważniejszych koncernów przemysłowych w Ameryce Północnej. Przy sposobności podróży do Paryża, podjętej przez tych państwa, którym towarzyszyło dwoje doradców prawnych ich wielkiej fundacji dobroczynnej w Ameryce, przeprowadzone zostały rozmowy z niespożyтым ks. Andrzejem Poniatowskim. Wyniki tych rozmów otoczone są tajemnicą; czy coś zasadniczego z nich wyniknie jeszcze nie wiadomo. Trwałym rozwiązaniem stoi podobno na przeszkodzie zbyt krótki, jak na wymagania tych Amerykanów, okres dzierżawy oraz niemożność nabycia Biblioteki na własność. Może jednak uda się ten problem rozwiązać.

Jak dotąd Towarzystwo otrzymało od listopada ub. roku dotacje miesięczne po 70.000 F. Dotacje te mają trwać nadal i mają umożliwić normalne funkcjonowanie Biblioteki. Że zaś wobec chronicznych braków pieniężnych personel Biblioteki, pracujący z wielkim poświęceniem, był już od lat niedostateczny i pobierał głodowe wynagrodzenia, przeto z pomocą tych dotacji powiększono zespół pracowników i podniesiono uposażenia. Nabyty też został wreszcie aparat dla fotokopii, dzięki czemu zdjęcia fotograficzne rękopisów i druków będą mogły być przez badaczy robione na miejscu. Tak więc na razie Biblioteka nieco odetchnęła i w tej chwili patrzy w przyszłość z większą ufnością.

Ale potrzeby jej są nadal ogromne i dalsze pomoce niezbędne. Konieczne jest zapewnienie szybkiej rejestracji i katalogowania czekających i wciąż przybywających druków. Trzeba móc szybko odpowiadać na kwerendy naukowe, nadechodzące z wszystkich stron świata. Wiele rękopisów czeka na inwentaryzację. Użyteczność Biblioteki dla naukowców, przybywających do jej jedynych polskich dokumentów z XVIII i XIX wieku, byłaby zwiększona, gdyby czytelnia mogła być otwarta w ciągu większej ilości godzin dziennie i w ciągu dłuższego okresu w roku — a to uwarunkowane jest dalszym

pomnożeniem zespołu pracowników. Konieczne jest odrestaurowanie wielkiej stylowej sali odczytowej i przyległych salonów. Na tablicach marmurowych zdobiących dziedziniec, gdzie jest wyrytych kilkadziesiąt nazwisk osób zasłużonych dla Biblioteki, powinno się dopełnić ich nieprzerwany ciąg przez dodanie takich, jak Franciszek Pułski, Kajetan Morawski, Czesław Chowaniec, Wiesław Jąbrowski.

To pewne, że ta zasłużona placówka, pozostała w spadku po Wielkiej Emigracji, musi zachować oblicze godne jej historii i mieć zapewnione warunki dla dalszego pełnienia swej historycznej roli — ogniska badań naukowych, żadną cenzurą nie ograniczonych i wszystkim dostępnym.

W. Ż.

Matka Boska Kozielska

Polemika w listach pp. Grażyny Nowak i Marii Tarnawskiej w *Kulturze* Nr 10/349 i 1/352-2/353, dotycząca obrazu Matki Boskiej Kozielskiej, zmusza mnie, jako twórcę tego obrazu, do zabrania w tej sprawie głosu.

Zdawać by się mogło, że historii Obrazu powtarzać nie potrzeba. Pisało się o nim wielokrotnie, począwszy od Kozielska, przez Griażowiec, potem, po amnestii w prasie wojskowej i cywilnej na Wschodzie, w biuletynach Biskupa Polowego itd. Były to artykuły, wiersze, modlitwy, fotografie, obrazki. Pisał Witold Charkiewicz, pisali inni, ale przede wszystkim pisał Generalny Sekretarz Koła Rycerzy Religijnych Tadeusz Birecki, który był ze mną w Kozielsku. Czasem pisał on pod pseudonimem Andrzej z P. Artykuły jego pełne były różnych szczegółów, ale tak on, jak i wszyscy inni, pisali tylko o jednym obrazie, a mianowicie o płaskorzeźbie Matki Boskiej Zwycięskiej. Tylko o Niej — bo innej nie było!

Wszystko by było dobrze gdyby nie artykuł podpisany przez Andrzeja z P., który ukazał się w *Dzienniku Żołnierza A.P.W.* dnia 1 grudnia 1943, w którym p. T. Birecki, w jeszcze innej wersji powstania Obrazu — podkreślając swoje i swojego stowarzyszenia zasługi — podaje sensacyjną wiadomość, że został on zrobiony na zamówienie Koła Rycerzy i zapłacony machorką (!), i że „po skończonej wojnie obraz ten wraz z materiałami liturgicznymi ma wrócić pod opiekę prawnych właścicieli do jednej ze świątyń Instytutu Matki Boskiej Zwycięskiej w Polsce”.

Gdybym był o tym uprzedzony i gdyby to wszystko było prawdą — prawdopodobnie nie miałbym nic przeciwko temu. Ponieważ jednak *nikt poza mną* nie był właścicielem Obrazu — zareagowałem na to przekazując go Armii Polskiej na ręce Dowódcy Armii gen. Wł. Andersa. Akt darowizny został sporządzony w trzech egzemplarzach. W odpowiedzi dostałem: „Przyjąłem w imieniu A.P.W. Wyznaczam kuratora Obrazu płk. Rohma. Wł. Anders. 24. 12. 43”.

Andrzej z P., czyli T. Birecki, dał wyraz, w prasie polskiej na Środkowym Wschodzie (rok 1944), swemu oburzeniu na moje rozporządzenie się Obra-

zem i przy spotkaniu się z mną powiedział mi wprost, że będę zniszczony razem ze swoim obrazem. Groźne ostrzeżenie zaintrygowało mnie i po kilku tygodniach wpadłem niespodziewanie do Domu Polskiego w Jerozolimie gdzie Birecki mieszkał w styczniu 1944. Zauważyłem na środku pokoju sztalugi z nieskończonym obrazem olejnym. Była to Madonna z Dzieciątkiem; na moje zapytanie — p. Birecki potwierdził, że on jest autorem tego obrazu.

Po dwóch miesiącach w *Dzienniku A.P.W.* ukazał się na pierwszej stronie artykuł z fotografią i tytułem: „Wielka inauguracja obrazu Matki Boskiej Zwycięskiej z Kozielska pędzla Michała Siemiradzkiego. Szaty (koszulka na szkle) malowane przez Tadeusza Terleckiego”. Z fotografii poznałem twarz Madonny i Dzieciątka z obrazu, do którego autorstwa przyznawał się p. Birecki. W artykule podano do wiadomości, że obraz został namalowany w Kozielsku koło Wielkiejnoy 1941.

Tak więc powstał drugi obraz Matki Boskiej Zwycięskiej z Kozielska pędzla M. Siemiradzkiego — w Jerozolimie, w mieszkaniu T. Bireckiego w roku 1944...

Z Siemiradzkiem żyłem w najlepszej zgodzie aż do jego śmierci. W obozie w Kozielsku widziałem wszystko co robił, szczególnie na ten temat. Miał on szkic wielkości pocztówki, zrobiony na płótnie, które wyglądało na kawałek wydarty z kieszeni starych spodni. Na tym płótnie, sepią, naszkicował dwa koła jako aureole, dwa owale jako twarze i kilka kresek jako ręce i szaty. Szkic ten więc, zrobiony rzeczywiście w Kozielsku i rzeczywiście przez Siemiradzkiego posłużył p. Bireckiemu jako podstawa do zrobienia drugiego obrazu Matki Boskiej Kozielskiej i użycia dobrego nazwiska Siemiradzkiego. Chcąc podejrzania poprzeć dowodami napisałem do Siemiradzkiego prosząc o wyjaśnienie. Długo nie miałem odpowiedzi, aż dostałem. Przeproszał za zwłokę, ale nie chciał odpowiadać na gorąco... chciał ochłonąć ze zdenerwowania... przynajmniej, że obraz swój skończył malować w Jerozolimie!

Na naturalnie nasuwające się pytanie dlaczego przez prawie trzy lata nikt nie słyszał o istnieniu drugiego obrazu — odpowiedź jest łatwa. Dopiero od czasu utraty przez Koło Rycerzy pierwszego obrazu w roku 1943 zaczął powstawać drugi obraz pędzla M. Siemiradzkiego. Z tą chwilą rozpoczęły się próby „zniszczenia mnie i mojego Obrazu”, jak mi to „obiecał” p. Birecki. Jednym z przykładów próby pozbawienia mnie autorstwa pierwszego obrazu jest opis w języku angielskim w Biuletynie Anglo-Polish Catholic Ass. w lutym 1950 ceremonii wprowadzenia obrazu-płaskorzeźby Matki Boskiej Kozielskiej do Brompton Oratory. Na tę uroczystość byli zaproszeni przedstawiciele władz kościelnych, cywilnych i wojskowych, polskich i angielskich, z wyjątkiem mnie. Między innymi czytamy w tym Biuletynie: „... *in strict secrecy two artists-officers, Siemiradzki and Zielinski, by a combined technique of wood-engraving and painting, produced a small but most moving picture of Our Lady and Child...*”. Artykuł podpisał Jan Baliński Jundziłł.

Podczas mojej wizyty w Rzymie w 1950 roku ks. Biskup Gawlina polecił mi zwrócić się do ks. prałata Cieńskiego, opiekuna obrazu, z prośbą o wypozyczenie go na międzynarodową wystawę sztuki religijnej w Rzymie. Obraz miałem przywieźć osobiście wprost do ks. Biskupa. Po powrocie do Londynu zwróciłem się do ks. prałata przekazując polecenie ks. Biskupa i ku memu zdziwieniu ks. prałata odmówił wydania obrazu, twierdząc, że jest on jego prywatną własnością. Rzekomo kupił go ode mnie w Egipcie za £ 11.00 (jedenaście funtów!). Jak przez mgłę przypomniałem sobie, że rzeczywiście zgłosił się do mnie jakiś osobnik z taką propozycją, ale mu odpowiedziałem, że obraz mój nie jest do sprzedania, bo podarowałem go Wojsku 24. 13. 43, z czym przybysz odszedł.

Niestety, obraz Matki Boskiej Kozielskiej na wystawie w Watykanie nie

był... niedługo też po tym ks. prałat przestał być opiekunem i proboszczem w Brompton Oratory.

Pani Maria Tarnawska pisze o dwóch bliźniaczych obrazach między innymi tak: „...żaden z artystów nie został przez bolszewików nakryty przy pracy nad obrazem Matki Boskiej. Więźniowie pilnie strzegli swojej tajemnicy i z wiosną 1941 mieli już nie jeden a dwa obrazy w identycznym ujęciu, lecz wykonane różnymi technikami, na dwóch połowach deski ze starego ikonostasu”. Wszystko niezgodne z prawdą! Obraz, którego nie było w Kozielsku nie mógł być nakryty — to jasne. Natomiast i ja i moja płaskorzeźba byliśmy nakryci. Politrak złapał mnie przy pracy nad Obrazem. Uratowało mnie tylko to, że tydzień przed „wpadką” przehandlowałem mu kilimek, który mu wpadł w oko.

Jest w Londynie płk R. Borecki, który był ze mną w Kozielsku. Znany był tam z tego, że miał najlepszą ewidencję wszystkiego co się dzieje w obozie. On to odkrył freski Madonny w magazynie. On to widział płaskorzeźbę Madonny podczas Jej narodzin. Ale ani nie widział, ani nie słyszał o żadnym innym obrazie. On też zwrócił się do mnie z prośbą o napisanie tego wyjaśnienia w imię prawdy historycznej. Robię to jak potrafię najlepiej, choć wiem, że pióro moje nie jest tak ostre jak dłuto.

Pozostaje mi już tylko odpowiedzenie na trzy pytania p. Grażyny Nowak.

1) Czemu obraz Siemiradzkiego jest tak mało znany, skoro jest również autentyczny?

Moja odpowiedź: — Bo minął już wiek bezkarnych fałszerstw i przy dzisiejszej technice łatwo jest udowodnić czas powstania i użyte materiały.

2) Kto i na jakiej podstawie zaaranżował maskaradę obrazu Zielińskiego?

Moja odpowiedź: — W październiku 1957 ks. prałat K. Sołowiej, jako dobry opiekun obrazu i gospodarz, zwrócił mi uwagę, czyli polichromia na obrazie, niszczeje, farby pękają, kruszą się i spytał jak na to zaradzić. Zaproponowałem by skorzystać z fachowej porady p. T. Terleckiego, który przed wojną był konserwatorem w muzeum w Tarnowie a obecnie mieszka w Londynie. Wobec tego, że Polskie Stowarzyszenie Byłych Więźniów Sowieckich podjęło się sfinansować konserwację — powstał Komitet, do którego weszli: ks. prałat Sołowiej, dr Z. Stahl, kpt. E. Lubomirski, T. Terlecki i ja. Prace miały rozpocząć się z początkiem czerwca 1958 roku. T. Terlecki, jako konserwator, zaproponował wymianę starych farb olejnych na bardziej trwałą technikę jaką jest tempera. Propozycję zaaprobowaliśmy, prosząc p. Terleckiego, by przed wymianą dobrze zanotował stare kolory; dodałem, że kiedy znacznie nakładać nowe — chcę być przy tym osobiście. Po zdjęciu kolorów, konserwator Terlecki skrupulatnie i pieczołowicie umieścił stare kolory w srebrnej szkatułce, która należy do Obrazu. Przy zakładaniu nowych farb tempery mnie nie było, bo p. Terlecki mnie nie powiadomił o tym mimo naszej umowy. Natomiast zawiadomił ks. prałata i mnie, że obraz jest gotowy. Gdy obraz zobaczyłem — oczom nie wierzyłem. Płaskorzeźba została dowolnie przemalowana, co całkowicie zmieniło jej charakter obrazu-rzeźby. Powiedziałem ks. prałatowi, że będę musiał sam doprowadzić Obraz do jego pierwotnych kolorów, na co się ks. prałat nie zgodził, bo już zostało zapowiedziane na następny dzień uroczyste zawieszenie obrazu. No i taki obraz został zawieszony i do tej pory wisi...

Kiedy inne kraje budują kościoły pod wezwaniem tej Madonny, to w macierzystym Jej kościele św. Andrzeja Boboli nie ma dla Niej ołtarza nawet w bocznej nawie! Jest nieoświetlona, co dla płaskorzeźby jest niezbędną koniecznością.

Odpowiedź na trzecie pytanie p. Nowak — dlaczego ta cenna pamiątka religijna, historyczna i patriotyczna, będąca w sercu polskiego Londynu, od

lat jest ukrywana w ciemnym kącie — dał mi historyk sztuki religijnej, z którym kiedyś na ten temat rozmawiałem. Okazuje się, że wiele kół katolickich jest z mojego powodu w niewygodnej sytuacji. Jest to bowiem pierwszy wypadek w historii sztuki, żeby za życia twórcy jego dzieło stało się przedmiotem kultu. Wnioski z tego pozostawiam do wyciągnięcia Czytelnikom.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

T. A. ZIELIŃSKI

Listem p. T. A. Zielińskiego zamykamy dyskusję na temat obrazu *Matki Boskiej Koziełskiej*. Obraz ten cieszy się prawdziwym kultem nie tylko na emigracji. Mamy nadzieję, że kompetentne władze kościelne zechcą tę przykrą sprawę wyjaśnić. Redakcja.

SPROSTOWANIE

Do wiadomości o azylu politycznym w Szwecji (patrz *Kultura* nr 3/354, str. 120) wkradła się pomyłka. W zdaniu „zgłoszenie o azyl polityczny ma nastąpić jak najwcześniej...” winno być „nie wcześniej niż po upływie 36 godzin”, a nie, jak mylnie podano, „nie później jak po upływie 36 godzin”. W tym czasokresie policja miała bowiem prawo z własnej decyzji wydaląc osobę przybyłą do Szwecji. Termin powzięcia decyzji przez policję wydalenia ze Szwecji osób ubiegających się o stały pobyt i pracę został rozszerzony do 8 dni. Termin ten ma być znowu rozszerzony a przez to samo także i kompetencja policji; ma to nastąpić 1 lipca bież. roku. Terminy te w dalszym ciągu nie dotyczą osób ubiegających się o AZYL POLITYCZNY, to znaczy zrywających z reżymem kraju swego pochodzenia ze względu na grożące im tam niebezpieczeństwo.

FRAGMENTS

Redaguje CHARLES JOEL

Rozpoczęto 4-ty rok działalności, dotyczącej przekładów artykułów *Kultury* na język angielski. Prenumerata na rok 1977 — 10 numerów — wynosi dol. 8.50 włącznie z kosztami przesyłki. Indeksy wysyłane są bezpłatnie na indywidualne zamówienia.

Każdy nowy prenumerator, który wpłaci dol. 23,50 będzie miał pokryty abonament na dwa lata 1977 i 1978 a ponadto otrzyma dwa tomy *Fragments* za lata 1974 i 1975 (20 numerów). Ze względu jednak na ograniczoną ilość dawnych numerów Redakcja zastrzega sobie prawo odmowy powyższej oferty i zwrot nadesłanych pieniędzy, gdyby zamówienie przyszło już po wyczerpaniu nakładów.

Zamówienia i czeki należy przysyłać do:

FRAGMENTS

Correspondance Home Study of Languages
P.O. Box 744, Sutter Creek, Cal. 95 685. U.S.A.

Kronika kulturalna

"Wiek męski"

Geneviève poświęcam

Upokorzenie i natychmiast radość zalewająca wszystko, radość że w moim wieku jest mi jeszcze dane widzieć, przeżyć jakby nowe rodzące się życie, wiązanie się w oczach moich, tężenie i wzrost zespołu ze wszystkim co ten zespół w sobie kryje i pasji bezinteresownej, i hojnej przyjaźni, i tego szerokiego rozrzutu planów, i już zrealizowanych czy dopiero się realizujących zamierzeń.

I że wszystko to, co powstaje koło jednego niezwykłego człowieka dać może, już daje, rzeczy niezwykle, nieosiągalne przez żadnego z nas pojedynczo.

To pierwsze odkrycie i odruch upokorzenia? Z czego? Że już mnie dziś nie stać na taki rzut serca całkowicie, aż fizycznie ogarniający, na takie oddanie się jednej wspólnej sprawie, i jednoczesna radość, że widzę znowu tyle wysiłków scalonych w jedno, i tyle wiary, by wzruszyć z posad bryłę świata, bo ostatecznie na dnię takich wspólnych zrywów tkwi zawsze nadzieja przekraczająca największe możliwości.

Pierwszy raz odczułem na swój rachunek

„i pust' nad grobowym wchodom
mładaja budiet żizń igrat”.

Chcę tu pisać o wydawnictwie lozańskim „L'Age d'Homme” („Wiek męski”) i o jego twórcy Władimirze Dimitriewiczu, o instytucji, która święci swoje dziesięciolecie i ma już za sobą 500 wydanych książek. Wiem o jej istnieniu od dawna, a Dimitrie-

wicz jest od kilku lat moim przyjacielem — ale teraz dopiero, po spędzeniu blisko miesiąca w Lozannie, odkryłem go na nowo w biurze jego wydawnictwa, gdzie przyjrząc się mogłem rozmachowi instytucji i pełnemu wymiarowi człowieka.

Niestety zdobyć się mogę jedynie na impresjonistyczny reportaż z tego co zdążyłem sam zobaczyć podczas parotygodniowego pobytu w Lozannie. Nie potrafię zdać sprawy jak ta instytucja powstała i w 10 lat tak się rozrosła, jak tworzył się zespół czy przedniej zespoły, które z Dimitriewiczem pracują, jaki wkład włożony tu został przez Zurychski Instytut Sztuki (Dzieło o Sutterze), jaki przez Uniwersytet Genewski z dziekanem Bernardem Gagnebin na czele (Amiel) czy „Centre International de Recherche Scientifique” do działu „Slavica”, którym kierują wspólnie z Dimitriewiczem Georges Nivat i Jacques Catteau. Nie piszę tu również o najbliższym kręgu jego młodych przyjaciół i współpracowników w samej Lozannie. Wymienię tylko paru, których bliżej poznałem spośród wielu innych: Jean Louis Kuffer, pisarz i krytyk, R. Aeschlimann, autor fantastycznych grafik, pokrewnych Toporowi i nawet Cieślewiczowi, Jil Silberstein, autor 2-ch tomików poezji i wyznawca Cwietajewej i Trakla, pracujący obecnie nad książką o nim.

Jeżeli piszę o aurze, którą stworzył Dimitriewicz koło siebie, myślę szczególnie o tej młodzieży, którą Dimitriewicz potrafił skupić i która stała mi się bliska przez swój entuzjazm i pasję sztuki.

Wysokie komnaty jednego z pięter ogromnego gmachu „Metropol”, książki wszędzie, na z desek skleconych aż po sufity kondygnacjach, na dużych zwykłych stołach, na podłodze — wszędzie — nawet na dwóch wysiedzianych, jak stare gniazda, fotelach. Dimitriewicz przy wielkim stole na wprost od wejścia, na tle wysokiej ciemnej ściany, gęsto zaklejonej fotografiami, powiększonymi rysunkami, karykaturami wydanych przez niego pisarzy, czy wprost przyjaciół, Ramuz, Cingria — aż po wybijający się na tym tle świetny afisz Aeschlimanna z masywną tragiczną twarzą Witkacego, który pod maską ponurego kawalarza był autentycznym prorokiem klęsk, które na nas wszystkich runęły. „*Mon écrivain préféré*” — mówi o nim wydawca.

Zastaje wydawcę prawie codziennie od rana bez surowych sekretarek („Pan Dyrektor nie przyjmuje, ma ważną konferencję”), sam jest własną sekretarką i siedzi naprzeciwko wejścia. Co najdziwniejsze, że pomimo nieustającego wiru spraw, konferencji z jednym, trzema, czy pięciu współpracownikami czy gośćmi twarz ma nie steraną nie nerwową i przeważnie naznaczoną dobrym uśmiechem. A wchodzi i wychodzą tam ludzie jak do młyna i z młyna. Prawda, że dyrektor co raz to przepada, bo jeździć musi do trzech drukarni, z których dwie są we Francji, i prawie co tydzień do Paryża — jednego z głównych centrów zbytu jego książek. Jeździ zawsze w ogromnym aucie-breku,

zawalonymi książkami i tam czuje się pono najlepiej, żaląc się jedynie, że auto nie jest jeszcze większe.

By móc poważnie zdać sobie sprawę z działalności tego wydawnictwa trzeba byłoby przeczytać kilka setek książek, czy choćby je przejrzeć. Musiałbym mieć kulturę, znajomość rzeczy, erudycję jaką rozporządzał na przykład Jerzy Stempowski, by się w skali i w klasie tych wydawnictw naprawdę zorientować. Próżna nadzieja! Pozostaje opowiedzieć jak potrafię, o założycielu tej instytucji i jego zamiarach na przyszłość i o paru książkach przez niego wydanych które tam odczytać czy chociażby przewertować zdążyłem.

Dimitriewicz jest Jugosłowianinem, przedziej Macedończykiem, choć i to jest jeszcze uproszczenie. Słuchając historii Jugosławii, od wczoraj do najdalszych czasów, opowiadanej tak, że IX-ty czy XI-ty wiek wyczuwa się jakby to było wczoraj, historii walk, inwazji, nawarstwień przeróżnych kultur i ras, musiałbym i o korzeniach Dimitriewicza, które tak znaczą w jego stosunku do świata, pisać o wiele szerzej.

Po opuszczeniu Jugosławii Dimitriewicz był przez 10 lat księgarzem w Szwajcarii i dopiero potem stworzył „L'Age d'Homme”. Dzisiaj opowiada, jak już w okresie swej pracy księgarskiej marzył by móc kiedyś odkryć Zachodowi zbyt mało znany świat literatury środkowo- i wschodnioeuropejskiej. Zadziwiła go nieprzemakalność wydawców, zwłaszcza paryskich, ich głuchota nie tylko na literatury słowiańskie, ale nawet niemiecką, obojętność wobec przemian społecznych, kulturalnych i wydarzeń w dziedzinie literatury krajów, które w ostatnim półwieczu zostały przeorane przez wojny i rewolucje. „Moje próby zachęcenia paryskich wydawców do wydawania pisarzy tych krajów spaliły na panewce. W tym okresie spotkałem szwajcarskich przyjaciół, którzy mi pomogli stworzyć własne wydawnictwo”. W wywiadzie, udzielonym w związku z 10-leciem wydawnictwa, Dimitriewicz podkreśla, że był zawsze zainteresowany autorem, człowiekiem, tym co on z siebie wyrazić może w rękopisie. „Nigdy nie będę drukować manifestów partii, dzieł podporządkowanych sztywnym ideologiom. Reaguję również na rzeczy aktualnie porzucone, chcę ratować bogactwo i różnorodność wydawnictw. Przejmuje mnie przy tym wszystko, co przyniosły nam wieki ubiegłe. Moim pragnieniem jest biblioteka idealna, składająca się z różnych literatur europejskich, chciałbym oprowadzać po niej czytelnika jak poprzez ogród, w którym byłby szczęśliwy. To moje marzenia”.

Otóż co najczęściej uderza w bibliotece Dimitriewicza, to niewiarygodna różnorodność: od pełnego wydania pisarza-poety szwajcarskiego, Charles Alberta Cingrii, od ogromnej monografii Louis Suttera, zapoznanego szwajcarskiego van Gogh'a, po cały teatr Witkacego, czy drapieżne książki Alberta Coraco, nowego Spenglera, głoszącego upadek Zachodu, przede wszystkim Francji, po dzieła teologiczne Ojca Floryńskiego!

To wydawnictwo w pełnym rozroście posiada obszerny dział literatury szwajcarskiej, w tym dzieła wszystkie (15 tomów) Cingrii, o którym wspominałem, dwa pomnikowe tomy o Louis Sutterze, poza tym szereg tomów szwajcarskich pisarzy, powieściopisarzy, eseistów, aż po największe jakoby przedsięwzięcie francuskiej Szwajcarii: pełne wydanie „Journal intime” Amiela, który dopiero dziś, prawie 100 lat od jego śmierci, ma się ukazać.

To jedyny w swoim rodzaju dziennik, który czytał i wielokrotnie cytował Tołstoj, porównując Amiela do Marka Aureliusza i Epikteta, którym się przejmował Renan, Mathew Arnold, a już za moich czasów pisali o nim Gide, Charles du Bos, Thibaudet i na pewno wielu innych; ale był czytany dotychczas prawie wyłącznie w szczupłym wyborze, wydanym w 1882 roku. „L'Age d'Homme” podjęto się wydać go w całości, to jest 17.000 stron! Ukazać się ma w jedenastu tomach, pierwszy — ponad 1.000-stronicowy — wzorowo opracowany właśnie się ukazał, opatrzone wyczerpującymi i ważkimi wstępami Bernarda Gagnebin i Georges'a Poulet. Jest to wydarzenie na miarę światową i myślę, że za 10 lat nie będzie poważnej biblioteki, która by tych jedenastu tomów nie nabyła.

Przechodzę do działu dla nas najbardziej interesującego — do *Slavica* i klasyków słowiańskich. Dział tłumaczeń z rosyjskiego jest w nim najszerszy: od pełnego Puszkina, od Leskowa, Bakunina, Herzena, prozy Błoka, Bietyja (tłumaczenie jego „Petersburga” przez Georges Nivat i Jacques Catteau było pewnego rodzaju sensacją w Paryżu), poza „Apokalipsą naszego czasu” Rozanowa, rozdartego pomiędzy chrześcijaństwem i religiami antycznymi, summa Ojca Floryńskiego, którego Rozanow nazywał Pascalem prawosławia, ukazały się tomy Szestowa, Bułgakowa, Mandelsztama, Zamiatina, Płatonowa i iluż innych! kończąc na razie na ostatniej sensacji — „Zijajuszczije wysoty” Zinowiewa, profesora uniwersytetu moskiewskiego, autora tłumaczonych na angielski książek o logice i metodologii nauki. Według krytyków, którzy tę ponad 500 stron makiem napisaną książkę naprawdę przeczytali, ten pamflet, gdzie czarny humor spleciony jest z fantastyką i jednocześnie drapieżnie realistyczną obserwacją rzeczywistości sowieckiej pod maską miasta Ibańska, zarążonego socyzmem, chyba tylko przypomina okrutny humor Swifta. Píše o nim Adam Kruczek w *Kulturze*.

W tym samym dziale mamy tomy studiów o Rosji, jej literaturze, historii; znawców Rosji tej miary co Pierre Pascal i Michał Bachtin, po książkę „Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka” Michała Hellera, która ukazała się w polskim tłumaczeniu w Instytucie Literackim*, kończąc na ważkim studium o Sołżenicynie pióra Georges Nivat, który ustawił go w wielkiej tradycji Awwakuma i księcia Kurbskiego.

* Biblioteka „Kultury”, Tom 251, str. 324.

Tu jeszcze wspomnieć należy kapitalny tom Valentine Marcadet, należący do działu sztuki, obfitujący w świetnie dobrane ilustracje od malarstwa rosyjskim od 1863 do 1914 roku, a więc od pozytywistycznych realistów i złych malarzy Pieredwiżników, od epoki „Mira Iskusstwa” (pisma, które w latach 90-tych ubiegłego stulecia zogniskowało nowe prądy, nie tylko malarstwa, ale i literatury, jak u nas w tym samym okresie krakowskie „Życie”), kończąc na rosyjskim futuryzmie aż po abstrakcjonistów — jak Kandinski i Malewicz. Czytając rozdziały tej książki, tyczące okresów bliżej mi znanych, uderzył mnie świetny warsztat tej pracy, wybór tego co naprawdę ważne, oparcie się na możliwie pierwszych źródłach informacji ustnych, tekstów polemicznych, krytyk i nawet listów epoki.

Zaraz po dziale rosyjskim idzie dział polski, ilościowo mniej obfity, ale pomyślany równie szeroko w czasie, bo od „Sonetów krymskich” Mickiewicza po Grotowskiego i Pankowskiego; ale punktem centralnym to dzieło S. I. Witkiewicza, *cały* teatr Witkacego! oraz „Nienasylenie” i „Pożegnanie jesieni” — **wszystko** w tłumaczeniu Alain van Crugtena, które zdaje mi się wprost wyczynem talentu i wiedzy człowieka. Porwał się on na tłumaczenie tej genialnej nowo-mowy a w dodatku również napisał i wydał książkę o Witkacym „U źródeł nowego teatru”.

„L'Age d'Homme” zamierza poza tym wydawać co roku „Zeszyty Witkiewicza” (na wzór „Cahiers de Proust”), gdzie ukazywać się będą inedita oraz eseje i wspomnienia o pisarzu. Jeżeli dziś Witkacy stał się już pisarzem i dramaturgiem światowym, zawdzięczamy to Dimitriewiczowi.

W tym samym wydawnictwie ukazała się „gęsta” książka o Augustcie Zamoyskim, który pierwszy odkrył Dimitriewiczowi istnienie Witkiewicza. Książka o Augustcie Zamoyskim „Poza formizm” to całe compendium tekstów Zamoyskiego i tekstów o nim. Po pięknym wstępie jego żony, gdzie go rysuje takim, jakim był w ostatnich latach swego życia, mamy tam historię rozwoju jego sztuki, która poszła wbrew modzie tamtych lat, bo od sztuki abstrakcyjnej czy półabstrakcyjnej, od Formizmu ku sztuce coraz bardziej figuratywnej i bliskiej realizmu i to o akcencie coraz silniej religijnym. Mamy tam rozdziały przez Zamoyskiego pisane o jego przekonaniach, o jego rozwoju, poza tym rozdział dla każdego rzeźbiarza pasjonujący, a w swoim czasie odkrywczy, o zapomnianej od lat technice *de la taille directe* — o rzeźbieniu bezpośrednio w kamieniu. Sam będąc daleki od rzeźby, czytałem to z pasją jeszcze w 1938, a teraz znów. Ten wykład precyzyjny, plastyczny, gdzie każdy szczegół pracy, każde narzędzie, każdy sposób konkretnego podejścia do rzeźbionego człowieka czy przedmiotu godny jest nie tylko uwagi — uczy czym jest pełna praca twórcza, bo artysta łączy w sobie nieokiełznany temperament, niepohamowany żywioł z tą precyzją

operowania materiałem i wielką siłą koncentracji. Znaliśmy się, przyjaźniliśmy się, to rozchodziliśmy się, coraz to tracąc się zupełnie z oczu. Poprzez tę książkę wróciły do mnie nie tylko moje wspomnienia, dały mi one widzenie całościowe tej wyjątkowej postaci. Czy naprawdę tylko śmierć daje nam tak pełną wizję nie fragmentów, ale całego człowieka?

Wśród wydawnictw literatur słowiańskich w „L'Age d'Homme” odkryciem dla mnie był skrawek zaledwie literatury jugosłowiańskiej: jedyne dwie książki, które mogłem przeczytać. Zostały mi wspomnienie specyficznej aury, nigdzie z tą siłą nie wyrażonej, aury nasiąkniętej czuciem ziemi, pór roku, nieba i jakby nieustannego współżycia człowieka ze śmiercią.

Książka poety Miłosza Czarnojewicza, to zaczynający się od zamachu w Sarajewie dziennik żołnierza serbskiego, zmuszonego bić się przeciwko swoim; jego choroba — między innymi w szpitalu krakowskim. Świadek okrucieństw, bez przerwy przelewanej krwi, nicości mitu wojennego. Umiera na suchoty w domu rodzinnym, opłakiwany przez stare ciotki, patrząc z uśmiechem na rozjarzone, pocięte o świcie delikatnymi smugami niebo...

Druga książka to krótka, rozłożona na dwa głosy, opowieść Bronimira Szczepanowicza. Ucieczka ze szpitala młodego człowieka, skazanego wyrokiem diagnozy lekarskiej na najwyżej 3 miesiące życia; ucieczka w góry Czarnogóra, góry jego dzieciństwa — bohater chce umrzeć — *sam*. Tam umiera, ale goniony i na śmierć zaszczytowany przez wypadkowo spotkanych obcych ludzi, którzy podejrzewają go że jest zbrodniarzem, bo dlaczego ucieka? Ten tekst jest połączeniem ścisłego realizmu, opisów natury, zapachów ziemi i traw, które wszystkie zna z imienia, z upiorami półprzypadkowego, śmiertelnie zmęczonego człowieka. Umrze w chwili, gdy nagle poczuje się oderwany od sfery goniących — sam wobec nieba i gór.

Nie umiem z niczym co czytałem porównać tej prozy tak przezroczystej i oszczędnej i tylko z dalekiej pamięci przypominam sobie „Les contes cruels” Villier de l'Isle Adam.

Te dwie książki odkryły mi świat nieznany, do którego chcę powrócić.

◆
„Komponować, to dowodzić armią myśli i obrazów” — pisał Amiel w swoim „Journal intime”.

Odczytując to tutaj napisałem muszę stwierdzić, że złym jestem dowódcą, moja „armia myśli i obrazów” częściowo się rozprzeczła i nawet „zdezercerowała”, zaledwie część zbyt impresjonistycznych myśli i obrazów potrafiłem tu spisać. Chciałem skończyć ten tekst krótką, ale bardziej pogłębianą stroną o tomach o Sutterze, jak o wielkim wydarzeniu malarskim. Decyduje się jednak o tym napisać później i osobno.

Dimitriewicz — jak to powiedział w zacytowanym przeze mnie wywiadzie — chce stworzyć bibliotekę składającą się z różnych

literatur europejskich, by móc oprowadzać po niej, jak po ogrodzie szczęśliwych czytelników.

Niech to, co tu napisałem, będzie świadectwem wdzięczności takiego właśnie szczęśliwego czytelnika.

Józef CZAPSKI

Czesi i Słowacy w latach 1975-1976

W artykule pt. „Czeska kultura ostatnich lat”, który ukazał się w nrze 6/332 *Kultury* z czerwca 1975 roku, podsumowałem wydarzenia w tej dziedzinie od końca roku 1973 do marca roku 1975. Animozje wewnątrz kierownictwa partii, narastające problemy gospodarcze — zwłaszcza w dziedzinie importu surowców oraz ropy naftowej (np. wciąż brakujące dewizy zachodnie i stale wzrastające ceny w Rosji), nierozwiązany problem stosunku władz do setek tysięcy ludzi wykluczonych z partii, niepewność kierownictwa co do reakcji sowietów na różne pociągnięcia oraz zainteresowanie czechosłowackim życiem kulturalnym a przede wszystkim represjami w stosunku do intelektualistów nie tylko zachodniej prasy „burżuazyjnej”, ale jeszcze większe prasy „bratnich partii” na Zachodzie — zwłaszcza włoskiej i francuskiej — wszystko to prowadzi do przymusowej ciszy w życiu kulturalnym. Urzędnicy od kultury boją się już nawet wznowień klasycznych sztuk na scenach teatrów — publiczność aktualizuje każdą wzmiankę o tyranii, okupacji, cenzurze, obłąkanych itp. oraz żywo reaguje.

Nie znaczy to, że władze postępują konsekwentnie. Tak samo jak w Związku Sowieckim zdarza się, że osoby, które nieustannie proszą o wyjazd na Zachód, dostają w końcu zezwolenie, chociaż wiadomo, że chodzi o oponentów wobec dzisiejszego reżymu. Tak np. Milan Kundera, którego książka „La vie est ailleurs” ukazała się w roku 1973 w Paryżu oraz uzyskała Prix Medicis (ale nie ukazała się dotąd w Czechosłowacji), mógł legalnie wyjechać do Francji, gdzie wyklada na uniwersytecie w Rennes — i ma prawo powrócić do kraju. Kundera nie jest osamotniony, takich wypadków jest więcej. Być może w Pradze chciano by, żeby takie niewygodne osoby skorzystały z okazji?

Jednocześnie stosuje się najróżniejsze sposoby poskramiania niesfornych intelektualistów. Od kary więzienia poprzez zakaz pracy w dziedzinie kultury, niedopuszczanie dzieci do szkół, zastraszanie, szkalowanie, niewydawanie już „zezwoionych” książek,

oraz zabieranie paszportów, do niesprawiedliwych ataków w prasie, puszcza się w ruch wszystko.

Czescy pisarze bronią się jednak w sposób bardzo przemysłny i — skuteczny. W odróżnieniu od rosyjskiego Samizdatu, który (przynajmniej częściowo) „nielegalnie” wydaje utwory niemające nadziei przejścia przez cenzurę, czeski odpowiednik *Edice petlice* (tzn. „Edycja Rygiel” — w języku czeskim wykorzystano rym) pracuje „legalnie”. Wszyscy autorzy podpisują się swoimi nazwiskami, piszą swoje utwory w ilości 20-30 egzemplarzy na maszynie oraz tę swoją własność pożyczają znajomym. W taki sposób od roku 1970 ukazało się przeszło 50 książek — powieści, nowel, zbiorów wierszy, esejów, sztuk teatralnych. Wśród autorów są wybitne nazwiska oraz kilku debiutantów. Oczywiście — krąg czytelników jest z natury rzeczy ograniczony, nie jest jednak mniejszy niż w wypadku Samizdatu. Jak dotąd sądy w Czechosłowacji nie zakwestionowały legalności rozpowszechniania tych utworów, które zresztą docierają coraz częściej na Zachód. Tekstów „Edycji Rygiel” zebrano się na Zachodzie już tyle, że niemiecka mutacja znanego czasopisma *Kontinent* wydała w roku 1976 specjalny „praski numer”, gdzie na 350 stronach opublikowano około 30 tekstów różnych autorów różnego rodzaju (oraz różnego poziomu) jako próbkę oraz informację o żywotności czeskiej literatury w podziemiu. Takie nazwiska jak A. Kliment, J. Trefulka, I. Klima, V. Havel, L. Vaculik, K. Sziktanc, J. Seifert, J. Grusza, B. Hrabal, V. Czerny, Z. Rotrekl świadczą, że „Edycja Rygiel” jest dziś najlepszym czeskim „wydawnictwem” na świecie.

Utwory z „Edycji Rygiel” ukazują się również na łamach czeskiej prasy emigracyjnej — i z Zachodu są przemykane (częściowo również nadawane przez radio) z powrotem do Czechosłowacji. Władze w kraju są na razie bezradne — mają do wyboru tylko trzy możliwości: pozostawić „Edycję Rygiel” w spokoju, złagodzić cenzurę i w ten sposób zlikwidować edycję, lub terrorem wobec autorów oraz czytelników spróbować położyć kres całemu przedsięwzięciu. Wydaje się, że w chwili obecnej tylko pierwsze rozwiązanie jest możliwe.

Oczywiście — oficjalne wydawnictwa w Czechosłowacji nawet po roku 1970 wydają pewną ilość ciekawych nowości czeskich autorów. Są to jednak wyjątki, gdyż większość dobrych pisarzy „skompromitowała się” nieugiętym stanowiskiem wobec sowieckich okupantów oraz ich pomocników. „Znormalizowany” Związek Pisarzy wciąż jest prawie wyłącznie klubem miernoty. Próbowano zachęcić niektórych wybitnych twórców do wstąpienia w szeregi Związku, ale wynik długotrwałej akcji jest bardzo ubogi. Ze znanych autorów tylko M. Holub, J. Szotola oraz B. Hrabal okazali skruchę — przy czym Hrabal zrobił to w formie listu, który można bardzo różnie interpretować. Państwowe wydawnictwa długo nie przejawiały ochoty wydawania utworów „pokutników”, co utwierdziło pozostałych autorów w ich bezkompromisowości. Niektóre utwory B. Hrabala ukazały się w końcu

w „Edycji Rygiel”. Nie jest wykluczone, że ten fakt zmusił narzeczcie wydawnictwo Związku Pisarzy w Pradze do wydania we wrześniu 1976 roku jego książki pt. „Postrzyżyny”. Autobiograficzny utwór dziś chyba najpopularniejszego czeskiego autora stał się największym wydarzeniem literackim roku 1976 w Czechosłowacji. Zniknął zresztą błyskawicznie — nakład 20 tys. egzemplarzy sprzedano spod ludy.

Czasami ukazują się niektóre utwory autorów, którzy nie są członkami nowego Związku Pisarzy oraz nie tają swego wrogięgo stosunku do reżymu — w takich wypadkach chodzi o starsze prace, jak np. tomy liryki ostatniego prezesa „nieznormalizowanego” Związku Pisarzy, wybitnego poety J. Seiferta. Jego starsze wiersze ukazują się drukiem „legalnie”, jego nowe wiersze rozpowszechnia „Edycja Rygiel”, jego protesty przeciwko terrorowi wobec czeskich intelektualistów ukazują się w prasie na Zachodzie.

Protestów dotyczących podobnych spraw jest zresztą dużo — czescy intelektualiści oraz niektórzy zwolennicy Dubczeka (z szeregów wykluczonych z partii polityków) zasmakowali w bezkarnym jak dotąd publikowaniu różnych apelów oraz otwartych listów w zachodniej prasie, częściowo też w prasie zachodnich partii komunistycznych. Szczególnego rozgłosu nabral protest czeskich pisarzy przeciwko procesowi młodych muzyków jazzowych, który ciągnął się — z przerwami — kilka miesięcy wiosną oraz latem 1976 roku. Dotychczas nie wiadomo, co skłoniło partię do wszczęcia tego procesu, co przyczyniło się do jego licznych przerw i co doprowadziło w końcu do surowego wyroku. Ma się wrażenie, że tylko pewne koła w partii były w procesie zainteresowane, i że w czasie procesu toczyła się za kulisami ostra walka. Ponieważ jazz jest w Czechosłowacji normalnie grany, trzeba było sięgnąć po niewiarygodne zarzuty — a więc rzekome chuligaństwo muzyków, sprośne wyrazy w tekstach piosenek, oraz niski poziom artystyczny wykonania (!). Chciało się więc skazać muzyków za każdą cenę. Zastraszenie szerokich kół młodzieży na pewno wchodziło w grę, wydaje się jednak, że chodzi i o inne sprawy: niektóre grupy w partii życzą sobie ożywienia życia publicznego w kraju nawet za cenę ustępstw (zresztą niedużych) poglądom młodzieży, natomiast silne skrzydło nieprzejednanych neo-stalinistów stara się z rozgłosem takie próby brutalnie stłumić. Zwyciężyły jeszcze raz jastrzębie, ale po zawziętej walce — niestety kilku młodych muzyków musiało pójść w rezultacie tego zwycięstwa na kilka lat do więzienia.

Władze czechosłowackie pomijają zazwyczaj milczeniem opublikowane protesty — tak samo zresztą, jak i wystąpienia publicystyczne czeskich emigrantów. Wyjątek jest znamieny. W dniu 3 lipca 1976 roku znana niemiecka gazeta *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, ogłosiła artykuł czeskiego historyka-emigranta z roku 1968 I. Pfaffa pt. „Praska wiosna może się powtórzyć”. Po pewnym czasie w tejże gazecie pracownik ambasady czechosłowackiej w NRF ogłosił list, w którym polemizował z emigrantem Pfaffem oraz udowadniał, że nowej „praskiej wiosny” nie będzie, bo...

historia nie powtarza się. Trudno domyśleć się, co skłoniło Pragę do podjęcia publicznej polemiki z emigrantem na tak drażliwy temat.

Praga ma dużo trudności z własną ludnością oraz z emigracją. Czasami przysparza jej trudności nawet Związek Sowiecki. W Moskwie zezwolono 84-letniemu marksistowskiemu filozofowi A. Kolmanowi odwiedzić córkę w Szwecji. Natychmiast po przyjeździe do Sztokholmu Kolman wystąpił z partii po 58 latach członkostwa, o czym zawiadomił otwartym listem Breżniewa. Sprawa jest również dla Pragi kłopotliwa, gdyż Kolman pochodzi z Pragi, ze środowiska czesko-żydowskiego. W latach 1945-48 kierował w Pradze propagandą w Komitecie centralnym, później zaś był dyrektorem Instytutu Filozofii CzAN w Pradze. Córka, którą Kolman odwiedził w Szwecji, jest żoną czeskiego fizyka F. Janoucha, jednego ze znanych, bardzo aktywnych członków „lewej” czeskiej emigracji.

Na emigracji punkt ciężkości działalności intelektualistów zdaje się przesuwać z kręgów czeskich i słowackich literatów — piszących po czesku czy po słowacku — do kół, publikujących w językach obcych. Jest to w pewnym stopniu odzwierciedleniem faktu, że liczni emigranci w średnim wieku stali się trwałymi członkami intelektualnego *establishment* u krajów zamieszkania. Poza tym niewątpliwie działa tu konieczność publikowania językowo dostępnych prac naukowych czeskosłowackich emigrantów, którzy w wielkiej ilości pracują na uniwersytetach Zachodu. Są wśród nich profesorowie piszący na tematy „nie czeskosłowackie”, jak teolog protestancki J. M. Lochman w Bazylei, ekonomista O. Szik w St. Gallen, socjolog J. Krejczy w Lancaster, estetyk V. Karbusický w Kolonii, filozof I. Svitak w Chico, filozof M. Lobkowicz w Monachium (rektor uniwersytetu) i wielu innych. Inni znów zajmują się z „urzędu” problematyką czeskosłowacką, jak profesorowie-sławiści M. Grygar w Amsterdamie, A. Mesztan w Fryburgu (NRF) czy L. Doležel w Toronto, dalej historycy jak A. Sznejdarek na Sorbonie czy F. Graus w Bazylei. Ten ostatni wydał w roku 1975 po niemiecku bardzo ciekawą książkę pt. „Żywa przeszłość”, w której rozprawia się z mitami narodowymi Niemców, Francuzów i Czechów, przy czym jako były oficjalny „husytolog” pokazuje Czechom mechanizm powstania mitologii husyckiej w XIX i XX wieku. Specjalne miejsce zajmuje J. Szkvorecký, który jest profesorem literatury amerykańskiej w Toronto, a jednocześnie wybitnym czeskim pisarzem oraz ruchliwym kierownikiem emigracyjnego wydawnictwa („68 Publishers”).

Niepolityczną organizacją czeskich i słowackich intelektualistów na emigracji jest istniejące od roku 1956 Czechosłowackie Stowarzyszenie Sztuk i Umiejętności (SVU) z siedzibą w USA. Wśród członków znajdują się też osoby innego pochodzenia, jak prof. Brock z Kanady, reżyser von Bülow z USA, dalej profesorowie Demetz, Gasiński, Głos, Harkins, Jakobson, Stankiewicz, Wandycz, Winner (wszyscy z USA), prof. Rudnycký z Kanady

oraz wielu innych. Z wybitnych Czechów członkami są np. dyrygenci światowej sławy Rafael Kubelik oraz Rudolf Firkusny, malarz A. Kohout-Lecocque, prof. René Wellek, książę Schwarzenberg i inni.

W sierpniu 1976 roku odbył się w Waszyngtonie ósmy kongres SVU, w którym wzięli udział delegaci oddziałów tej organizacji z całego wolnego świata. Do tematów obrad należały takie problemy jak Czesi i Słowacy w Ameryce, 50 lat od założenia praskiego Koła Lingwistów (w łonie którego powstał głośny dziś na cały świat strukturalizm), historia Czechosłowacji i in. Równocześnie otwarto wystawę prac 20 czeskosłowackich artystów z emigracji.

We wrześniu 1976 roku odbyła się w Szwajcarii Europejska Konferencja SVU, program której był podobny do programu kongresu w Waszyngtonie.

Na emigracji działa zresztą wielka ilość najróżniejszych organizacji Czechów i Słowaków — niektóre istnieją od wielu dziesiątków lat. Spis czasopism czeskosłowackiej emigracji obejmuje kilkaset pozycji. Niestety, dotychczas nie istnieje bibliografia książek czeskosłowackich, wydanych na emigracji — ukaże się ona dopiero w roku 1977 w wydawnictwie *Konfrontace* w Szwajcarii.

Czeska emigracja stara się utrzymywać kontakty z najnowszymi uchodźcami z Rosji — siedziba czeskiego czasopisma *Svedectvi* w Paryżu stała się pewnego rodzaju klubem czesko-rosyjskim, gdyż przychodzą tam liczni znani przedstawiciele rosyjskich dysydentów. Nie chodzi oczywiście o żadne wskrzeszanie panslawizmu. Czechosłowacka emigracja chce po prostu pokazać, że nie utożsamia okupacji swego kraju w sierpniu 1968 z narodem rosyjskim, rosyjscy emigranci chcą zaś udokumentować, że z tym aktem imperializmu sowieckiego demokratyczna inteligencja rosyjska nie chce mieć nic wspólnego.

W czeskich wydawnictwach emigracyjnych ukazuje się sporo tłumaczeń z rosyjskiego, przede wszystkim w wydawnictwie *Konfrontace* w Szwajcarii (książki Sołżenicyna oraz innych dysydentów). Żona J. Szkvoreckiego, Z. Salivarova, wydała w 68 *Publishers* powieść „Niebo, piekło, raj” z niecodzienną tematyką jak na książkę emigracyjnej pisarki: chodzi o miłość czeskiej dziewczyny do sowieckiego sportowca w Pradze lat 50-tych. Zakochani porozumiewają się po rosyjsku, ale chłopak jest Łotyszem, nienawidzącym rosyjskich okupantów swego kraju. Władze sowieckie zresztą szybko położyły kres miłosnej idylli: sportowiec musiał powrócić do domu, nie zezwolono mu na dalsze wyjazdy za granicę i w końcu aresztowano go. A więc przyjaźń czesko-sowiecka, tylko w pewnym sensie *à rebours*.

M. Forman, czeski reżyser filmowy, żyjący w USA, uzyskał sporo Oskarów za swój ostatni film nakręcony w Hollywood. Praga nie wie jak się ma zachować. Parę lat temu, kiedy czeski astronom Kohoutek odkrył słynną kometę, nazwaną jego imieniem, czeska prasa w kraju podkreślała jego czeskość „zapo-

mniała” tylko dodać, że żyje on na Zachodzie, oraz że odkrycia dokonał w Hamburgu.

Na Zachodzie więc działalność czeskich i słowackich pisarzy, artystów oraz naukowców rozwija się bardzo dobrze; w ostatnich latach doszło do stabilizacji. Ogromna większość tzw. posierpniowej emigracji (tzn. po roku 1968) doszła do przekonania, że chodzi o trwałą emigrację. Dlatego też niemal wszyscy przyjęli obywatelstwo krajów zamieszkania, lub starają się o nie — nie wyłączając byłych działaczy partyjnych, którzy jako „dubczakowcy” znaleźli się na Zachodzie.

W kraju doszło również do pewnego rodzaju stabilizacji: inteligencja w swojej większości przezwyciężyła resztki szoku z lat 1968-69. Świadczy o tym działalność twórczej inteligencji, która stara się wykorzystać wszystkie możliwości, jakie jej pozostały: próbuje „legalnie” publikować swe dzieła (np. Hrabal, Paral i in.), w razie niemożności pozostaje albo „Edycja Rygiel” (np. Kliment, Sziktanc i in.), albo publikacja na Zachodzie (np. Kundera, Kohout i in.) — często łączy się te wszystkie możliwości. Organizuje się również prywatne przedstawienia teatralne czy nawet operowe (w mieszkaniach — np. utwory Havla), czy koncerty w zamkniętych pomieszczeniach np. grupa muzyków jazzowych). Takie życie kulturalne w katakumbach prowadzi oczywiście do coraz silniejszej elitarności autorów, dzieł i uprzywilejowanej publiczności, ale na to nie ma rady. Znacznie gorzej przedstawia się sytuacja w dziedzinie nauk społecznych. Część wybitnych pracowników wyemigrowała, lub została usunięta z uniwersytetów i instytutów Akademii Nauk. Na ich miejsca przyszła z reguły anonimowa miernota. Ale nawet na tym odcinku sytuacja powoli zaczyna się zmieniać — przyczyną jest naturalna wymiana pokoleń. Z uniwersytetów napływają młode kadry, które wprawdzie nie interesują się Dubczkiem, ale dla których Husak jest tylko figurą „na szczycie”, a partia i marksizm częściami nudnego, obowiązującego systemu i rytuału. Jest to pokolenie w dużej mierze cyniczne, podziwiające możliwości Zachodu oraz śmiejące się z Rosji i ze starszych panów, jakimi stali się dla nich neostaliści na kierowniczych stanowiskach. Władza — tzn. właśnie owi neostaliści — stara się działać przede wszystkim represyjnie: nie chce dopuścić podejrzanych do szkół wyższych, oraz kontroluje tematykę prac doktorskich (osławiony prorektor praskiego Uniwersytetu Karola, Czeszka, opracował nawet tajne dyrektywy dla profesorów nauk humanistycznych, żeby zabezpieczyć „ortodoksyjność” prac doktorskich). Nadal trwa zakaz rozpowszechniania (również przez biblioteki) książek opozycyjnych autorów — ale to mało pomaga, gdyż czeskie społeczeństwo ma długotrwałe doświadczenie. To samo można powiedzieć o książkach, wydawanych na emigracji, które w dość dużej ilości przenikają do kraju. Powieść Szkvoreckiego „Batalion pancerny”, wydana w Kanadzie, osiągnęła już czwarte wydanie, gdyż rozczytują się w niej żołnierze ludowego wojska (znana jest wśród

nich pod slangowym skrótem „Tankacz”). Autor dostaje w Kanadzie dużo listów od swych czytelników w kraju.

Wydaje się, że zachowanie się starzejących się i coraz bardziej zdenerwowanych neostalinistów na kierowniczych stanowiskach resortu kultury w Pradze zaczyna nie podobać się nie tylko komunistom na Zachodzie, ale również komunistom w niektórych krajach Europy Wschodniej a nawet pewnym działaczom sowieckim. To prowadzi do coraz ostrzejszej walki frakcyjnej wśród biurokratów od kultury. Znany neostalinista, dziennikarz oraz krytyk literacki J. Hajek, stał się niedawno ofiarą takiej zakulisowej rozgrywki — ponoć próbował przeciwstawić się niektórym ekscesom pewnych kacyków.

Stan inercji w czołówce partyjnej, który jest wynikiem trudnej do utrzymania równowagi pomiędzy różnymi frakcjami, wcale nie oznacza, że całe społeczeństwo czy cała inteligencja znieruchomiała. Upływ czasu, dorastanie nowego pokolenia, zmiany w świecie oraz w samym „obozie” działają, i to bardzo dynamicznie, chociaż cały proces jest mało widoczny dla świata. W latach przed 1968 rokiem wybuchowa sytuacja narastała również pod powierzchnią inercji, a Novotny żył w przekonaniu, że wszystko trzyma w rękę. Zdaje się, że Husak jest ofiarą podobnej iluzji. Historia oczywiście nie lubi się powtarzać; społeczeństwo w Czechosłowacji wie teraz, że po obaleniu Novotnego przyszedł wprawdzie Dubczek a z nim wolność nieznana dotąd w kraju komunistycznym, ale w końcu tenże Dubczek sprowadził niechcący sowieckie czołgi do Pragi. Nauka historii brzmi więc tak: po Husaku może przyjść nowy Dubczek, ale może też przyjść Bilak z nowymi sowieckimi dywizjami.

Manifest „Karta 77” czeskiej inteligencji oraz przedstawicieli robotników (Słowaków wśród podpisanych jakoś nie ma) z 1 stycznia 1977 roku zaskoczył Husaka oraz kierownictwo partyjne. W chwili, kiedy noworoczne przemówienie Husaka — jak zwykle utrzymane w tonie jowialnym i zadowolonym — nadawały wszystkie stacje radiowe i telewizyjne w Czechosłowacji, szykowała się nielada sensacja: 250 przedstawicieli najróżniejszych kół społeczeństwa ogłosiło wypróbowaną drogą, bo poprzez zachodnie agencje prasowe, ostrą krytykę praktyki życia publicznego w kraju. Od byłego ministra spraw zagranicznych Hajka oraz byłych członków KC partii poprzez poetę Seiferta do zwolnionego miesiąc temu z więzienia przywódcy studentów Müllera, od filozofa-fenomenologa Patoczki poprzez dramaturga Havela do teologów protestanckich oraz robotników fabrycznych, sięga ów prawdziwy czeski „front Jedności Narodu”. Data ogłoszenia manifestu obrana została świetnie: Nowy Rok nic nie przypomina, nie jest to data okupacji Czechosłowacji, a więc nikogo nie może obrazić. Jednocześnie jest to dzień tradycyjnego przemówienia prezydenta republiki — a więc implikuje polemikę z jego twierdzeniami. W dodatku był to pierwszy dzień międzynarodowego „roku więźnia politycznego” oraz roku, w

którym w Belgradzie nastąpi podsumowanie wyników umów z Helsinek.

Pierwsza reakcja reżymu na manifest była bardzo nerwowa. Przesłuchano kilka osób spośród podpisanych (w tym V. Havela dwukrotnie), dokonano rewizji w kilku mieszkaniach — przy czym policja te rewizje filmowała — jednocześnie zaś w organie partii *Rude pravo* wydrukowano niejasne pogróżki pod adresem „nowych członków legii cudzoziemskiej” w kraju. Włoska komunistyczna *Unità* ostro zareagowała, podsuwając Husakowi jedyny rozsądny sposób zachowania się po ogłoszeniu „Karty 77”: złagodzenie reżymu oraz rozpoczęcie rzeczowej dyskusji. Husak (a może raczej pewna wpływowa część jego otoczenia) wierzy natomiast, że tego właśnie robić nie wolno, bo byłaby to pewna droga do nowej „praskiej wiosny”.

W dziewięć lat po okupacji Czechosłowacji okazuje się, że okupacja zjednoczyła najróżniejsze prądy w Czechosłowacji — oczywiście przeciwko Rosji. Rację mieli ci, którzy od razu widzieli w okupacji fatalny błąd sowieckiego kierownictwa. Ten błąd zaczyna owocować: zaczął się nowy etap w historii Czechosłowacji.

Karel KLATOVSKY

NOWA PRZYGODA WITOLDA-BOSONOĞA

W marcowym numerze miesięcznika *Odra* ukazał się artykuł pt. „Stopa nieobuta — o czwartym, nieznanym dramacie Gombrowicza”, podpisany przez Jacka K. Zembruskiego. Jest to, na siedmiu stronach czasopisma, zlepek najczęściej dosłownie przepisanych, czasem, niestety, z lekką zdeformowanych, ustępów z mojej przedmowy do zrekonstruowanych przeze mnie fragmentów „Historii” Gombrowicza, ogłoszonych w *Kulturze*. Ponieważ *Odra* nie wymienia ani mego nazwiska, ani *Kultury*, nasuwa się przypuszczenie, że p. Zembruski zgodził się na podpisanie tego artykułu w celu zaznajomienia polskich czytelników z nieznaną dotąd sztuką Gombrowicza, pod warunkiem że przekazując tak wiernie tekst ogłoszony w *Kulturze*, nie zostanie przez nikogo podejrzany o chęć plagiatu. Zabieg ten wydaje mi się godny naśladowania i mam nadzieję że znajdzie się więcej skromnych i ofiarnych krajowych dziennikarzy gotowych do podpisywania w czasopismach bliższych reżymowej cenzurze wyciągów z innych niedostępnych w Polsce tekstów z *Kultury*.

Jacek K. Zembruski kończy podpisany przez siebie artykuł własnymi słowami: „Jest to pomysł do zagrania, nieuzasadniony jednak w pełni tekstem”. Korzystam z tej sposobności aby zasygnalizować tu że „Historia” wystawiona będzie wkrótce w niemieckim tłumaczeniu przez Marstall Theater w Monachium, eksperymentalną scenę podlegającą wielkiemu Residenztheater, w odbudowanym pałacu bawarskich królów. „Historia” ukaze się również w kwietniu bież. roku w wydaniu książkowym w tłumaczeniu niemieckim (Fischer Verlag) i francuskim (Editions de la Différence).

K. A. JELEŃSKI

Książki

Znowu dezinformacja

Pisałem kilka miesięcy temu o dezinformacji czytelników sowieckich na temat współczesnej literatury polskiej. Dokonali tego krytycy polscy na łamach moskiewskiej *Innostrannoj litieratury*. Tym razem zdezinformował polskich czytelników Jarosław Iwaszkiewicz na łamach *Życia Warszawy* z początkiem lutego bież. roku.

„Chodzi o to — pisze Iwaszkiewicz — że Europa (a nawet basen śródziemnomorski) jest u tych pisarzy (zachodnioeuropejskich — W.W.) jakaś kaleka. Europa z obciążoną pością wschodnią nie jest prawdziwą Europą. [...] Możemy mieć wyraźny żal do Camusa (i innych wielkich pisarzy francuskich), że [...] nie znaleźli drogi do „Pana Tadeusza”, „Eugeniusza Oniegina”, a także do „Popiołów”, „Wojny i pokoju”, „Cichego Donu”, i z „Doktora Żiwago” brali tylko to, co pachniało skandalem. [...]”

Zadziwiające, jak obojętne jest życie umysłowe, pełne napięć i dążeń — owo prawdziwe życie umysłowe cywilizacji i kultury zachodniej — jak obojętne jest dla wszystkiego, co jest naszym cierpieniem, naszym zagadnieniem”.

Pomińmy już gaffę z Tołstojem i przeoczenie tego wielkiego wstrząsu, jakim było dla Zachodu pojawienie się prozy Dostojewskiego; a także przeoczenie tej niebywałej kariery, jaką przeżywa obecnie teatr Czechowa na Zachodzie; niech się o swoich Rosjanie martwią. Pomińmy także i to, że i czeska, i węgierska literatura bardzo się na Zachodzie liczą; niech już Cześci i Węgrzy, a również i Jugosłowianie wygarną Iwaszkiewiczowi, że ich nie dostrzega. Zostańmy przy literaturze polskiej.

Z „Panem Tadeuszem” wiadomo, jakie są kłopoty. Poza Polską mało kto będzie to swoiste arcydzieło czytał, na tej samej chyba zasadzie, na której poza Niemcami nie czyta się „Hermann i Dorothei”. „Popioły” to może trochę inna sprawa, ale myślę, że chyba na to już dziś za późno. Ale przecież „kultura i cywilizacja zachodnia” znalazła drogę i do Brunona Schulza, i do Witkacego, i do Gombrowicza — i to jak znalazła! W sensie mianowicie „*Hut ab, meine Herren, ein Genie!*”. To samo się stało z St. Jerzym Lecem. A z żyjących: Andrzejewski, Miłosz, Mrozek, Herbert, Kazimierz Brandys, Różewicz, Szymborska, Jacek Bocheński, Lem, Odojewski; tłumaczy się tak ważnego, a zarazem trudnego i mało „handlowego” pisarza, jak Tymoteusz Karpowicz; poeci „generacji 70” przełożeni zostali nawet na norweski. —

Jakież to utwory tych pisarzy „pachną skandalem”? Bo jeśli skandalem jest niezgodność poglądów autora z poglądami zwierzchności, to cała historia literatury trąci skandalem. I czy pisarze ci nie zajmują się naszymi zagadnieniami i cierpieniami? Czyż nie przekazują ich innym narodom — wraz ze swoją wrażliwością i wyobraźnią?

Sprawa jest bardzo poważna. Bo nie zgadza się po prostu z faktami twierdzenie o „kalekiej Europie z obciążoną pością wschodnią”. Ale wstawianie czytelnikom *Życia Warszawy*, to znaczy setkom tysięcy ludzi, tej oto nieprawdy, że Zachód się nami nie interesuje, może spowodować, że kompleksy, których i tak mamy co niemiara, zaczną się jeszcze bardziej pogłębiać. Najgorszy z nich jest kompleks niższości: wie dzie zarówno do bezsilnej apatii, jak i do bezsilnego gniewu, a ponadto wzmagają uczucie, że „skreślono nas”, „rzucono na pastwę”, „zapomniano” itd.; słowem, że zorganizowano przeciw nam jakąś gigantyczną kulturalną Jaltę.

Zamiast, nie licząc się z faktami, biadolić, że „nie znaleźli drogi”, należałoby raczej powiadomić czytelnika polskiego w Polsce, jaki rezonans budzi literatura polska w zachodniej prasie literackiej i codziennej. W Niemczech Zachodnich np., a także w Austrii i Szwajcarii ukazuje się z reguły więcej recenzji z poszczególnych polskich książek, aniżeli to dzieje się z tymi samymi książkami w Polsce. Z teatru Grotowskiego robi się doktoraty, wiersze Szymborskiej są rozstrząsane na seminariach slawistycznych, eseje Różewicza i Herberta drukowane są w antologiach, poświęconych rozważaniom poetów o poezji — obok Ponge'a, Grassa, Creely'ego czy Gustafssona. Przykłady można mnożyć. To jest właśnie prawda.

Oczywiście — wydawcy na Zachodzie, tak samo jak dyrekcje teatrów itd. dokonują pewnych wyborów, każdy zresztą na własną rękę i według różnych kryteriów wartościowania. Mimo to w wielkich liczbach obraz staje się dość jasny: preferencje ukazują inną hierarchię, aniżeli oficjalnie w Polsce głoszoną. Myślę, że to dobrze. I myślę, że powinno się nareszcie zrozumieć, dlaczego większą szansę mają tutaj Schulz i Witkacy, niż Nałkowska czy Kaden-Bandrowski — że wymienię pisarzy, których dzieło jest już zamknięte.

Witold WIRPSZA

Krajowe nowości wydawnicze

opracowała

MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

HISTORIA LITERATURY

Artur HUTNIKIEWICZ: *Portrety i szkice literackie*. Warszawa, 1976, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, 80, str. 289, 2. (Towarzystwo Naukowe w Toruniu. Prace Wydziału Filologiczno-Filozoficznego, t. XXV, zesz. 3).

Zaletą szkiców prof. Hutnikiewicza jest, zgodnie z zapowiedzią w przedmowie, „wątek dyskusji, polemiki i opozycji krytycznej zarówno wobec

opinii uchodzących tradycyjnie za „ostatecznie ustalone”, jak i w stosunku do niektórych ekstremizmów estetycznych teraźniejszości”. Autor podejmuje ponadto „próbę rewindykowania dla bieżącego życia literatury zjawisk literackich zbyt długo przemilczanych i spychanych w cień zapomnienia”. W przekładzie na praktykę oznacza to włączenie szkiców o Skamandrytach, którym autor poświęcił już dobrych kilka lat temu cykl wykładów na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Lechoń przypomniany jest naprzód jako pupil Żeromskiego, który po zamachu samobójczym poety w roku 1920 zabrał go do Orłowa i serdecznie się nim opiekował. W szkicu „Życie i śmierć poety” Hutnikiewicz opiera się niemal w 100% na wydawnictwach emigracyjnych, od „Dziennika” Lechonia poczynając. W pełni wyzyskuje książkę zbiorową „Pamięci Jana Lechonia” (Londyn, 1958), cytuje także recenzję „Dziennika” pióra Tad. Nowakowskiego w *Wiadomościach* z 1968 roku, czerpiąc z niej opis wieczornego spotkania na Manhattanie. Opis niezmiernie sugestywny: „w niezwykle długim płaszczu-opończy, w płaszczu-czarnym obłoku, z roztrzepaną na wilgotnym wietrze flagą białego szala pod szyją, z trupią białością lic, z pośmiertną maską Danta pod melonikiem [...] przeprowił swe wielkie i niekształtne ciało astralne na drugą stronę ulicy, na drugi brzeg Styksu”. O „Dzienniku”, określonym przez Tad. Nowakowskiego mianem „Kamizelki ratunkowej” Hutnikiewicz wyraża się z entuzjazmem. Uważa go za „największe dzieło poety, „dramatyczny obraz szamotania się twórcy z demonami własnej natury, z dolegliwościami prozaicznego życia”. Dostrzega przykry fakt, że „niektóre sądy o współczesnej literaturze polskiej są oczywiście bezceremonialnie dowolne, arbitralne i apodyktyczne, np. o Peiperze, Przybosiu czy Miłoszu”. Przeciwwstawia im wysoką ocenę Wierzyńskiego, „aczkolwiek Lechoń dobrze rozumiał, jak bardzo go Wierzyński przewyższa rozległością i znaczeniem swego dorobku”.

Stosunek do twórczości Wierzyńskiego jest więcej niż entuzjastyczny — wyznawczy. Tak pisał Pigoń o Mickiewiczu czy Józef Ujejski o Conradzie. Nikt nie objął w Kraju bardziej trafnym spojrzeniem życia i twórczości poety „przebitego światłem”, nawet Maria Dłuska w rzeczowych analizach wybranych wierszy. „Poezja [Wierzyńskiego]” — pisze Hutnikiewicz — „zadziwia swoją pełnią i rozmiarem dokonań”, stanowi „rzadki fenomen trwania przez z górą półwiecze bez najmniejszych symptomów wyczerpania, znudzenia, zniżenia lotu”.

Bardzo krytycznie odnosi się natomiast Hutnikiewicz do twórczości Tuwima. Uważa, że tkwi ona obecnie w swoistym czyścicu literatury, będącym udziałem zmarłych pisarzy „O Tuwimie pisze się i mówi dziś mało, jest on raczej niepopularny”. Potwierdziła to ankieta *Twórczości* już w 1963 r. Uważa, że „w przeciwieństwie do literatury współczesnej, coraz silniej nasycającej się treściami intelektualnymi, poezja Tuwima jest wyrazem organizacji psychicznej wybitnie ekstrawertycznej, tj. zwróconej na zewnątrz i uwarstwionej na bodźce raczej sensoryczne, zmysłowe niż myślowe”. Ceni jednak wysoko Tuwima za jego „osiągnięcia w dziedzinie eksploracji słowa, które przestawało być narzędziem porozumienia, lecz samo stawało się autonomicznym celem i tematem”.

W otwierających tom szkiców Hutnikiewicz broni powieści obyczajowych Sienkiewicza („Bez dogmatu” i „Rodzinę Połanieckich”), przeceniając, jak sądzę, „mistrzowskie psychologizowanie i doskonałość formalną, przewyższającą niejedno z okrzyczanych wówczas arcydzieł powieściowych Zoli czy Bourgeta”.

Bardziej interesująco wypadła analiza kompozycji powieści Żeromskiego. Hutnikiewicz dostrzega trafnie, że przeciw pisarzowi sprzysięgają się: „swoista bezradność wobec materiału genetycznie inorodnego”, skąd „przerosty nie

filtrowanego twórczo surowca" (w „Popiołach”) — dalej „niewydolność wyobraźni” i „niedostateczność pisarskiego wysiłku”. Konkluzje wypadają bardzo surowo: „wszystkie większe powieści są kompozycyjnie zwichnięte”. Mimo to — był to pisarz wielki a dzieło jego urzeka, choć brak mu klasycznej doskonałości.

Maria Dąbrowska jest dla Hutnikiewicza „autorką jednej książki” — „Nocy i dni”, choć jest to powieść „w swej fakturze najzupełniej konwencjonalna”; „gdyby nie doskonałość artystyczna dzieła, powieść tradycyjna-staroświecka, ostentacyjnie nie zauważająca jakby zupełnie rewolucyjnych aspiracji prozy współczesnej”.

W rozważaniach „O 'niezrozumiałości' i osamotnieniu poezji współczesnej” Hutnikiewicz, sprzyjający zapewne po cichu Słonimskiemu, stara się z powodzeniem o zajęcie stanowiska kompromisowego. Sądzi, że większość odbiorców poezji nastawiona jest na „jeden typ i wzór wypowiedzi poetyckiej” co jest źródłem nietolerancji w stosunku do nowej poezji. W tym ujęciu występuje najdobitniej „fachowość” historyka literatury. Prof. Hutnikiewicz łączy ją z jasnością wykładu i piękną rzeczą by się chciało przed-IBLowską polszczyzną.

Tomasz WEISS: *Legenda i prawda Zielonego Balonika*. Kraków, 1976, Wydawnictwo Literackie, 8°, str. 397, ilustr. (Redakcja i dobór ilustracji: Roman Hennel).

Po jednym z wieczorów autorskich w Londynie komentowano w obecności prof. Strońskiego zagajenie przewodniczącego i kumoterskie pochwały powieści, której publikacja była powodem imprezy. „Istotnie — wtrącił się Stroński — powiedziano wszystko, z wyjątkiem zasadniczej prawdy, że powieść jest śmiertelnie nudna”. — „To nie jest naukowe podejście” — zakwestionował przewodniczący wieczoru. — „Trudno” — westchnął Stroński.

To przypomniawszy, zaczęę od stwierdzenia, że książka prof. Weissa jest — nudna, co jest przykrością tym większą, że „Zielony Balonik” był zaprzeczeniem profesorskiego celebrowania. Weiss wyraźnie go nie lubi i przekłuba cienkimi igielkami, obsypując czytelnika nadmiarem dokumentacji. Że — otwarty w 1905 kabaret w Jamie Michalikowej nie tylko nie zajmował się polityką, ale manifestacyjnie podkreślał swą apolityczność. Że — zamykał oczy na rzeczywistość galicyjską. Aby dokształcić nas w tym względzie kilkadziesiąt stron książki wypełnia historia gospodarza Galicji i Łodomarii. Że — nie był nawet kabaretem literackim, ale imprezą towarzyską, której organizatorami byli raczej plastycy niż literaci...

Najcięższe zarzuty skierowane są przeciwko Boyowi, jako twórcy legendy „Zielonego Balonika”, w której własna jego osoba i wyczyny wysuwają się na plan pierwszy. „Beniaminek” Irzykowskiego błędnie wobec artylerii profesorskich zarzutów. Boy — dowodzi — szedł w entuzjastycznie swym tak daleko, że okres działalności kabaretu uznał za początek „pewnego odecelebrowania Polski” i efektowny finał Młodej Polski. W sukurs przychodzi Weissowi Zygmunt Leśniodorski, który pisał, że „nie bez pewnej pikanterii jest fakt, że [legendę] tworzy pisarz, który legendy zawsze burzył”.

Boy wywodził genezę „Zielonego Balonika” z Francji. Weiss, nie negując wpływów paryskich, wysuwa silniejsze jego zdaniem wpływy monachijskie, przypominając, że krakowscy satyrycy gościli w Jamie artystów z „Elf Scharfrichter”. Gros materiałów do historii „Zielonego Balonika” znajdowało się w prywatnych zbiorach Boya i razem z nimi spłonęło w czasie wojny. W ocalałych a rozproszonych po różnych zbiorach materiałach do-

chowały się teksty „Szopek”, rysunki, fotografie, zaproszenia itp. Nadto — „Słówka” Boya. Weiss odbiera im charakter uniwersalny: tkwią w partykularzu, operują plotkami na temat lokalnych wydarzeń krakowskich, są niezrozumiałe bez komentarzy co — czego jednak prof. Weiss nie zauważa — jest także grzechem (?) „Wesela” i „Wyzwolenia”. Atrakcją „Słówek” jest „sięganie po owoc zakazany” z dziedziny erotyki i interpretacji historii.

Na gruncie krakowskim powstanie „Zielonego Balonika” poprzedziły pisma satyryczne i działalność Adolfa Nowaczyńskiego i Jana Lemańskiego oraz karykaturzystów z Kaz. Sichulskim na czele. Prof. Weiss przytacza popierające jego wywody przykłady z pisma *Liberum Veto*, podkreślając jednak stale zasadniczą różnicę: pismo miało wyraźną skłonność do satyry politycznej, której „Zielony Balonik” strzegł się jak ognia, angażując się najwyżej w krytykę nadużyć wyborczych. Kabaret wiązał z pismem nazwiska kilku współpracowników i sąsiedztwo w czasie; *la petite différence* stanowi jednak to, że o „Zielonym Baloniku” wiedzą wszyscy a o *Liberum Veto* wąskie grono historyków prasy.

Podsumowaniem potępienia Boya jest podpisanie się pod sądem Feldmana, który stawił Boyowi i „Zielonemu Balonikowi” „zarzut świadomego ignorowania wagi chwili, niedostrzegania autentycznej problematyki społecznej i politycznej”. Można i tak.

Tekst rozprawy prof. Weissa przetykany jest cytatami wierszy. Są wśród nich m.in. mało znane wierszyki Dziadka z roku 1912, dotyczące sprawy rapperswilskiej, Dziadek wypiewuje:

„Nasypcie ta państwo dziadkowi w garnuszek,
Do fajki Ziemiowita na nowy cybuszek,
I na nowe zelówki
Do chodaków Dąbrówki”
.....
Dziś już na pewno wykryto,
Że tam kucharka pana prezesa
Siekła kotlety mieczem Damoklesa”.

W ustępie o sporze studentów Akademii Sztuk Pięknych z Fałatem, Weiss wspomina „kilka nazwisk ludzi w jej murach studiujących, którzy wkrótce mieli odegrać wybitną rolę w walce o odzyskanie przez Polskę niepodległości: Mariusz Zaruski, M. Kordian Zamorski, Edward Rydz-Śmigły”.

BIOGRAFIE

Zbigniew KUCHOWICZ: *Barbara Radziwiłłówna*. Łódź, 1976, Wydawnictwo Łódzkie, 8°, str. 420, ilustr.

Zbigniew Kuchowicz, profesor Uniwersytetu Łódzkiego, opublikował w ostatnim dziesięcioleciu szereg prac o obyczajach staropolskich, kontynuując i uzupełniając Łozińskiego, Bruecknera i Bystronia. „Wizerunki niepospolitych niewiast staropolskich XVI-XVIII w.” mają dwa wydania (1972 i 1974), a „Obyczaje staropolskie XVII-XVIII w.” (1975) są od dawna wyczerpane. Zachęcony powołaniem profesora przerzucił się na opracowania monograficzne, biorąc na pierwszy ogień Barbarę Radziwiłłównę, której życiorys dawał mu pole do popisu jako specjalista od badań nad stanem zdrowotnym i obyczajami seksualnymi w Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Rezultaty przeszły oczekiwania autora. Książka jego, wydana w 50.000 egzemplarzy, trafiła pod strzechy a Barbara z księżycowo bladej moribundy z obrazu Simmlera przeobraziła się w litewską sex-bombę. „Gaztołdowa wdowa”, zgodnie z relacjami współczesnych, prowadziła życie swobodne, co jednak, zdaniem prof. Kuchowicza, nie było zjawiskiem odosobnionym na Litwie. Zagadnieniu temu poświęcony jest rozdział pt. „Obyczajowość kobiet litewskich”, wykazujący wpływy tradycji pogańskich na samodzielność i swobodę obyczajową w dziedzinie erotycznej w W. X. Litewskim, różniącym się zasadniczo od „ukształtowanej w kręgu katolicyzmu moralności środowiska magnaterii polskiej”. Sprawa małżeństwa Zygmunta Augusta stała się przedmiotem kontrowersji mobilizującej szlachecką opinię publiczną. Zarzucano królowi naruszenie praw Rzeczypospolitej przez poślubienie Barbary bez zgody rad koronnych. Obawiano się, nie bez kozery, wzrostu wpływów litewskich Radziwiłłów a Barbarę charakteryzowano na XVI-wieczną panią Walewską decydującą się na przedmałżeński romans dla dobra rodu. Biadano nad przekreśleniem planów ożenku króla z którąś ze świetnie urodzonych księżniczek. Zygmunt Stary uważał tajnie zawarte małżeństwo syna za „nieprzyzwoite”, „nieprzystojne” — miało ono przyspieszyć jego zgon, tak się nim trapił. Publicznie nazywano Barbarę „nierządnicą”, *meretrix* — a wcześniej jej śmierć przypisywano „francy” (kile), tak wówczas rozpowszechnionej, że nazywano ją „chorobą dworską”. Kuchowicz sprawie tej poświęca obszerny rozdział, dementując zarówno tę hipotezę jak i równie popularną wersję otrucia przez Bonę jako przyczynę śmierci. W opinii dzisiejszych onkologów Barbara zmarła po długiej chorobie na raka 8 maja 1551.

Legenda Barbary ma u podłoża zachowanie się Króla po jej śmierci. Zrażona atakami opozycji, nie chciała spocząć na Wawelu we wrogim jej otoczeniu i ostatnią jej wolą był pogrzeb w Wilnie. 25 maja, po uroczystym nabożeństwie w katedrze, wyruszyła z Krakowa „kolebka”, wóz żałobny z trumną ze zwłokami Barbary. „Za trumną jechał konno, czarno ubrany, złamany bólem i nieszczęściem Król. W każdym mieście i miasteczku, w każdej wsi zsiadał z rumaka i szedł pieszo za karetą wiozącą szczątki Barbary. W słońcu czy deszczu brnął przez pył lub błoto wsi i miast, szedł nie jak pyszny władca, lecz zrozpaczony, przybity bólem człowiek”. W instrukcji dotyczącej postojów konduktu polecił, by karoca z trumną zatrzymała się w Rudnikach „pod owym alkierzem, w któreśmy domu sami mieszkować zwykli”. Do Wilna dojechano po miesiącu. Nad trumną skupił się „klan Radziwiłłów, brakło natomiast Bony i siostr królewskich. Kult pamięci Barbary obrósł legendami o próbach wywołania cienia zmarłej przez czarnoksiężnika Twardowskiego, przechowywaniu i oglądaniu jej szat i słynnych pereł, które rzekomo zakupić miała po śmierci Zygmunta Augusta królowa angielska Elżbieta I.

Kuchowicz stara się o przeniesienie królewskiego romansu na płaszczyznę „wielkiego ludzkiego szczęścia”. Uważa że „przedwczesne odejście [Barbary] stanowiło [dla Króla] życiową tragedię osobistą, która według pewnych uczonych zaważyła nad jego późniejszymi poczynaniami”. I — ponieważ nie był ascetą i po śmierci Barbary otoczył się nałożnicami — „żadna kobieta nie potrafiła go tak usatysfakcjonować i uszczęśliwić” — konkluduje Kuchowicz. Nie więc dziwnego, że Wojciech Żukrowski w recenzji w „Nowych Książkach” nazwał autora „podkochującym się w Barbarze Radziwiłłównie” „jej chyba nieostatnim rycerzem”, „broniącym już nie czci dziewiczej, jak w przypadku królowej Jadwigi bywało, ale godności kobiecej, prawa do szczęścia”.

Łoki-toki

Redaktor *Kultury* zwrócił się do mnie z prośbą o napisanie kilku słów na temat nowego emigracyjnego pisma *Łoki-toki*. Przystąpiłem do tego zadania z pewną rezerwą, żeby nie powiedzieć z niechęcią. Połowę redakcji *Łoki-toków* w osobie Michała Moszkowicza znam, owszem sympatyczna, ale żeby zaraz jeszcze jedno emigracyjne pismo to już przesada.

Tytuł i nazwiska wydawców *Łoki-toków* zapowiadały element kpiny, próbe redakcji emigracyjnych *Szpilek*, więc jednak coś jakościowo nowego.

Pierwszy numer pisma zaskakuje przede wszystkim dobrą grafiką. Są w tym numerze również ciekawe wiersze i znacznie gorsza proza. W sumie ogląda się to z zainteresowaniem, jednak jeśli chodzi o mnie to prenumeratorem nie zostanę. Mimo wszystko pismo przypomina szkolną gazetkę prowadzoną przez utalentowanych uczniów. Szkoda, sam pomysł satyrycznego pisma emigracyjnego bardzo mi się spodobał. Obawiam się jednak, że *Łoki-toki* jeśli nawet nie umrą własną śmiercią po dwóch czy trzech numerach, to pozostaną pismem sztabackim. Licząc na własne siły i środki mają wydawcy tego pisma niewielkie szanse zdobycia sobie szerszego grona czytelników. Mogą jednak przyczynić się do ujawnienia nowych talentów, zapewne dostarczają sporo zabawy sobie i swoim współpracownikom.

Wydawanie pisma w Szwecji jest bodaj łatwiejsze niż w jakimkolwiek innym kraju. Jeśli nie towarzyszy temu nazbyt śmiertelna powaga, jest to niewątpliwie miłe i nieszkodliwe hobby. Z tego punktu widzenia patrząc na rozliczne pisemka emigracyjne można powiedzieć, że życie kulturalne Polaków w Szwecji naprawdę kwitnie. Ukazują się tu regularnie *Wiadomości Polskie, Jedność*, „68”, *Łoki-toki*.

Wiadomości Polskie są również pismem satyrycznym, ale wydawcy tego nie chcieli. Wychodząca od 1974 roku *Jedność* robi sporo dobrej roboty dostarczając na miejscowy rynek materiały krajowe. Samo pismo ma duże szanse, żeby nie być złym pismem i stosunkowo niewielkie, żeby być dobrym. *Łoki-toki* wreszcie nie są pismem nowym, ten sam zespół produkował wcześniej *Miazgę*, literacki dodatek do *Jedności*, który obecnie prowadzi pani Joanna Hussowska.

Podobno najciekawsze jest pismo Aleksandra Zarkorta — „68”. Zarkort zaczął je wydawać jako samizdat jeszcze w Warszawie, przepisując w kilku egzemplarzach wiersze własne i przyjaciół. W Sztokholmie wydał dalsze dwa numery zawierające w większości wiersze autorów krajowych.

Wszystkie te pisma, jak się wydaje, wydawane są głównie na własny użytek piszących. Mogłyby one stanowić istotny element zacieśniania lokalnych więzi i stanowić platformę dyskusji w ramach lokalnych środowisk. Niestety ambicje przerastają zazwyczaj możliwości. Wydawcy *Łoki-toków* zachowali pod tym względem zdrowy rozsądek i pewne poczucie humoru.

A. K.

Nadesłane nowości wydawnicze

- SLIWIŃSKI (Jan, ks.). *Ku pełni człowieczeństwa*. Rozważania dla rodzin katolickich. Str. 45 i 1 nlb. (Wyd. Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Londyn, 1975).
- TARNAWSKI (Wit). *Ksiądz Antoni*. Powieść. Str. 208. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1977).
- KISIELEWSKI (Stefan). *Przygoda w Warszawie*. Powieść. Str. 136. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1976).
- JUREWICZ (Lesław). *Niepotrzebny*. Str. 223 i 1 nlb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1977).
- ROMANOWICZOWA (Zofia). *Sono Felice*. Str. 182 i 2 nlb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1977).
- BONIECKA (Maria A.). *Ucieczka za druty*. Str. 157 i 3 nlb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1975).
- ZANIEWICKI (Zbigniew). *Moje dwudziestolecie*. Str. 192. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1976).
- WYRWA (Józef). *Krystyna*. Opowieść z dziejów Armii Krajowej. Str. 207 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1977).
- DROBNIK (Jerzy). *Myśli przydrożne*. Str. 337 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1977).
- KOBRZYŃSKI (Bolesław). *Pańskie oko Pegaza tuczy*. Wybór twórczości. Str. 143 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1976).
- CIOŁKOSZ (Adam). *Wanda Wasilewska*. Dwa szkice biograficzne. Str. 62 i 2 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn, 1977).
- WASIUTYŃSKI (Wojciech). *Źródła niepodległości*. Str. 178. (Wyd. Instytut Romana Dmowskiego, Londyn, 1977).
- LOHMANN (Jan). *Chłopiec z lasu — podzwonne*. Poezje. Str. 62 i 2 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa, 1976; cena zł 15).
- Polski Samizdat nr 2. Kraj 1976, listopad 1976. Str. 15. (Nakładem pisma „Jedność”, Sztokholm, Szwecja).
- Polski Samizdat nr 3, Kraj 1976, listopad 1976. Str. 10. (Nakładem pisma „Jedność”, Sztokholm, Szwecja).
- Polski Samizdat nr 6. Kraj 1976, grudzień 1976. Str. 6. (Nakładem pisma „Jedność”, Sztokholm, Szwecja).
- Wielka Karta Pokoju. Materiały Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Str. 19. (Nakładem pisma „Jedność”, Sztokholm, 1976; w/g Książka i Wiedza, Warszawa, 1975).
- Documenta Occupationis X. Praca przymusowa Polaków pod panowaniem hitlerowskim 1939-1945. Wybór źródeł i opracowanie Alfred Konieczny i Herbert Surgacz. Str. 561 i 3 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni PAN, Wydział I Nauk Społecznych, Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, Poznań, 1976; cena zł 120).
- AMALRIK (Andrey). *East - West Is Uncle Jack a Conformist*. Two plays. Przedmowa i tłumaczenie Daniel Weissbrot. Str. 34 i 2 nlb. (Wyd. A Methuen New Theatre-script, Eyre Methuen, Londyn, 1976; cena £.1.00).
- Memoirs of the Polish Baroque. The Writings of Jan Chryzostom Pasek, A Squire of the Commonwealth of Poland and Lithuania. Redakcja, tłumaczenie, wprowadzenie i noty Catherine S. Leach. Przedmowa Wiktor Weintraub. Str. 327 i 1 nlb. (Wyd. University of California Press, Berkley - Los Angeles - London, 1976).

- SULIK (Bolesław). *A Change of Tack. Making The Shadow Line*. Str. 113 i 3 nlb. (Wyd. British Film Institute, Educational Advisory Service, Londyn, 1976; cena £.1.25).
- Report of the Study Mission to Europe. Str. 72 (vary-tiper). (Washington, D.C., Decembre 2, 1976).
- KRZYŻANOWSKI (Jerzy). *Julian Krzyżanowski 1892-1976 in Memoriam*. Str. 3. (Odbitka z *The Polish Review*, vol. XXI, No 3, 1976, str. 213-216).
- KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.) *B. Prus' „The Doll”. An Ironic Novel*. (Nadbitka z *Russian and Slavic Literature* pod redakcją: Richard Freeborn, R. R. Milner-Gulland, Charles A. Ward. Str. 267-282. (Wyd. Slavica Publishers, Inc., Londyn, 1976).
- RUDZIŃSKI (Aleksander W.). *Petrzycki's Significance for Contemporary Legal and Moral Theory*. Nadbitka z *The American Journal of Jurisprudence*, vol. 21, str. 107-130, 1976.
- Kalendar „Słowo” na bożyj 1977 rik. Str. 144. (Wyd. *Wilne Słowo*, Toronto, Ont., 1977).
- MARTIN (André), FALKE (Peter). *Christus stirbt in Litauen*. Die baltischen Länder unter Hammer und Sichel. Str. 254 i 2 nlb. (Wyd. Paul Pattloch Verlag, Aschaffenburg, 1977).
- STROBEL (Georg W.). *Polen nach 1945*. Die Modernisierung und der Aufschwung eines Staates. Str. 163-184. (Nadbitka z *Deutsche Studien*, Vierteljahrshefte, Heft 54/1976; wyd. Otto Meissners KG, Hamburg).
- STROBEL (Georg W.). *Polen zwischen Tradition and Wandel*. Str. 115-151. (Nadbitka z *Moderne Welt*, Jahrbuch für Ost-West-Fragen 1976; Markus Verlag, Köln).
- MŁODOZENIEC (Juventino, ofm Conv.). *Ho conosciuto il Beato Massimiliano Kolbe*. L'uomo che ha dato la vita per un altro. Str. 163 i 5 nlb. (Wyd. Laurenziana, Napoli, 1976).
- FISCÓN (G.), MORICONI (G.). *Assisi*. Album. Str. 63 i 1 nlb. (Wyd. Casa Editrice Francescana, Assisi; cena Lit. 1.500).
- MŁODZHENIEC (Juwentyn Maria L., OFM Conv.). *Ich kannte Pater Maximilian Maria Kolbe*. Tłumaczenie na niemiecki Gerda Hagenau. Str. 103, 1 nlb. i 32 ilustracje. (Wyd. Gerda Leber Verlag, Wien, 1976).
- Slavica 1969-1974. Str. 39 (powielacz). (Wyd. Svenska Akademiens Nobelbibliotek, Stockholm, April 1975).

PRZEMIANY

BIULETYN INFORMACYJNY PPS W NIEMCZECH

ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.
W. GERMANY

KRAJ — BLOK WSCHODNI

5-2-77

Wstępne wyniki spisu styczeniowego 1977 roku wykazały, że w ciągu jednego roku pogłowie trzody chlewnej w PRL zmniejszyło się o 22,5 %, w tym w gospodarstwach indywidualnych o 29,3 %. Spadek pogłowia bydła wyniósł 6 %, w tym w gospodarstwach indywidualnych 10,2 %.

7-2-77

W nr. 6 „Zapowiedzi Wydawniczych” tak się zapowiada książkę W. Hensela i St. Tabaczyńskiego pt. „Rewolucja neolityczna i jej znaczenie dla rozwoju kultury europejskiej”, która ma się ukazać w br. w Ossolineum: „Autorzy omówili problematykę społeczno-gospodarczą dążąc do podkreślenia elementów postępowych...”. Sformułowanie niejakiej p. Z. Kwiecińskiej.

20-2-77

Zmarł w Warszawie, w wieku 83 lat, Kazimierz Andrzej Czyżowski, żołnierz I Brygady Legionów, poeta i dramaturg. ■ Prasa krajowa donosi, że zostały utworzone „Wojskowe Gospodarstwa Rolne i Hodowli Bydła”; pod kierownictwem agronomów — żołnierze odbywający obowiązkową służbę wojskową będą zajmowali się hodowlą. Pierwsze takie gospodarstwa powstały już w garnizonach na Dolnym Śląsku.

25-2-77

Abakadabra. *Życie Gospodarcze* donosi: spadek SKUPU ŻYWCA RZEŻ-NEGO w styczniu br. sprawił, że znacznemu ograniczeniu uległy możliwości zaopatrzenia rynku w mięso i przetwory mięsne. W związku z tym styczeń był okresem znacznego importu mięsa z zagranicy. Zakupiono go tam ok. 10 tys. ton, tj. 2-krotnie więcej niż wyniósł eksport mięsa i przetworów mięsnych. Wpływy dewizowe za eksport mięsa, dzięki wysokiemu stopniowi jego przetwarzania pokryły w pełni wydatki na 2-krotny, wyższy w ujęciu ilościowym, import mięsa. Eksport mięsa jest więc obecnie podstawą finansowania zwiększonych rozmiarów jego importu.

2-3-77

Do Sejmu PRL wpłynęła petycja podpisana przez 730 studentów Uniwersytetu Warszawskiego, domagająca się stworzenia Komisji Sejmowej dla zbadania zarzutów torturowania i brutalnego traktowania robotników po zajęciach w czerwcu ub. roku. ■ W PRL kawa palona i ekstrakty kawowe zdrożały o 20 %. ■ Do pracy na tereny misyjne w 1976 roku wyjechało z Polski 93 misjonarzy i misjonek. Do Afryki wyjechały 52, do Ameryki Południowej 29, do Azji 8 i do Oceanii 4 osoby. Polskich Misjonarzy w roku ubiegłym otrzymało 19 różnych krajów świata. Na szczególną uwagę zasługuje wyjazd poważnej grupy (23 siostry i 2 księży) do Libii, do pracy w dwóch tamtejszych szpitalach w Beida i Bengazi.

5-3-77

W ośrodku Doskonalenia Kadr Kierowniczych KC PZPR odbyło się zebranie aktywu partyjnego Związku Literatów Polskich. Dyskutowano problemy pracy ideowo-wychowawczej, rozwoju ruchu komunistycznego i robotniczego. ■ W myśl uchwały Biura Politycznego KC PZPR obchody 60-tej rocznicy Rewolucji Październikowej będą trwały od lutego do grudnia br. Zostaną one połączone z rocznicami: urodzin Lenina i Dzierżyńskiego, utworzenia

Armii Sowieckiej i Związku Sowieckiego, 32-gą rocznicą zwycięstwa nad faszyzmem i podpisania układu o przyjaźni i wzajemnej pomocy między PRL a ZSSR. ■ W PRL ponad 600 tysięcy podań o założenie telefonu czeka na załatwienie. ■ Nagrodę miesięcznika *Odra* za rok 1976 przyznano Mieczysławowi Jastrunowi za „Poezje zebrane” i tom poezji „Błysk obrazu”.

7-3-77

Zmarł w Warszawie, w wieku 89 lat, gen. dyw. Józef Stebelski, „pełnomocnik Rządu PRL do Spraw Pobytu Wojsk Radzieckich w Polsce”. Nie wiedzieliśmy do tej pory, że takie stanowisko istnieje.

13-3-77

Pismo *Prawo i Życie* podaje, że „red. red. Maria Osiadacz i Tadeusz Kur w uznaniu ich wkładu do walki o praworządność i zabezpieczenie ładu publicznego zostali odznaczeni przez Prokuratora Generalnego PRL, doc. dr. hab. Lucjana Czubińskiego, medalem „Za zasługi dla Prokuratury Generalnej PRL”. „Gratulujemy”. I my też. ■ W Warszawie obradowali przez dwa dni wykładowcy radzieccy zatrudnieni w polskich szkołach wyższych resortu NSzWiT. Wykładowcy ci prowadzą w uczelniach zajęcia m.in. z zakresu literatury rosyjskiej i sowieckiej, języka rosyjskiego, marksistowsko-leninowskiej filozofii i socjologii. ■ Uniwersytet Jagielloński podpisał porozumienie z Wojskową Akademią Polityczną. Chodzi m.in. o wymianę doświadczeń w pracy ideowo-wychowawczej oraz o możliwości otwierania przez słuchaczy WAP przewodów doktorskich w UJ.

ZACHÓD — EMIGRACJA

1-2-77

W NRF zmarł, w wieku 68 lat, Janusz Jar-Łańcucki, prezes Związku Inwalidów Wojennych w Niemczech. ■ W Szwecji miał miejsce doroczny wiosenny Salon Sztuki, na którym 178 artystów wystawiło 467 prac. M.in. Wystawiła polska malarka Maria Tatarczuch. Jej obraz został zakupiony w pierwszych dniach po otwarciu wystawy przez Skandynawiska Enskilda Banken w Sztokholmie.

11-2-77

Na podstawie uchwały walnego zebrania Zrzeszenie Polskich Profesorów i Wykładowców Szkół Akademickich na Obczyźnie przestało istnieć jako samodzielna organizacja i połączyło się z Polskim Towarzystwem Naukowym na Obczyźnie.

17-2-77

W Londynie odbył się wieczór dyskusyjny, zorganizowany przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, na temat „Czy piśmiennictwo na emigracji ma przyszłość”. Zagajał Jan Krok-Paszowski, a w dyskusji wzięli udział Eugeniusz Smolar i Wiktor Sukiennicki. Przewodniczył Józef Garliński.

20-2-77

W Jerozolimie odbył się pogrzeb cadyka z Góry Kalwarii, który został pochowany na Górze Oliwnej. W pogrzebie wzięło udział ponad 200 tysięcy osób, setki jego zwolenników przybyły specjalnymi samolotami z Belgii i Szwajcarii.

27-2-77

Jan Ancerowicz (zam. w Kanadzie) obronił na Sorbonie — Paris V — tezę doktorską pt. „L'immigration polonaise en France et ses aspects démographiques et économiques dans la Région Parisienne”. ■ Reżymowy *Tygodnik Polski*, przeznaczony dla emigracji polskiej we Francji, a drukowany w Warszawie — przestał wychodzić.

2-3-77

Staraniem francuskiego Komitetu Solidarności z Robotnikami Polskimi odbyła się w *Foyer International* konferencja prasowa z okazji wydania po francusku wyboru dokumentów KOR (z przedmową Krzysztofa Pomiana). W przepelnionej sali zagaili konferencję i odpowiadali na pytania dziennikarzy Adam Michnik, Jean Jacques Marie, Krzysztof Pomian i znany pisarz hiszpański Jorge Semprun. Przewodniczył prof. Revault d'Allonnes. Ewentualnym połączeniem konferencji było połączenie telefoniczne z Warszawą: na zgłoszone na piśmie pytania odpowiadał Jacek Kuroń. Główne punkty odpowiedzi Kuroń: w więzieniach siedzi jeszcze 32 robotników; wszczęto dochodzenia przeciw sygnatariuszom listu do Gierka; ruch robotników znalazł poparcie w społeczeństwie; komisja sejmowa do zbadania represji antyrobotniczych nie została jeszcze powołana do życia; stosunki między rządem Gierka i robotnikami nie pozwolą na prawdziwy dialog. Na wstępie konferencji odczytano listy Simone de Beauvoir, Sartre'a, prof. Althussera i Claude Roy'a: wszyscy (podobnie jak Semprun) ofiarowali swoje honoraria za książki wydane w Polsce do dyspozycji KOR, wyrażając równocześnie swoją solidarność z działalnością KOR. ■ W paryskiej Bibliotece Polskiej została otwarta wystawa ikonografii wyspy Św. Ludwika ze zbiorów Biblioteki Polskiej i Towarzystwa Historyczno-Literackiego.

7-3-77

Zmarł w Londynie płk dypl. Zygmunt Borkowski, b. szef gabinetu N.W. gen. Sikorskiego, organizator i b. dyrektor Instytutu im. gen. Sikorskiego.

10-3-77

W Londynie zmarła, w wieku lat 80, Jadwiga Hausnerowa, zasłużona działaczka społeczna.

19-3-77

W dzień imienin Marszałka Piłsudskiego w katedrze w Warszawie odprawiona została msza żałobna. Nie tylko katedra ale zarówno ulica Świętojańska jak i inne okoliczne ulice wypełnione były zebrany tłumem, obliczanym na 20.000 osób. W całym mieście rozlepione były klepsydry: „Józefowi Piłsudskiemu Naród”, które pracowicie zrywała milicja. ■ W Społecznym Klubie Dyskusyjnym w Brukseli red. Dominik Morawski, znany działacz społeczno-chrześcijański, wygłosił odczyt pt. Kryzys grupy „Znak”. Przyczyny — Skutki — Perspektywy.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

3. 3. br. zmarł w Nowym Jorku, w wieku 85 lat, dr Jan Fryling, pisarz, urzędnik służby zagranicznej w okresie międzywojennym, prezes Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, przewodniczący jury nagród Fundacji Jurzykowskich. ■ Uniwersytet stanu Michigan (The University of Michigan) w Ann Arbor, na wniosek Wydziału Języków i Literatur Słowiańskich,

postanowił nadać Czesławowi Miłoszowi tytuł *doctor honoris causa*. Uroczyste wręczenie dyplomu *Doctor of Letters* nastąpi 30. 4. br. W Ann Arbor ukazał się ostatnio tom wierszy zebranych Czesława Miłozsa: „Poems — Utwory poetyckie” z przedmową w języku angielskim prof. Aleksandra Schenkera. Ukazały się również poezje Aleksandra Wata „Mediterranean Poems” w przekładzie Czesława Miłozsa i jego studentów. ■ 9. 1. br. zmarł w Nowym Jorku, w wieku 77 lat, Henryk Gold, popularny muzyk i kompozytor w okresie międzywojennym i współpracownik czołówki teatralnej 2-go Korpusu w czasie drugiej wojny światowej. ■ W nowojorskim biurze Stowarzyszenia Polskich Kombatantów miała miejsce uroczystość wręczenia Tadeuszowi Katelbachowi nagrody pisarskiej Światowej Federacji SPK. ■ Zmiany w *Głosie Ameryki*. W związku z objęciem rządów przez administrację Cartera, w Waszyngtonie krąży pogłoski o zamierzonej reorganizacji *United States Information Agency*, w skład której wchodzi *Głos Ameryki*. U.S.I.A. powstała wiele lat temu jako organizacja, której zasadniczym celem było informowanie opinii publicznej za granicą o wydarzeniach w USA i na świecie w oficjalnej wykładni rządu amerykańskiego. Z tej racji *Głos Ameryki*, spełniający w latach „zimnej wojny” zadania polityczno-propagandowe, znalazł się w trudnej sytuacji w okresie jednostronnego odprężenia. Jego funkcje, zgodne ze statutem całej agencji U.S.I.A., musiały się ograniczyć do przedstawiania oficjalnego punktu widzenia rządu amerykańskiego. Przy politycznych sympatiach wielu redakcji obsługujących Europę Wschodnią, oznaczało to w praktyce nałożenie na nie ścisłej cenzury. Praktyka ta, zapoczątkowana przez prezydenta Johnsona, została pogłębiona w okresie pierwszej kadencji Nixona, a doprowadzona do perfekcji gdy kierownictwo polityki zagranicznej objął dr Kissinger. Nowy sekretarz stanu (choć formalnie U.S.I.A. podlegała nie jemu, a Prezydentowi) przestrzegał surowo, aby żadne zdanie mogące rozdrażnić „potencjalnego przeciwnika” Stanów — Sowiety nie przeniknęło do audycji *Głosu Ameryki*. Z początkiem drugiej kadencji Nixona ustąpił dotychczasowy dyrektor, Frank Shakespeare. Po jego odejściu *Głos Ameryki* poddał się już całkowicie rygorom *détente* w interpretacji Kissingera i Sonnenfeldta. Obecnie dużo się mówi o zlikwidowaniu U.S.I.A. Jej oficjalne funkcje rzecznika polityki Stanów przejąłby Urząd do Spraw Informacji w Departamencie Stanu. Dzięki temu *Głos Ameryki*, który pozostałby nadal przedsiębiorstwem rządowym (typu BBC w Anglii) wyzwoliłby się ze swej ścisłej oficjalnej roli rzecznika rządu USA, a jego wielojęzyczne redakcje zyskałyby większy margines niezależności i pewną swobodę w angażowaniu się w problemy polityczne. Na razie są to jedynie projekty, których zrealizowanie zależy zarówno od nowego prezydenta, jak i od nastrojów w Kongresie. W związku z objęciem rządów przez nową administrację Mr. James Geogh, dotychczasowy dyrektor *Głosu Ameryki* ma ustąpić. Kierownikiem polskiej sekcji *Głosu Ameryki* jest od kilku lat Marion Woźnicki, a jego zastępcą Zdzisław Dziekoński. ■ 27 lutego br. zmarł na Florydzie Aleksander Czesław Meleń-Korczyński, wiceprezes Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce, prof. Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

Trzynaste już z kolei doroczne „Święto Sportowe” zorganizowane przez Referat Wychowania Fizycznego Federacji Polskich Organizacji w Wiktorii odbyło się 22. 2. 77 w Lara niedaleko Melbourne przy udziale blisko 4.500 osób głównie członków Polonii wiktoriańskiej. W zawodach sportowych wzięli również udział sportowcy z innych stanów Australii. ■ Grupa młodych

polskich miłośników pieśni, którzy w ubiegłym roku brali udział w melbournskim konkursie nowoczesnej polskiej pieśni sakralnej „Sacrosong” odwieźdła 29. 1. 77 stolicę stanu Południowa Australia, Adelaidę, gdzie dała w Centralnym Domu Polskim występ, który spotkał się z bardzo życzliwą reakcją licznie zebranych widzów. Głównym celem adelaidskiego występu było spopularyzowanie festiwalu „Sacrosong”, który odbywa się co roku w Melbourne. Festiwal „Sacrosong” został kilka lat temu przeschczepiony z Polski przez młodego polskiego jezuitę, ks. Wiesława Słowika. ■ Trzydzieści lat temu wylądowała w Australii pierwsza duża grupa powojennych polskich imigrantów. Byli to w większości żołnierze Polskich Sił Zbrojnych, którzy walczyli pod dowództwem brytyjskim. W grupie tej przybyło 350 żołnierzy Samodzielnej Brygady Strzelców Karpaccich. Żołnierze ci po demobilizacji, którą przeszli w Australii, osiedlili się na wyspie Tasmanii gdzie pracowali na rządowych kontraktach przy budowie zakładów hydro-elektrycznych. Z okazji tej rocznicy powstał komitet redakcyjny pod przewodnictwem płk. A. Racięskiego, który opracuje specjalne wydawnictwo pamiątkowe. ■ Inż. Eugeniusz Hardy został ponownie wybrany prezesem Rady Naczelnej Organizacji Polskich w Australii. ■ W Adelaidzie (S.A.) dnia 7. 2. 77 zmarł, w wieku lat 79, zasłużony działacz polonijny inż. Michał Mordwinow. Zmarły był założycielem i długoletnim dyrektorem-choreografem świetnego zespołu pieśni i tańca „Tatry”. ■ W Maitland (N.S.W.) spłonął w roku ubiegłym tamtejszy Dom Polski. Akcja budowy nowego Domu Polskiego postępuje pomyślnie dzięki ofiarności komitetu pod kierunkiem prezesa F. Dangela i licznych ofiarodawców. Dzięki życzliwości władz miejskich i zamianie dawnej posiadłości, na której stał Dom Polski, na dwie działki budowlane pierwotna posiadłość stała się obecnie parkiem pod nazwą „Kleeberg Park” upamiętniającym wieloletniego prezesa Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii śp. gen. Juliusza Kleeberga. ■ W Adelaidzie ma stanąć drugi Pomnik Katyński — o akcji zbiórkowej na budowę pierwszego pomnika, kierowanej przez Polish Youth Association, wspominaliśmy w grudniu ub. roku. Drugi Pomnik Katyński ma stanąć przed Centralnym Domem Polskim w Adelaidzie. Akcja budowy tego pomnika została gorąco poparta przez XVII Zjazd Delegatów Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii. ■ Świetny, adelaidski zespół pieśni i tańca „Tatry” odniósł duży sukces występując z końcem stycznia br. w reprezentacyjnym teatrze miasta Adelaidzie, „The Festival Theatre”. Następnie zespół „Tatry” występował w Hobart na Tasmanii zaś dalszy program przewiduje występy w maju w Sydney, Brisbane, Canberra, i Newcastle. „Tatry” wywodzą się z „Polskiej Grupy Tanecznej w Adelaidzie” założonej w 1957 roku przez M. Mordwinowa i Z. Samcewicza. Zespół „Tatry” składa się obecnie z 60 tancerek i tancerzy, 31 osobowego chóru żeńskiego „Łowiczanki” oraz 20 osobowej kapeli.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

KRONIKA Z TEHERANU

Dla wielu Polaków, rozsiansych po świecie, Teheran nie jest miastem nieznanym i dalekim. Przed wielu laty przyszli tutaj głodni, chorzy i wycieńczeni i tutaj zabłysnęła im nadzieja lepszej przyszłości. Nie dla wszystkich jednak... Był to rok 1942.

Nie patrząc na surową kwarantannę przynieśli ze Związku Sowieckiego zarazki tyfusu i innych chorób. Wśród słabych, wygłodzonych, nieodpornych uchodźców tyfus kosił ludzi jak trawę. W ten sposób na gościnnej ziemi Iranu powstał polski cmentarz.

Minęły 34 lata. Mamy listopad 1976 roku. Czas Zaduszek. Jedziemy

więc na południową stronę tego ogromnego teraz miasta i zbliżamy się do dzielnicy cmentarnej.

Przy wejściu na Polski Cmentarz widzimy piękną płaskorzeźbę — Białego Orła na czerwonym tle po lewej stronie, po prawej zaś Virtuti Militari. Pośrodku cmentarza duży pomnik z czarnego marmuru z napisami w kilku językach. Jak sięgnąć okiem w równych rzędach leżą kamienne tablice z nazwiskami zmarłych. Jest ich przeszło 2.000. Większość to młodzież. Prawie wszędzie ta sama data zgonu — rok 1942.

Staraniem nielicznej kolonii polskiej w dniu 16 listopada 1976 roku odbyło się żałobne nabożeństwo na cmentarzu połączone z poświęceniem grobów.

Chciałabym przy tej okazji powiedzieć kilka słów o polskim życiu i o polskiej kolonii w Teheranie. Można rozróżnić dwie grupy rodaków lub dwa różne ośrodki. Jeden to nieliczna grupa zamieszkała w Iranie od czasu drugiej wojny światowej, czy nawet wcześniej. Są to w większości panie, które jako młode panienki po ewakuacji z ZSSR znalazły tutaj oparcie i dom. Ich mężowie to Irańczycy lub Ormianie; w domu mówi się po persku, ale żadna z nich w ciągu tego długiego okresu czasu nie zapomniała swego języka, nie odeszła od polskiej kultury. Dzieci, już dorosłe, mówią po polsku. Dowodem tego mogą być spotkania na polskiej Mszy św., zebrania prywatne i organizacja Polskiego Komitetu pod przewodnictwem pani L. Motamed.

Drugą dość liczną grupę stanowią Polacy-fachowcy, którzy przyjechali tu, na zasadzie zawartych kontraktów, z Anglii, ze Stanów lub z Polski. Samych muzyków, zatrudnionych w Irańskiej operze, telewizji i orkiestrze symfonicznej jest około 50-ciu. Polska dostarcza Iranowi koparki, ciężarówki, awionetki, helikoptery i buduje cukrownie. Ponadto ma dostarczyć składowe części domków prefabrykowanych i założyć osiedle dla robotników. Na mocy związanych z tym umów Iran zatrudnia około 2.000 polskich obywateli, rozsiansych po całym kraju, lub zamieszkałych w Teheranie. Odkryte niedawno około Kermanu ogromne złoża miedzi dają pracę inżynierom-Polakom, przybyłym z Chile (Anakonda). Poza tym Amerykanie polskiego pochodzenia pracują w wielu firmach amerykańskich na terenie Iranu. Coraz większa ilość napływających tu obcokrajowców, w tym i Polaków, łączy się z tym, że Szach dąży do uniezależnienia kraju od produkcji ropy naftowej i do całkowitego uprzemysłowienia.

Niestety ksiądz polski, Jerzy Nosowski, opuścił Iran, udając się do Egiptu na studia. Parafia polska przestała praktycznie istnieć i na pewno zabraknie jedynego miejsca, skupiającego część Polonii. Trzeba zresztą stwierdzić, że tylko niewielu Polaków z Kraju ma odwagę, aby wstąpić do kościoła i zawrzeć bliższą znajomość z Polonią.

Jadwiga G. KORECKA

Z ostatniej chwili

KONFERENCJA PRASOWA

W czwartek, 17 marca, późnym wieczorem w wielkiej sali hotelu „Mondial” w Kolonii, odbyła się konferencja prasowa z profesorem Leszkiem

Kołakowski i młodym polskim historykiem, przebywającym od kilku miesięcy na Zachodzie — Adamem Michnikiem.

Konferencję prasową, na którą przybyli liczni przedstawiciele prasy zachodniemieckiej, radia i telewizji oraz akredytowani korespondenci zagraniczni w Bonn, otworzył znany pisarz niemiecki, laureat nagrody Nobla — Heinrich Böll. Jego słowa były wyrażone w formie apelu, skierowanego do rządów krajów wschodnioeuropejskich o respektowanie podstawowych praw obywatelskich; „wydarzenia z lata ubiegłego roku — demonstracje robotnicze w Ursusie i Radomiu, były jeszcze jednym dowodem przepaści jaka dzieli społeczeństwo polskie od warstwy rządzącej, broniącej egoistycznie własnych interesów — jaskrawym przykładem były represje policyjne, zastosowane wobec setek uczestników spontanicznego buntu robotniczego” — powiedział Heinrich Böll.

Profesor Kołakowski stwierdził, że w niektórych kołach na Zachodzie wzrost aktywności opozycyjnej w Europie Wschodniej budzi obawy, iż ten ruch oporu doprowadzić może do sytuacji wybuchowej w jednym lub w kilku naraz krajach, a tym samym do destabilizacji całego porządku europejskiego. W rzeczywistości, póki społeczeństwa krajów wschodnioeuropejskich mają poczucie pozbawienia ich suwerenności narodowej, braku instytucji demokratycznych i gwarancji praw obywatelskich, i że zostały przemocą wtłoczone w system, w którym sprawowanie władzy nie jest związane żadną odpowiedzialnością, dopóty systemy te nie będą nigdy stabilne, a możliwości a nawet znaczne prawdopodobieństwo sytuacji wybuchowych nigdy nie będzie usunięte.

W ostatnim czasie władze polskie podjęły, niestety, na nowo propagandę anti-niemiecką. Próbuąc odwrócić uwagę ludności od rzeczywistych źródeł jej niedoli i wygrywać anti-niemieckie uczucia wykarmione okrutnymi latami nazizmu, wyrządzają one wielką szkodę sprawie porozumienia polsko-niemieckiego. Chcąc wzmocnić społeczeństwu, że teraz, trzydziści dwa lata po zakończeniu wojny i długo po uznaniu przez Bundestag — ku zadowoleniu wszystkich Polaków — trwałości polskich granic zachodnich, największym zagrożeniem Polski są zachodnio-niemieccy odwetowcy, nie zaś faktycznie istniejący despotyczny system rządzenia. Że chodzi wyłącznie o sztuczny manewr propagandowy widać stąd, że w ciągu kilku ubiegłych lat antyniemiecka agitacja w Polsce nie była uprawiana i trudno wskazać jakiegokolwiek wydarzenia w Niemczech, które by wyjaśniały jej wznowienie w tej chwili. Celem tej propagandy jest najoczywściej dezorientacja własnego społeczeństwa i jego rozbrojenie w obliczu rzeczywistych zagrożeń.

Podczas konferencji prasowej prof. Leszek Kołakowski odczytał depezę skierowaną do Jiri Hajka, jednego z przywódców ruchu opozycyjnego w Czechosłowacji. A oto treść depezy: „Nagła śmierć prof. Jana Patoczki stanowiła głęboki wstrząs dla wszystkich jego przyjaciół. Jan Patoczka, wybitny filozof i myśliciel, współautor „Karty 77” — był od 1939 roku stale prześladowany przez reżymy totalitarne, nigdy jednak nie uległ naciskowi i nieustannym groźbom. Zaszczuty na śmierć, pozostał aż do końca rzecznikiem wolności w świecie kłamstwa i przemocy.

Razem z naszymi czeskimi, słowackimi i polskimi przyjaciółmi — nie zapomnimy jego osoby i jego działalności”.

Następują podpisy: *Heinrich Böll, Leszek Kołakowski i Adam Michnik.*

Tego samego wieczoru — pierwszy program zachodniemieckiej telewizji nadał obszerny wywiad z prof. Leszkiem Kołakowskim i Adamem Michnikiem na temat sytuacji wewnętrznej w Polsce.

Andrzej J. CHILECKI

OŚWIADCZENIE NIEZALEŻNYCH GRUP KATOLICKICH I CHRZEŚCIJAŃSKICH

DO UCZESTNIKÓW ZEBRANIA STRONNICTWA PRACY
W BRUKSELI (19-20 marca 1977)

O Ś W I A D C Z E N I E

My przedstawiciele grup katolickich i chrześcijańskich w Polsce postanowiliśmy przedstawić nasz punkt widzenia na kilka problemów, które powinny być poruszone na zjeździe w Brukseli:

1. *Stosunek do wydarzeń czerwcowych i walki demokratycznej opozycji o prawa obywatelskie — o godność i wolność człowieka.*

Jest rzeczą ogromnej wagi w sytuacji gdy społeczeństwo RZECZYPOSPOLITEJ włączyło się w akcję obrony prześladowanych, a przedstawiciele katolicycy weszli w skład KOR'u, aby Stronnictwo Pracy wystąpiło otwarcie z potępieniem barbarzyńskich metod stosowanych przez Służbę Bezpieczeństwa.

Oczekuje tego od Was całe społeczeństwo, w tym także polscy katolicy! Taktyka milczenia — to linia postępowania, która przyczyni się do dyskredytacji Waszego Stronnictwa w oczach narodu. W konsekwencji tego stanicie się tylko małą grupą nikogo i nic nie reprezentującą.

2. *Stosunek do nowej grupy posłów używających nazwy ZNAK*

Jesteśmy zdania, że jest rzeczą niedopuszczalną aby Stronnictwo Wasze popierało grupę ludzi narzuconych społeczeństwu katolickiemu przez partię komunistyczną — grupę zatwierdzoną a nie wybraną.

Niepokojący dla nas był fakt wizyty Waszego przedstawiciela, Konrada Sieniewicza, w Warszawie 19 stycznia 1977 roku, na zaproszenie szefa neo-Znaku posła Zabłockiego.

Zbiegło się to akurat z podjętą akcją (za cichym poparciem władz) rozbicia a właściwie dobiecia grup katolickich, związanych z Klubami Intelektualnej Katolickiej i *Więzią*. Akcja ta prowadzona w imię osobistych ambicji kilku osób nie ma nic wspólnego z dobrem katolików!

Doprowadziła ona do fermentu i rozbicia środowisk katolickich.

Co robili i gdzie byli posłowie uważający się za reprezentację społeczeństwa katolickiego, gdy Sejm jednogłośnie uchwalił haniebną podwyżkę cen? Przyczyniła się ona jak wiadomo do wybuchu społecznego w CZERWCU, po którym rozpoczęły się ze strony władz prześladowania, które dotknęły tysiące ludzi. Jedni aresztowani i torturowani, drudzy zwalniani z pracy i pozbawiani środków do życia. Wtedy to właśnie — znalazła się grupa ludzi dobrej woli, którzy wyciągnęli pomocną dłoń w stronę cierpiących. Uczynili to w czasie, gdy Sejm PRL oraz instytucje społeczne, powołane do niesienia pomocy, milczały. Milczeli też posłowie „katolicycy” Znak — byli głusi na cierpienia ludzkie mimo, że na ich ręce napłynęły dziesiątki listów i apeli. Ponośzą oni za to pełną odpowiedzialność: „... posłowie na Sejm PRL, którzy wciąż uchylają się od rozpatrzenia wniosków obywatelskich o powołanie specjalnej Komisji Poselskiej, tym samym podtrzymują organy bezpieczeństwa w poczuciu bezkarności”. (Oświadczenie KOR z dn. 10. 03. 1977).

Nie pomogą żadne wykrętne — składane pokątnie stwierdzenia posłów

Znaku o ich jakoby zakulisowych działaniach na rzecz uciemnionych robotników, liczy się w tej sprawie tylko otwarta i uczciwa postawa, a takiej nie wykazali owi „reprezentanci”. Co więcej w wywiadzie udzielonym pismu *La Croix* (8 marca) poseł Zabłocki nazwał obrońców Praw Człowieka w Polsce (odnosiło się to zapewne i do członków KOR) nieodpowiedzialnymi. Nieodpowiedzialnymi według p. Zabłockiego są ci, którzy otwarciem, w myśl hasła *Veritatem et Caritatem* potępili zbrodniczą działalność milicji i wzięli w obronę setki prześladowanych i gniebionych ludzi, występujących przeciwko podwyżkom, do których grupa p. Zabłockiego — głosując w Sejmie — przyczyniła się. Tak więc wystąpić publicznie musieli ci „nieodpowiedzialni” ludzie, a nie posłowie, których moralnym obowiązkiem było to uczynić!

Uważamy, że jedynymi prawdziwymi reprezentantami społeczeństwa katolickiego są ludzie, którzy poszli za głosem sumienia i czynnie włączyli się w akcję niesienia pomocy cierpiącym — dając tym samym świadectwo prawdziwie CHRZEŚCIJAŃSKIEJ postawy.

Przypomnieć należy, że w akcję społeczną włączyło się duchowieństwo polskie, które w listach nadsyłanych na ręce Marszałka Sejmu dało wyraz swojej postawie wobec wydarzeń czerwcowych. Również młodzież i inteligencja katolicka nie pozostała głuchą na cierpienia ludzkie. Już 29 czerwca przedstawiciele jej zebrani w Katowicach obiecali przyjść z pomocą poszkodowanym. Wezwano wtedy społeczeństwo, aby domagało się poszanowania podstawowych praw obywatelskich.

Mamy nadzieję, że do tego skromnego głosu NIEZALEŻNYCH GRUP KATOLICKICH I CHRZEŚCIJAŃSKICH, w imię prawdy i miłosierdzia przyłączy się Stronnictwo Pracy!

Wierzmy, że walka o prawa osoby ludzkiej złączy wszystkie grupy społeczeństwa polskiego, a w tym także katolików, a więc *VERITATEM et CARITATEM!*

Pamiętajcie, w jedności siła!

NIEZALEŻNE GRUPY KATOLICKIE I CHRZEŚCIJAŃSKIE
— Warszawa, Lublin, Kraków — 18 MARCA 1977.

W Polsce powstaje coraz więcej pism „samizdatowych”. Jednym z najważniejszych jest „U progę”, którego 4-ty numer niedawno się ukazał. Przedrukujemy poniżej treść tego numeru z pewnymi skrótami, tj. opuszczając informacje, które dotarły do nas wcześniej i były opublikowane bądź w Kulturze bądź w prasie zachodniej. (Redakcja).



U PROGU

Styczeń 1977

Nr 4

W BŁĘDNYM KOLE

Przemówienie sejmowe premiera Jaroszewicza podczas debaty budżetowej z 2 grudnia 1976 zasługuje na uwagę. Premier przedstawił stanowisko partii wobec kryzysowej sytuacji gospodarczej kraju. Uwagę zwróciły w nim trzy

priorytety: zaopatrzenie rynku, poprawa sytuacji życiowej i budownictwo mieszkaniowe.

Za najważniejsze w działaniu gospodarczym uznano zwiększenie produkcji towarów i zapowiedziano, że będzie ich więcej niż ludność zechce kupować. W ten sposób premier przyznał, że było niewystarczające zaopatrzenie nie tylko w żywność. Jednak mimo wszystko, ludność najbardziej odczuwa niedostatek żywności w sprzedaży. Jaroszewicz zapowiedział zwiększenie wydatków na rolnictwo, aby było więcej żywności, co wypełnia treść drugiego celu gospodarczego.

Trzecim głównym zamierzeniem — według słów premiera — było zwiększenie ilości budowanych mieszkań.

Dalej posypały się apele o wydajną pracę, lepszą jej organizację, poprawę jakości, oszczędność materiałów i środków energetycznych.

Pięć lat temu, w referacie programowym Biura Politycznego PZPR, zapowiedziano, ni mniej ni więcej, tylko: „... szybszy wzrost artykułów konsumpcyjnych, [...] przyspieszenie produkcji rynkowej. [...] zwiększenie produkcji artykułów trwałego użytku”. W kwestii rolnictwa twierdziło się, że naczelną zasadą jest przyspieszenie wzrostu produkcji, stwierdzano autorytatywnie, iż: „... zapewnione zostały niezbędne środki na inwestycje w rolnictwie, w sferze usług rolniczych i obrotu rolnego”. Wreszcie stwierdzono, że musi nastąpić odczuwalna poprawa sytuacji mieszkaniowej w kraju. Były również apele o wydajność pracy, poprawa jakości, oszczędność.

Porównując obydwa referaty stwierdzamy, że partia nie wywiązała się z przyrzeczeń. Widać to najlepiej na przykładzie. Pięć lat temu przyrzeczano przywrócenie normalnego czasu pracy w górnictwie: „Musimy zwłaszcza przywrócić normalny czas pracy w górnictwie węglowym, gdzie wciąż jeszcze liczba dni pracy w roku jest większa o 6 tzw. niedziel planowych”. Nie dość, że nie dotrzymano obietnicy, ale zwiększono ilość tych niedziel.

Okazuje się więc, że kierownictwo partyjne posługuje się tymi samymi wywodami, ponieważ takie same są problemy, których nie potrafi rozwiązać. Zamiast opisu rzeczywistości, społeczeństwo otrzymuje przyrzeczenia, apele i zawile tłumaczenia. Każdy sukces kraju kierownictwo partyjne przypisuje swoim umiejętnościom rządzenia, zaś porażki przypisuje tej części społeczeństwa, która rzekomo nie wykazuje zrozumienia nadrzędnych interesów państwa, nie mówiąc o tzw. trudnościach obiektywnych.

W końcu trzeba też podkreślić język tych wystąpień, który jest partyjno-biurokratyczno-militarystycznym narzeczem. Ma ono stworzyć wrażenie energii, prężności a nade wszystko fachowości i służby budowaniu autorytetu i powagi władzy. Im większa nieudolność rządzących, im większe błędy i niepowodzenia, tym język przemówień bardziej niezrozumiały, pseudonaukowy i wojskowy, tym przemówienia dłuższe.

Zważywszy, że przemówienia są wygłaszane w imieniu i do społeczeństwa, rządzący — między innymi z tego powodu — nie mogą nawiązać z nim dialogu, izolują się, a czyniąc swój język świadomie niekomunikatywnym dają powód pogardy dla rządzonych i podstępne działanie zmierzającego do zachowania władzy.

WYDARZENIA BIEŻĄCE

Jesienią 1976 roku, pod Częstochową, wydarzyła się katastrofa kolejowa. Komisja badająca przyczyny wypadku nie ujawniła wszystkich okoliczności. Jak się okazuje, maszynista elektrowozu zatrzymał pociąg, zauważwszy przeszkodę na torach. Kiedy przekonał się, że za przeszkodą rozkręcono tory,

wycofał pociąg i wtedy doszło do zderzenia z pociągiem nadjeżdżającym od tyłu.

W okolicach Częstochowy kilkakrotnie rozkręcano tory (za każdym razem ustawiane były przeszkody na szynach) na znak protestu, o czym sprawy zawiadamiali listami anonimowymi prokuraturę w Częstochowie. Silne oddziały milicji przez kilka dni przeczesywały lasy pod Częstochową w poszukiwaniu sprawców, jednakże bez skutków. Oddziałom tym dowożono z Częstochowy zaopatrzenie ciężarówkami, co potwierdzają tamtejsi mieszkańcy.

W końcu listopada 1976, w Czeladzi, nocą, na domach i płotach rozlepiono plakaty protestujące przeciwko służalczości Gierka i Jaroszewicza w stosunku do Rosji sowieckiej. Tej samej nocy, sprowadzone posiłki milicji przeczesły miasto. Zatrzymano człowieka, u którego znaleziono plakaty i klej. Poddany przesłuchaniom, zatrzymany nie wydał kolegów. W tej sytuacji, szef prokuratury rejonowej w Będzinie prok. Wąsik wstrzymał się z nakazem aresztowania i zwrócił się do I sekretarza KM PZPR w Będzinie o instrukcje. Ten z kolei skontaktował się osobiście z I sekretarzem KW w Katowicach — Grudniem. Po powrocie oznajmił prok. Wąsikowi, że żadnych plakatów w Czeladzi nie było. Zatrzymanego zwolniono.

Fabryka Wagonów „Zastal” w Zielonej Górze produkuje wagony niemal wyłącznie dla ZSRR. We wrześniu ub. roku, kontrahent radziecki nakazał wprowadzić kilka zmian w produkowanych dla niego wagonach. Kierownictwo fabryki, obciążając pracowników dodatkowymi obowiązkami (co było konieczne dla wykonania ulepszeń), nie płaciło żadnych dodatków ani nie podwyższało dotychczasowych uposażeń. Pod koniec października, załoga „Zastalu” przestała pracować. Na teren zakładu wkroczyli funkcjonariusze milicji i SB. Robotnicy podjęli pracę, spadła natomiast jej wydajność. Na początku listopada, mimo stale przechadzających się po halach fabrycznych agentów MO i SB (którzy jednak nie stosowali przymusu fizycznego), mimo uprzedniego wyrzucenia z pracy kilkunastu energiczniejszych przedstawicieli robotników, wydajność pracy nie rośnie. Nie pomogła masówka, zorganizowana przez organizację partyjną zakładu, zwołana dla potępienia strajkujących. Opieszałość w wykonywaniu dodatkowych zadań, robotnicy „Zastalu” manifestując brak zgody na niepłatną pracę dodatkową, narzuconą załodze.

Załoga „Dozometu” w Nowej Soli (zakład produkujący wyroby metalowe) zaniechała pracy pod koniec października 1976, również z powodu podwyższania ilości pracy, bez jakiegokolwiek dodatkowej odpłatności.

Pracownikom zakładów naprawczych taboru kolejowego odebrano w ostatnich miesiącach świadczenia w naturze, stanowiące składnik uposażenia, a mianowicie przydział 3 ton węgla rocznie. W zakładach tych w całej Polsce zatrudnionych jest ok. 60 tys. ludzi.

W czasie obrad plenum głównego związku zawodowego kolejarzy, które zebrało się w Warszawie 20 grudnia 1976, przedstawiciel Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Pruszkowie ob. Skalski stwierdził, że niemal cała załoga jest do tego stopnia niezadowolona, iż na terenie zakładów, publicznie, wyraża swoje niezadowolenie. Skalski powiedział na plenum mniej więcej tak. „... towarzysze, ludzie w moich zakładach mówią, że przestaną prosić a zaczną żądać”. Głos Skalskiego nie doczekał się reakcji prezydium obrad.

Według oświadczenia sekretarza KM PZPR w Starachowicach, wśród 300 osób zwolnionych z pracy w fabryce samochodów ciężarowych po strajku w dn. 25 czerwca ub. roku, były kobiety ciężarne i pracownicy tuż przed emeryturą. Wiadomo skądinąd, że wszystkim zwolnionym wpisywano do

książeczek zdrowia powód zwolnienia — art. 52 kodeksu pracy, co praktycznie uniemożliwiało otrzymanie pracy w innych zakładach.

Około 20 listopada ub. roku władze państwowe wydały poufną instrukcję o konieczności ścisłego przestrzegania przez instytucje i zakłady pracy, wydanego w lipcu 1976 przez ministerstwa polecenia, zawierającego nakaz obostrzonego traktowania pracowników przejawiających krytyczne i samodzielne stanowisko wobec decyzji partyjnych, w szczególności zaś tych pracowników, którzy przejawili jakąkolwiek aktywność w czerwcu ub. roku.

Stopień poufności tej instrukcji był tego rodzaju, że agenci wojewódzkich organów SB osobiście wręczali tekst instrukcji-pouczenia przedstawicielom władz wojewódzkich (Prezydentom, wojewodom i ich zastępcom), a po zapoznaniu z jej treścią zabierali dokument ze sobą.

„Willa Mościckiego” przy ul. Gimnastycznej w Warszawie, którą obecnie zajmuje Józef Kępa, wicepremier PRL i były wieloletni I sekretarz komitetu warszawskiego, jako jedyna przy tej ulicy otrzymała gorącą wodę z elektrociepłowni, dzięki przeprowadzeniu w tym celu kilkusetmetrowego odcinka instalacji.

29 grudnia 1976 ks. kardynał Stefan Wyszyński, Prymas Polski, przyjął weteranów walk niepodległościowych, aby tradycyjnie przełamać się z nimi opłatkiem. Prymasa powitał najstarszy rangą z żyjących żołnierzy II-giej Rzeczypospolitej, gen. bryg. Mieczysław Boruta-Spiechowicz. Podziękował on m.in. za przyzwolenie na to, by monument poświęcony Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu otrzymał miejsce w katedrze św. Jana w Warszawie. Odpowiadając komendantom, Prymas mówił o spoczywających ciągle na nich obowiązkach wobec narodu.

W kościele św. Brygidy w Gdańsku, odbyła się Msza św. za poległych w wydarzeniach Grudnia 1970 na Wybrzeżu. We Mszy wzięło udział kilkaset osób.

Janina Wieczerska, pisarka, członek gdańskiego oddziału ZLP (od września 1976, poprzednio w oddziale wrocławskim), były z-ca red. naczelnego miesięcznika *Odra*, członek PZPR, kierownik działu kultury i sztuki tygodnika *Czas*, złożyła w wydawnictwie ORZZ powieść pt. „Nie ma sprawy”. Już po korektach, cenzura „zdjęła” powieść, jeszcze w listopadzie 1976.

Andrzej Celowski, prowadzący zajęcia z metodyki w Instytucie Resocjalizacji przy ul. Podchorążaków w Warszawie, został zwolniony z pracy za dawanie wyrazu przekonaniom politycznym, sprzecznym z oficjalnymi.

Program Pax'u. We wrześniu 1976 Wydział Szkolenia Kadr Stowarzyszenia PAX opublikowała, w formie maszynopisu powielanego, referat zatytułowany: „Podstawowe zadania PAX na rok społeczny 1976/77 oraz zadania bieżące na tle sytuacji w kraju”.

Jednym z dalekosiężnych celów działalności PAX'u jest wzmocnienie świadomości historycznej Polaków. Wskazując, że: „Należymy niewątpliwie do tej dżęzej grupy krajów, o które wojna nie może wybuchnąć, ale które mogą być terenem wojny” — referat mówi, że: „... należy specjalnie zająć się m.in. historią myśli prorosyjskiej i proradzieckiej, która w dziejach Polski występowała w kontekście myśli antyrosyjskiej i antyradzieckiej”.

Co się tyczy elementów programu bieżącego, należy dążyć m.in. do: — ustalenia „karty indywidualnego gospodarstwa socjalistycznego”, co ma

- „zmienić postawę biernego oporu na wsi i nastroju wśród dużej części rolników indywidualnych”;
- ustalenia, „iż ceny muszą uwzględniać społeczny koszt wytwarzania”;
- przesunięcia nakładów inwestycyjnych na rzecz produkcji narzędzi i maszyn rolniczych;
- związania polityki demograficznej z mieszkaniową;
- zwiększenia zakresu rzetelnej informacji;
- „budzenia chęci do korzystania z tych możliwości demokracji i dyskusji jakie istnieją” bowiem „teza, że polemika stwarza trybunę dla wroga staje się anachronizmem”.

Jak wynika z tekstu programu, zarząd PAX zobowiązał się do skierowania powyższych postulatów pod adresem komisji powołanych przez IV plenum KC PZPR.

SPRAWY GOSPODARCZE

Przemysł lotniczy. Czy zakupienie przez PRL licencji i urządzeń do produkcji silników tłokowych „Franklin” zapowiada odrodzenie polskiego przemysłu lotniczego?

Jak dotąd jest on całkowicie uzależniony od Rosji, a skutki są opłakane. Przypomnijmy. Przed wojną, już w 1920 roku istniała w Polsce fabryka samolotów, potem powstawały następne (m.in. w Mielcu i Rzeszowie). Do 1939 roku polscy konstruktorzy opracowali kilkadziesiąt prototypów dla potrzeb lotnictwa cywilnego i wojskowego, z których najlepsze skierowano do produkcji seryjnej. Myśliwce Puławskiego, samoloty sportowe RWD, lekkie bombowce „Karaś” i „Łoś” zdobyły międzynarodową sławę. Nikt nam wtedy nie dyktował, jakie samoloty wolno nam produkować.

Po wojnie, mimo że wielu zdolnych konstruktorów szczęśliwie przetrwało okres okupacji, począwszy od 1949 roku zaczęto systematycznie podcinać skrzydła polskiego przemysłu lotniczego, likwidując konstrukcyjne biura prototypowe, a po ich restauracji — ograniczając zakres prac do samolotów małych, treningowych, lub produkowanych dla rolnictwa. Wyjątkiem jest samolot szkoleniowo-bojowy „Iskra”, który określa ogromne możliwości polskich konstruktorów.

Gros produkcji to samoloty produkowane na starych — niekiedy przedwojennych — licencjach rosyjskich: LIM 1, 2, 3; JAK 12M, JAK 12A, SM-1, An-2. Są one w znacznym stopniu produkowane na potrzeby Rosji, np. na 7.000 wyprodukowanych w Polsce An-2, wyeksportowano do ZSRR aż 6.000 sztuk. Nie dopuszczono do budowy śmigłowców polskiej konstrukcji, produkując Mi-2 na licencji rosyjskiej. W Mielcu ruszyła polsko-rosyjska produkcja samolotów dla rolnictwa M-15, o napędzie odrzutowym. Zastosowanie tego samolotu w rolnictwie polskim jest problematyczne, z uwagi na brak dużych gospodarstw rolnych, natomiast będzie on mógł być szeroko wykorzystywany w sowieckich kołchozach...

Usiłowano wprowadzić kartki na mięso i wyroby mięsne dla funkcjonariuszy służb policyjnych, a mianowicie: 1 kg mięsa, 1 kg wędlin i 0,5 kg smalcu. Posunięcie to spowodowało opór ze strony oficerów wojska w Warszawie i Gdyni. Oficerowie marynarki w Gdyni, manifestacyjnie stanęli przed sklepami wyznaczonymi dla obsługi tych wyjątkowych klientów. W tej sytuacji władze zamierzają wydać przepustki umożliwiające zaopatrywanie się w sklepach specjalnych (za złotymi frankami).

Wbrew postanowieniom V plenum KC PZPR rolnikom nie tylko nie

ułatwia się nabywania ziemi z Państwowego Funduszu Ziemi, ale nadal odbiera się ziemię, którą rolnicy z PFZ otrzymali do zagospodarowania. I tak na Podlasiu, w gm. Granna odebrano rolnikom ponad 400 ha, w gm. Mirosławiec w Koszalińskim — ponad 400 ha, ponieważ dostawy żywcia w tej gminie zmniejszyły się o ok. 60%. Podobnie dzieje się w Pułtuskim.

W Suścu, na Zamojszczyźnie, kółko rolnicze posiadające 20 ha ziemi „musi” osiągnąć do końca 1976 roku areał o powierzchni 450 ha. Powstaje pytanie: komu zostanie odebrana ziemia, która powiększy obszar uprawy kółka rolniczego?

W całej Polsce rolnicy cierpią na brak pasz i węgla. W gminie Sidra, w Białostockim, przed punktem sprzedaży węgla ustawiła się w grudniu 1976 kolejka około 120 gospodarzy. Ostatni w ogonku musieli więc czekać na mrozie, w nadziei na zakup 1 tony węgla, bo tyle wynosił przydział na jedno gospodarstwo. Punkt sprzedawał każdemu gospodarzowi tylko 800 kg węgla, za to 200 kg miału węglowego, pobierając za miat taką samą opłatę jak za węgiel. Rolnicy rezygnowali z odbioru miału, bowiem piece na wsi nie są przystosowane do spalania takiego opału. Dostawcy żywcia w tej gminie mają prawo do nabycia dodatkowo: 350 kg węgla za każdego dostawionego tuczniaka i 300 kg — za wolca.

W Białostockim hodowcy sprzedają mięso pokątnie prywatnym odbiorcom. Cena 1 kg żywej wagi wynosi 47 zł. Przeciwdziałając temu procederowi, władze kontrolują bagażniki samochodów wracających ze wsi do miast, rekwirując znalezione towary. Przeprowadza się także rewizje u hodowców. Ostatnio w sądzie rejonowym w Bielsku Podlaskim zapadły dwa wyroki skazujące hodowców na kary więzienia z zawieszeniem i wysokie grzywny pieniężne, za nielegalny ubój i handel mięsem.

W Raikowicach koło Starachowic rolnicy zostali zmuszeni do zakupu lichego ziarna siewnego, w cenie 800 zł za kwintal, pod rygorem kary administracyjnej do 5.000 zł. Chłopi kupowali ziarno, by niezwłocznie odstawić je do punktu skupu, gdzie otrzymywali 500 zł za kwintal. W ten sposób uniknęli kary, wykonali powinność zakupu selekcyjonowanego ziarna siewnego i wywiązali się z obowiązku dostawy. Inna sprawa: kto na tym zyskał, a kto stracił?

W największym sklepie meblowym w Katowicach „Domus”, jesienią 1976, urządzono na II-gim piętrze ekspozycję mebli, do nabycia wyłącznie za dewizy. Pod naciskiem wzburzonej opinii publicznej, władze zostały zmuszone do zlikwidowania ekspozycji.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie prosimy o zamieszczenie na łamach Pańskiego pisma następującej odezwy:

APEL DO ŚWIADKÓW MORDU PROFESORÓW LWOWSKICH

Komitet naukowców polskich, powołany celem wyjaśnienia sprawy mordów dokonanych przez gestapo we Lwowie, w lipcu 1941 roku, na profesorach polskich, ich rodzinach i domownikach, apeluje do wszystkich osób, które w tej sprawie mogą służyć informacjami rzeczowymi, by zgłosiły je na następujący adres:

*Mr. Władysław Żeleński, 19 boulevard de la Somme,
75017 Paris, France*

który w tej sprawie wniósł skargę do władz prokuratorskich Niemieckiej Republiki Federalnej i Holandii.

Pożądane są również wszelkie dane, dotyczące roli odegranej w tej sprawie przez Holendra w służbie SS, Pieter van MENTEN'a a zwłaszcza okoliczności aresztowania i zamordowania pięciu kobiet, a to: Marii z Pareńskich Grekowej, zabranej z mieszkania aresztowanego uprzednio jej męża, prof. dr. Jana Greka, oraz Jadwigi z Szczuków Ostrowskiej, Anny z Blumenfeldów Ruffowej, Katarzyny Demko i Marii Reyman, zabranych z mieszkania prof. dr. Tadeusza Ostrowskiego, który również został aresztowany dwie godziny wcześniej.

Wreszcie potrzebne są dane odnoszące się do ograbienia przez gestapo i przez tegoż MENTEN'a przedmiotów wartościowych z mieszkań prof. Greków i prof. Ostrowskich.

Prof. dr Jerzy LANGROD

Prof. dr Jerzy KALINOWSKI

Prof. dr Józef MODRZEJEWSKI

Londyn, 11 lutego 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze *Kultury* ze stycznia-lutego br., w artykule „O pewnym rozdwojeniu jaźni”, postawiono zarzut, że *Pamiętnik Literacki* Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, wydany w roku 1976, świadomie pomija prace niektórych pisarzy. Jako redaktor *Pamiętnika* i autor zaatakowanego arty-

kułu „Literatura dokumentarna”, muszę stwierdzić, że w przypisie do tego artykułu (str. 43) wyraźnie napisałem: „Szkic niniejszy obejmuje polską literaturę dokumentarną na obczyźnie za okres ostatnich kilkunastu lat”. Nie osiągnąłem głębiej niż rok 1960.

Wyjaśnienie to jest konieczne, bo nie wszyscy odbiorcy *Kultury* wydawnictwo nasze czytali.

Łączę wyrazy szacunku i pamięci,

Józef GARLIŃSKI

Z LISTU DO NASZEGO PRZEDSTAWICIELA

Ostatnio w *Kulturze* są drukowane artykuły, jak na przykład „Wspomnienia dla przyjaciół”, ks. W. Bukowińskiego (*Kultura* Nr 11/350, 1976), które obrażają uczucia narodu ukraińskiego.

Płaciłem prenumeratę około 20 lat, lecz teraz czytając takie artykuły, które obrażają moje uczucia narodowe, nie widzę racji podtrzymywania czasopisma, które jest tak wrogo nastawione wobec narodowości ukraińskiej, chyba że Redaktor *Kultury* przekona mnie, że nie mam racji, to wtedy jestem gotów zmienić moje stanowisko.

Z poważaniem,

Prof. dr Teodor MACÍKIW

Naszym Czytelnikom ukraińskim pozostawiamy ten list do oceny.
Redakcja

Mölnadal, Szwecja, 26 grudnia 1976.

Szanowny Panie Redaktorze!

W czasie tradycyjnych świąt Bożego Narodzenia szary człowiek (a trochę myślący) czyni pewne refleksje w stosunku do swego otoczenia i robi niejako rachunek sumienia odnośnie do swych czynów i ich miejsca w życiu ogólnoludzkim.

W mym wypadku niewątpliwie inspiracją tych myśli są wypadki ostatniego roku w kraju mego urodzenia tj. w POLSCE.

Jestem z urodzenia proletariuszem, choć wychowanym na zasadach etyki chrześcijańskiej i dlatego też następuje w mej psychice rozdwojenie. W jakim sensie? Otóż wydaje mi się, że w konglomeracie ogólnoludzkich spraw, jestem zaśniedziały (mimo ponad trzydziestu lat pobytu za granicą) w sprawach dotyczących mej Ojczyzny. Tymczasem rozwój nowoczesnego świata (tak mi się wydaje) wymaga szerszego myślenia.

Według mego poglądu, jest to stanowisko tamujące rozwój jeśli chodzi o przyszły rozwój i układ porządku świata.

Jakkolwiek wiele zawdzięczam *Kulturze*, jeśli chodzi o mój rozwój patrzenia się na świat, to uważam że mało poświęcamy miejsca sprawom ogólnoludzkim.

Co przez to myślę? Otóż wydaje mi się, że nie powinniśmy traktować spraw polskich jako pepka świata, i w związku z tym chciałbym, by *Kultura* była pismem, które nie tylko stwierdza i komentuje sprawy bieżące, ale żeby była też pismem które wychowuje ludzi do zadań na przyszłość o globalnym znaczeniu.

Brak ogólnoludzkiej myśli, wydaje mi się, jest chorobą dzisiejszego świata. Każdy sobie rzepkę skrobie.

Według mego zdania do przeprowadzenia w czyn pewnej idei jest potrzebne uprzednie przygotowanie jednostki, świadomej idei którą ma przeprowadzić. Są to stare myśli, ale mi chodzi o to, by je aktualizować.

Bo tak sobie myślę w moich minimalnych możliwościach wpływania na bieg wypadków w świecie — Redakcji *Kultury* brak może tych maluczkich kontaktów z czytelnikami, którzy mają dużo do zawdzięczenia *Kulturze*, ale którzy chcą się też podzielić ze swymi myślami.

Z zapatrywań politycznych jestem socjalistą. Dlaczego? Otóż dlatego, że idea socjalizmu wzięła w obronę jednostkę nie w tym sensie co chrześcijaństwo jako jałmużnę, a jako rzecz która się tej jednostce naturalnie należy.

Niestety w praktyce socjalizm wypaczył stosowanie idei, i tu leży pies pogrzebany, i... moje rozdwojenie.

Chociaż nie jestem praktykującym katolikiem, wydaje mi się, że do tej pory etyka chrześcijańska góruje nad marksizmem. Nie zgadzając się w pełni ani na jedną ani drugą z powyższych idei bez odpowiedniego przygotowania jednostki, tak sobie myślę w moim ograniczonym pojmowaniu spraw świata, że *Kultura* ma duże zadania i możliwości formowania lepszego POLAKA-CZŁOWIEKA.

Się wyrazi poważania,

Antoni PIOTROWSKI

Los Angeles, 3 grudnia 1976.

Szanowny Panie Redaktorze!

Złączam „Polish Jokes”, wydane przez tutejszą organizację żydowską, do wykorzystania. *Kultura* — jako żydowski miesięcznik w języku polskim, powinna umieścić te „jokes” w najbliższym numerze, by pomóc Żydom dalej ośmieszać i hańbić naród polski.

Z poważaniem,

Wanda KOTOWICZ
11389 Corning St., Apt. 7,
Los Angeles, Cal. 90035.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

A.S. Alberton, Afryka Płdn. i K.S. Germinston, Afryka Płdn. — Nadesłanych listów do Redakcji nie zamieścimy. Jest jeszcze za wcześnie na ocenę polityki nowej administracji amerykańskiej. Papierkiem lakmusem tej polityki będzie Konferencja Belgradzka. (Redaktor).

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 21 267.
Dépôt Légal : 2^e Trimestre 1977.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocznia	roczniana
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002			
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25		R. 14,00	R. 26,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Pocobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	\$ A 3,00	\$ A 15,00	\$ A 28,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”	F.B. 130,00	F.B. 750,00	F.B. 1300,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » I w księgarniach polskich w Paryżu	\$ US 3,00	\$ US. 15,00	\$ 28,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	F. 13,00	F. 70,00	F. 130,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1, Tel 486-2339; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 6 München 45, Gablonzerstr 7/1	\$ Can. 3,00	\$ Can. 15,00	\$ Can. 28,00
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	DM. 7,00	D.M. 40,00	DM. 75,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kalkskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dzielanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwall Street, Bellflower Cal. 90706. Tél. 920-2017; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	K.S. 13,00	K.S. 75,00	K.S. 140,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	\$ US 3,00	\$ US. 15,00	\$ US 28,00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.140; półroczna — F.75.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

SERIA « BEZ CENZURY »

TOM 271 — BOGDAN MADEJ

MAŚC NA SZCZURY

Tom drapieżnych opowiadań Madeja, opisujących rzeczywistość polskiej prowincji, otwiera nową serię w „Bibliotece Kultury”.

Str. 208.

Cena F. 30,00.



TOM 273 — ANIELA STEINSBERGOWA

WIDZIANE Z ŁAWY OBROŃCZEJ

Relacje z procesów politycznych w PRL. Przez swą odwagę i bezkompromisowość A. Steinsbergowa kontynuuje świetne tradycje polskiej adwokatury. Aniela Steinsbergowa jest członkiem-założycielem Komitetu Obrony Robotników.

Str. 96.

Cena F. 18,00.



TOM 275 — STANISŁAW BARAŃCZAK

JA WIEM, ZE TO NIESŁUSZNE

(Wiersze z lat 1975-1976)

Str. 64.

Cena F. 15,00.

SERIA « DOKUMENTY »

TOM 274 — MAREK TARNIEWSKI

KRÓTKIE SPIĘCIE

(Marzec 1968)

Str. 96.

Cena F. 18.



TOM 276

RUCH OPORU

Polska: Czerwiec 1976
Czechosłowacja: Karta 77

Str. 288.

Cena F. 50,00.